



Susan

Howatch

Diabeł w sierpniową noc

Tytuł oryginału *The Devil on Lammas Night*



ROZDZIAŁ 1

1

Nicola miała sen. Była sama nad morzem, a przed nią kilometrami rozciągała się pusta plaża. Otaczała ją zupełna cisza. Nawet fale toczyły się ku niej bezgłośnie, dlatego też szczególnie mocno odczuwała pustkę piaszczystych przestrzeni i jasność światła. Szła i szła, aż nagle uświadomiła sobie, że nie jest już sama.

Zobaczyła przed sobą Evana.

Był daleko i odwrócony do niej tyłem, jednak wiedziała na pewno, że to on; rozpoznawała znajome ciemnorude włosy i zarys jego ramion. Zawołała go po imieniu, ale kiedy się nie odwracał, zaczęła biec. Biegła tak kilka minut, słysząc tylko swój spazmatyczny oddech, jedyne, co zakłócało ciszę tej martwej scenerii, i mimo że biegła coraz dalej, odległość między nimi wcale nie malała. Stała w końcu patrząc w ślad za Evaniem, którego postać bladła powoli, aż znikła, pozostawiając ją znowu samą na tym dzikim, bezludnym skrawku plaży. Próbowwała go wołać; głos wiązał jej w gardle, lecz dobywając resztek sił zdołała wykrzyknąć jego imię.

Obudziła się z krzykiem w chwilę później.

— Na litość boską, Nicola — odezwała się ze złością jej współlokator-ka. — Szkoda, że w ogóle poznałaś tego drania. Czy dla odmiany nie mógłby ci się przyśnić kto inny?

Była piąta rano. Kiedy Nicola weszła do living-roomu, słońce zaczynało właśnie wschodzić nad Hampstead Heath, a Londyn budził się z wolna w bladym kwietniowym poranku.

Nicola westchnęła. Wiedziała, że już nie zaśnie przed wpół do ósmej, kiedy zadzwoni budzik, zapaliła więc papierosa i poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawę.

Tymczasem Judy znowu smacznie spała. Nigdy nie przejmowała się niczym. Jeśli w ogóle kiedykolwiek coś jej się śniło, to najczęściej narze- czony albo praca, którą lubiła, albo też otwierająca się przed nią, bogata w rozliczne możliwości przyszłość. Życie Judy układało się dokładnie tak, jak powinno, a szczęście sprzyjało jej niezawodnie, aż do znudzenia.

— Wcale mnie to nie dziwi — powiedziała Judy poprzedniego wieczora. — To prawo serii, a ja w dodatku mam teraz bardzo korzystny okres astrologiczny. Maris mówiła, że to będzie znakomity rok dla Kozioroż- ców, bo Jowisz wkroczy w swój ascendent...

Ale Nicola nie wierzyła w astrologię.

— Och, Nicki, czemu w to nie wierzysz? — dziwiła się Judy. — To tak, jakbyś nie wierzyła, że Ziemia jest okrągła! Gdybyś jednak posłucha- ła, co mówi Maris... tak, wiem, że to dziwna osoba, ale jest prawdziwą węgierską Cyganką, a Cyganki naprawdę znają się na tych sprawach. Nie bądź taka zaściankowa, Nicki. Tylko dlatego, że to nie Angielka...

Ale Nicola odnosiła się sceptycznie do wszystkich wrózek i wróżbitów, także angielskich, i nie widziała powodu, żeby szczególnym⁷ zaufaniem obdarzać akurat Maris, którą Judy poznała na jakimś zwariowanym artystycznym przyjęciu w Pimlico.

Maris miała węgierską restaurację w pobliżu Fulham Road i była małą tajemniczą kobietką w nieokreślonym wieku, która starannie pielęgnowała swój akcent i była posiadaczką szafy pełnej ekscentrycznych strojów. Według powszechnej opinii nie zrobiła nic, jeśli nie poradziła się przedtem gwiazd i nie dokonała odpowiednich obliczeń astrologicznych; dotyczyło to nawet menu dla jej restauracji.

— Gdybyś jednak poszła kiedyś do Maris — doda Judy z pewnością siebie, która doprowadzała Nicole do szału — to kiedy ci powróży, wszystko sprawdzi się co do joty, wspomnisz moje słowa.

Nicola jednak nie miała zamiaru radzić się gwiazd. Wiedziała dokładnie, co by powiedziały.

„Jesteś w trudnym i nieszczęśliwym okresie życia, ale — odwagi! Wkrótce znajdziesz się pod wpływem Wenus, a Wenus w koniugacji z tym a tym oznacza, że miłość i szczęście cię nie ominą... Należy się pięć gwinei”.

Mój problem to cynizm, myślała pijąc kawę i patrząc, jak w ten kwietniowy poranek nad Londynem wstaje słońce.

Jednak przecież nie zawsze była cyniczna. Jeszcze niecałe dwa lata temu była równie beztroska jak Judy; w spółce, w której pracowała, awansowano ją właśnie na stanowisko sekretarki głównego dyrektora, wciąż jeszcze napawała się niezależnością wynikającą z posiadania własnego

mieszkania w Londynie, no i w końcu względy, które okazywał jej Evan, były chyba czymś więcej niż tylko przyjaźnią...

Ale bez sensu było myśleć teraz o Evanie. Należał już do przeszłości. Jej terażniejszość to praca, która ją nudziła, miasto znane aż do obrzydzenia i współlokatorka, która niedługo miała wyjść za mąż, zmuszając ją tym samym do szukania nowej. Nicola nie miała ochoty szukać kolejnej współlokatorki i ostatnio myślała nawet o mieszkaniu w pojedynkę, jednak w wielkim mieście groziło to samotnością, szczególnie jeśli się miało zły okres w życiu towarzyskim. Judy chociaż często bywała denerwująca, to przecież odsuwała od Nicoli widmo samotności, nie pozwalała jej zarzewieć.

— Nicki, nie możesz dzień w dzień siedzieć wieczorami w domu! To jest... to jest po prostu marnotrawstwo! Nie możesz się poddawać tylko dlatego, że jakiś drań cię zostawił. On nie jest jedynym mężczyzną na świecie! Słuchaj: zrobimy przyjęcie. Musisz znowu być w obiegu.

Judy naprawdę próbowała pomóc przyjaciółce wyleczyć się z Evana Colwyna. Nicola nie była jednak szczególnie zainteresowana wyzdrowieniem.

Zrobiła się szósta. Potem siódma. Londyn zdążył się już całkiem obudzić, a Nicola ze swego miejsca przy oknie living-roomu patrzyła, jak listonosz idzie powoli ulicą i jak roznosiciel mleka podąża za nim w swoim elektrycznym wózku. Był już czas, żeby wstać. Wypiła trochę soku pomarańczowego i wróciła do sypialni. Rozpoczęła ponury ceremoniał ubierania się przed kolejnym — o tym była z góry przekonana — ponurym dniem.

W drodze do pracy na stacji metra kupiła gazetę i przeglądała ją, podczas gdy pociąg wiozł ją na południe, z Hampstead do centrum Londynu. Miała właśnie opuścić stronę z plotkami towarzyskimi, kiedy zauważyła fotografię Lizy.

„Pani Mateuszowa Morrison, żona przemysłowca milionera, na balu dobroczynnym wydanym wczoraj wieczór na rzecz głodujących dzieci Afryki...” — głosił podpis pod zdjęciem.

Pomyślała, że brylanty Lizy pokryłyby roczny koszt utrzymania co najmniej tuzina głodujących dzieci, ale jej oczywiście nie przyszłoby to nawet do głowy.

Nicola z pewnym wysiłkiem poskromiła swoje myśli. Nie była zadowolona z ponownego małżeństwa swojego ojca z młodą i czarującą kobietą z towarzystwa, jednak choć przyznawała sobie prawo do tego niezadowolenia, musiała starać się trzymać je w ryzach. Liza mogłaby być dużo gorsza. No, może nie dużo, ale w każdym razie gorsza. Nicola uśmiechnęła się gorzko do siebie. Może po prostu jest zazdrosna o swoją macochę? Liza była starsza od niej tylko o pięć lat, a mimo to zdażyła już dwa razy wyjść za mąż, pomiędzy jednym a drugim małżeństwem zabawiając się rozlicznymi romansami, poza tym mieszkała w sześciu różnych krajach, zanim osiadła pod Londynem z ojcem Nicoli, który szczęśliwym zrządzeniem losu okazał się milionerem. Nicola nie mogła jej nawet współczuć z powodu bezdzietności, bo z pierwszego małżeństwa Liza miała dwoje wspaniałych dzieci. Liza miała wszystko, ale co najgorsze, miała też tylko dwadzieścia dziewięć lat.

Nicola zastanawiała się, co jej samej mogło się jeszcze zdarzyć w ciągu tych pięciu lat, które dzieliły ją od dwudziestych dziewiątych urodzin. Prawdopodobnie bardzo mało. Będzie wciąż pracowała w tym samym miejscu, przypominała swojemu szefowi, kiedy ma posłać kwiaty żonie, i patrzyła, jak jej kolejna współlokatorka wyprowadza się i wychodzi za mąż.

Kiedy wysiadała z pociągu, wpadła na nią jakaś kobieta.

— Przepraszam najmocniej — odezwała się kobieta gardłowym głosem, który Nicola musiała już kiedyś słyszeć. Przyjaciółka Judy! — Nicki! To ty, Nicki, prawda? — wykrzyknęła tamta.

Była to Maris. Maris od astrologii i chiromancji, od znaków zodiaku i od węgierskiej restauracji w pobliżu Fulham Road.

— Kochanie — mówiła Maris, chwytając Nicole pod ramię na samym środku peronu stacji Holborn-Kingsway, i zabrzmiało to jak kiepskie naśladownictwo jednej z sióstr Gabor — co za dziwne spotkanie! Śniłaś mi się...

O Boże, pomyślała Nicola.

—...to był dziwny sen, wiesz, widziałam się z Judy i wspominała o tobie, no i mój umysł, podświadomie oczywiście...

— Tak, oczywiście — powiedziała Nicola. — Jak się masz, Maris? Co za niespodzianka, tak na ciebie wpaść...

— Cóż, kochanie, to niewątpliwie przeznaczenie, nie wydaje ci się? Chodź, zjemy razem lunch. Opowiem ci mój sen. To był bardzo dziwny sen...

— Maris, ja chyba nie...

— Kochanie, czy znasz mężczyznę, który ma rude, ciemnorude włosy i niebieskie oczy, taki silny muskularny typ...

Pociąg ruszał właśnie ze stacji. Tłok, hałas i kurz były nie do zniesienia.

Judy ją na mnie napuściła, pomyślała Nicola. Ale jeśli to nie sprawka Judy?

— Tak — usłyszała własne słowa. — Chyba znałam kogoś takiego...

Maris przyglądała z satysfakcją swoje farbowane loki, a jej oczy przybrały wyraz głębokiego uduchowania.

— Kochanie, koniecznie musimy zjeść razem lunch. O dwunastej w La Belle Epoque, dobrze? Wiesz, gdzie to jest? Proszę cię, bądź moim gościem! Przyjdiesz?

— Ja... tak, oczywiście... dziękuję ci, Maris...

— Świetnie, kochanie — odparła Maris pogodnie i zniknęła w tłumie, pozostawiając Nicole niepewną, czy całe to spotkanie nie było tylko przywidzeniem.

— Byłaś nad morzem — mówiła Maris trzy godziny później w zacisznym kącie francuskiej restauracyjki po wschodniej stronie Russell Square. — Było tam bardzo pięknie, plaża i wielkie fale. Chyba były też ska-

ły. Nie pamiętam. Ale nikogo dookoła nie było. To pamiętam dokładnie. Tylko ty i młody mężczyzna o rudych włosach.

Kelner przyniósł zamówione dania. Gdy Nicola automatycznie sięgała po nóż i widelec, jej umysł uległ jakby rozdzieleniu: jedna jego połowa przekonywała ją, że bez wątpienia wariuje, druga zaś starała się przypomnieć jej wszystko, co kiedykolwiek przeczytała o percepcji pozazmysłowej.

— Kochanie — powiedziała Maris życzliwie — bardzo proszę, nie gniewaj się. Judy jako twoja przyjaciółka niepokoiła się o ciebie i opowiedziała mi trochę o twoich kłopotach, ale...

A więc to tak. Judy opisała Evana i opowiedziała ze szczegółami o jego związku z Nicolą, po czym z całą naiwnością zapytała Maris, co mówią na ten temat gwiazdy. Tylko że to wcale nie tłumaczyło zbieżności snów o brzegu morza.

— Maris, czy ten sen o morskim brzegu przyśnił ci się naprawdę? — zapytała z ciekawością.

Maris natychmiast stała się tajemnicza.

— Tak, w pewnym sensie to był sen. Tak. Ale niezupełnie.

Nicola ukroiła kawałek cielecego eskalopka, który miała na talerzu, usiłując jednocześnie zapanować nad swoimi myślami.

— Mniejsza o to, czy to był rzeczywiście sen — podsumowała Maris. — Ty i ten młody mężczyzna znajdowaliście się na plaży...

—...i kiedy ja do niego podchodziłam, on zniknął? — podpowiedziała żywo Nicola.

—Wcale nie — odparła Maris surowo. — Wręcz przeciwnie, kochanie. Rzeczywiście, szłaś w jego stronę. Ale on stał w miejscu, wołając cię po imieniu, a ty nie odpowiadałaś. Minęłaś go. Błagał, żebyś na niego spojrziała, jednak ty nawet tego nie usłyszałaś. Minęłaś go i w końcu znikłaś.

Otaczał je zwykły gwar restauracji — rozmowy i cichy brzęk talerzy. Nicola zdała sobie sprawę, że ciągle wpatruje się w kawałek cielęciny nadziany na widelec.

—Oczywiście znaczenie tego snu nie pozostawia żadnych wątpliwości — stwierdziła Maris kosztując *ragout de boeuf*.

Zapadła cisza.

—Tak? — zapytała w końcu Nicola.

—Ależ tak. Oczywiście! Czy chcesz powiedzieć, że nie rozumiesz, co to znaczy?

—Ja...

—Z pewnością, kochanie, wyleczysz się z tego... tego...

—Zakochania — powiedziała sucho Nicola.

—Zaangażowania w stosunku do tego młodego człowieka — poprawiła ją Maris. — Już niedługo go miniesz, nie zauważając nawet, że istnieje. On cię będzie prosił, ale na próżno. Koniec, kropka. Skończone. A ty będziesz wolna i będziesz mogła kochać znowu.

—Nie wierzę w to — mruknęła Nicola, zanim zdołała się powstrzymać, i zaraz dodała z pośpiechem, zakłopotana własną niegrzecznością: — Chciałabym wierzyć, ale Evan już od roku jest w Afryce, a ja nie przestaje o nim myśleć. Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek stanie mi się obojętny.

—Bardzo rzadko myślę się w tych sprawach — oświadczyła Maris.

—Jakie jest prawdopodobieństwo, że twoja przepowiednia się sprawdzi? Z pewnością zdarzają ci się pomyłki.

—Mogę spojrzeć na twoją dłoń?

—Dłoń...?

—Chciałaś wiedzieć, jakie jest prawdopodobieństwo, kochanie! Muszę mieć jakąś wskazówkę!

—A, rozumiem. Która to ma być dłoń?

—Najpierw przyjrę się lewej.

Czując absurdalność swojego zachowania, Nicola odłożyła widelec i wyciągnęła przez stół lewą rękę.

—Nie jestem specjalistką od chiromancji — powiedziała Maris. — Ale czasem to są niuanse, wrażenia, rozumiesz? Jestem bardzo wrażliwa na niuanse. — Ujęła oburącz dłoń Nicoli i przyglądała jej się przez chwilę, po czym ją wypuściła. Zapadła cisza.

—No i? — zapytała Nicola, czując nagłe zdenerwowanie.

—Przyjrzyjmy się teraz twojej prawej dłoni.

Znów zaległa cisza, twarz Maris była bez wyrazu. Nicola pomyślała z paniką, czy przypadkiem jej linia życia nie urywa się zbyt wcześnie.

— Hmm... — mruknęła po chwili Maris. — Jak pewnie wiesz, lewa dłoń pokazuje możliwości. Prawa dłoń mówi, jaki zrobiłaś z nich użytek.

— Przypuszczam, że niewielki — odparła Nicola, starając się mówić lekko.

—Nie wykorzystałaś jeszcze w pełni wszystkich.

— Maris z roztargnieniem zajęła się znowu swoim *ragoût de boeuf*. — Jesteś osobą namiętną — powiedziała w końcu. — Jesteś uczuciowa, chociaż starasz się to ukryć. Być może Evan był twoją największą miłością do tej pory, ale nie ostatnią. Nie. Z pewnością nie ostatnią. To mnie przekonuje, że w tym śnie kryje się trafna przepowiednia: zapomnisz o Evanie i pokochasz znowu.

— Czy to zła wiadomość? — zapytała Nicola niepewnie.

— Nie, nie — odparła Maris wzruszając ramionami.

— Niekoniecznie. Ale może tak. Kto wie? To zależy od wielu rzeczy. Powiedz mi coś, Nicki... Nie pociągają cię ciemni mężczyźni, prawda?

— Ciemni?

— Z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami.

— Nie, raczej nie. — Nicola poczuła ostry ból w sercu na wspomnienie rudych włosów Evana.

— To świetnie, kochanie — Maris uśmiechnęła się.

— W takim razie nie masz się o co martwić. No, ale jak tam twoje *escalope de veaul* Oni tu mają naprawdę dobrą kuchnię, w odróżnieniu od innych francuskich knajp, w których często próbują ci wcisnąć kiepski kawałek mięsa nasączony jakimś podłym winem... Musisz kiedyś przyjść do mojej restauracji! Lubisz węgierskie jedzenie? Świetnie! Jak się zakochasz w tym nowym, wspaniałym mężczyźnie, to go przyprowadź do mojego lokalu, a ja wydam na waszą cześć najlepszą kolację, na jaką stać naszą kuchnię.

— Bardzo bym chciała, jeśli tylko go spotkam. Dziękuję ci, Maris.

—Oczywiście, że go spotkasz! Przecież przed chwilą ci to mówiłam. Już niedługo zapomnisz, że Evan kiedykolwiek istniał, i będziesz zadowolona, że spędzi resztę życia w Afryce.

Po posiłku, kiedy Nicola rozstała się z Maris, cały jej sceptycyzm powrócił. Znow zaczęła zastanawiać się z gorzką tęsknotą, gdzie jest teraz Evan i czy w ogóle o niej myśli.

3

Evan Colwyn pracował w odległym zakątku Afryki, pozostającym pod zarządem francuskim i praktycznie nie tkniętym przez cywilizację XX wieku. W dniu, w którym Nicola była na lunchu z Maris w Londynie, otworzył swoją wędrowną klinikę w pewnej zapadłej wiosce i dawał zastrzyki oraz rozdzielał lekarstwa, przeznaczone przez Światową Organizację Zdrowia dla ubogiej ludności krajów Trzeciego Świata. Mieszkańcy wiosek nie byli zobowiązani do płacenia Evanowi za jego usługi, ale mimo to wracał zwykle do swego domu w stolicy objuczony kilkoma kurczakami, które wdzięczni pacjenci ofiarowywali mu w zamian za udzieloną im pomoc. Pielęgniarka towarzysząca mu w wyjazdach, milcząca Francuzka o imieniu Genowefa, z wyraźną dezaprobatą odnosiła się do tych kurczaków, uważając je za źródło infekcji, Evan jednak nie chciał

urazić swoich pacjentów odrzucając ich dary i nie przejmował się niezadowolaniem Genowefy. Ale tego właśnie dnia kobieta, której dziecko wyleczył z często występującej w tym rejonie Afryki choroby oczu, podarowała mu prezent zupełnie innego rodzaju, misternie rzeźbiony naszyjnik — i w przedziwnej francuszczyźnie, którą nawet Genowefa z trudem rozumiała, wyjaśniła, że jest to prezent dla jego żony.

—Ale ja nie mam żony — odparł Evan w swojej paryskiej francuszczyźnie z angielskim akcentem i znów Genowefa musiała tłumaczyć, bo kobieta nie zrozumiała.

—W takim razie — oświadczyła kobieta — prezent będzie dla jego przyszłej żony, bo z pewnością któregoś dnia pomyśli o ożenku.

—Dziękuję bardzo — powiedział Evan, starając się nie myśleć o Nicoli. — To wspaniały naszyjnik.

Wszedł następny pacjent. A potem następny. I następny. Było bardzo gorąco. Evan czuł, że koszula klei mu się do pleców; pomyślał z tęsknotą o wiatrach nadmorskich wiejących daleko stąd w jego rodzinnych stronach, o deszczu padającym z bladego północnego nieba, o mrozie, słońcu i śniegu.

Wiedział, że czas. już wracać do domu. Rok pracy dla Światowej Organizacji Zdrowia wkrótce dobiegnie końca i stanie wobec wyboru, czy pozostać tu na rok następny, czy wrócić do Anglii i podjąć w końcu długo odkładaną decyzję co do swej przyszłości. Nie zamierzał siedzieć w Afryce do końca życia. Wracając do Anglii, mógłby podjąć pracę w którymś z dużych londyńskich szpitali albo spróbować prywatnej praktyki. Przed jego wyjazdem system wynagradzania lekarzy w Wielkiej Brytanii

był nieatrakcyjny, kuszący więc wydał mu się pomysł emigracji do Ameryki, jednak ponieważ żył jeszcze jego ojciec, a siostra wciąż chorowała, uważał, że musi oprzeć się pokusie emigracji, niemniej pokusa ta była bardzo silna, Afryka zaś stanowiła pewien kompromis pomiędzy obowiązkiem wobec rodziny i chęcią wyjazdu za granicę. Rok w Afryce to jednak co innego niż całe życie w Stanach. Wiedział, że praca tutaj dostarczy mu cennych doświadczeń w dziedzinie medycyny tropikalnej i że rodzina zaakceptuje ten wyjazd i jego nieobecność wiedząc, że to sytuacja przejściowa. Pobyt w Afryce pokaże, czy potrafi się zaadaptować do obcego środowiska, i pozwoli mu nabrać odpowiedniego dystansu do swojej przyszłości. Przed wyjazdem z Anglii miał zupełny mętlik w głowie.

— Sam nie wiem, czego chcę — powiedział Nicoli. — Muszę wyjechać, żeby to przemyśleć.

Teraz wiedział, że Nicola wyszłaby za niego, ale wtedy nie miał co do tego pewności, tak jak nie miał pewności w żadnej innej sprawie. Gdyby ożenił się z Nicolą, musiałby podjąć decyzję co do swojej przyszłości, a wówczas nie czuł się zdolny do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Jego ojciec chciał, żeby się z nią ożenił, i wbrew logice właśnie aprobata ojca odsuwała go od Nicoli i onieśmiałała. Przede wszystkim wynikało to z faktu, że ojciec był tak bardzo związany z Anglią. Oczywiście, że chciał jego małżeństwa z Nicolą! Chciał, żeby się ożenił, osiadł na stałe, zapuścił korzenie i zapomniał o zamiarze emigracji...

— Kocham cię — powiedział Nicoli — ale nie mogę się z tobą ożenić. Muszę podjąć tę pracę w Afryce.

—Gdybyś mnie kochał — odparła wtedy Nicola — nie zastanawiałbyś się nawet nad wyjazdem do Afryki.

—To typowo kobiecy punkt widzenia.

—Chciałeś powiedzieć: romantyczny nonsens.

—Na litość boską, Nicki...

Evan wzdrygnął się. Lepiej nie myśleć o Nicoli. Mógł myśleć o Anglii i o swoim domu w Walii, bo wkrótce już będzie mógł ukoić tęsknotę za domem, ale nie było sensu myśleć o Nicoli. Z pewnością zdążyła już znaleźć sobie kogoś innego. Z Nicolą wszystko skończone i nie ma sensu tego rozpamiętywać.

—Szaman chce się z panem zobaczyć — powiedziała Genowefa wchodząc do namiotu z nowymi fiolkami penicyliny.

—Mój Boże... Chyba trzeba go wpuścić. Jest na dworze?

—Tak, ale może zbadałby pan przedtem resztę pacjentów? Dlaczego musi pan dla niego wszystko rzucać?

—Bo to ważna osobistość w tej wiosce. Poza tym zawsze dobrze się do mnie odnosił i chciałbym, żeby tak pozostało — oświadczył Evan sucho. Nie lubił, kiedy Genowefa mówiła mu, co ma robić. — Proszę go wprowadzić, dobrze?

—Dobrze, panie doktorze — odparła Genowefa i wyszła z niezadowoloną miną.

Szaman był potężnie zbudowanym mężczyzną w kwiecie wieku, zachowującym się jak udzielny książę. Miał przekrwione oczy o grubych powiekach, wyrachowany uśmiech i całkiem niespodziewaną znajomość francuskiego.

— Dzień dobry, *Monsieur le docteur* — powiedział z godnością. — Jak miło znowu pana widzieć.

— Ja też wracam tu z przyjemnością.

Evan wiedział, że te uprzejmości będą się ciągnęły w nieskończoność, jednak miesiące spędzone wśród ludności tej odległej francuskiej kolonii nauczyły go nie ulegać pierwszemu impulsowi, by przechodzić do sedna sprawy, zanim zostanie zakończona wstępna wymiana zdań. Cierpliwie wygłaszano więc wyszukane i najczęściej nieszczerze komplementy, zawsze po francusku. Evan nie lubił szamana i obawiał się wpływu, jaki tamten miał na tutejszych ludzi, szaman zaś nie lubił Evana, bo jego osiągnięcia lekarskie, przyjmowane tu jako cuda, mogły zagrozić jego władzy w wiosce — każdy z nich doceniał jednak siłę drugiego i był dostatecznie rozsądny, by nie dopuścić do otwartej konfrontacji. Szaman już od dawna rozpuszczał wieści, że to właśnie jemu zawdzięczano przyjazdy Evana i że każdy przypadek wyleczenia to przede wszystkim jego zasługa. Wydawało mu się to najmądrzejszym sposobem uporania się z zagrożeniem, jakie stanowił dla niego Evan, i jak dotąd żaden z mieszkańców wioski nie nabrał co do tego podejrzeń.

— Kiedy możemy pana znów oczekiwać, *Monsieur le docteur*? — zapytał uprzejmie, obserwując niebieskie oczy Evana. Już od dawna zastanawiał się, czy niebieskimi oczami inaczej widzi się kolory, zdawał sobie jednak sprawę, że zapytanie o to wprost byłoby błędem taktycznym, bowiem jako szaman powinien wiedzieć wszystko.

— Za miesiąc, jak zwykle?

— Tak przypuszczam, ale w czerwcu wracam do kraju.

Szaman wiedział o tym, jako że wiadomości rozchodziły się tu szybko, a poza tym miał znakomitą siatkę wywiadowczą. Martwiło go to, bo z nowym doktorem mogłoby nie pójść tak łatwo. Gdyby doszło do konfrontacji, boleśnie odczułby stratę swojej pozycji, a jego władza w wiosce nieodwoalnie zostałaby osłabiona. Od chwili, kiedy dowiedział się o nadchodzącym wyjeździe Evana, modlił się o cud, który natchnąłby doktora do zmiany planów, i właśnie ubiegłego wieczoru doznał objawienia.

— Mam dla pana wiadomość, *Monsieur le docteur* — oznajmił uroczyście. — Wiadomość, która może sprawić, że pan z nami zostanie.

— Naprawdę? — zainteresował się Evan grzecznie.

— Cóż to za wiadomość?

— Niech pan nie wraca do swojego kraju. Czeka tam na pana diabeł. Jeśli pan tam wróci, dozna pan od niego krzywdy i znajdzie się na krawędzi śmierci. Może nawet pan umrze.

Po chwili milczenia Evan zapytał poważnie:

—A jeśli wrócę, to jak rozpoznam tego diabła, jeśli go spotkam?

—Będzie biały.

Evan tego właśnie się spodziewał; wiedział, że ludzie rasy czarnej wyobrażają sobie diabła jako białego, podobnie jak biali myślą, że jest czarny.

— Biały — powtórzył szaman. — Ale od czasu do czasu ukaże się jako zwierzę. Najbardziej niebezpieczny będzie pod postacią czarnego konia.

Evan stłumił westchnienie. Czy te prymitywne ludy zdołają kiedykolwiek wejść w dwudziesty wiek?

—Rozumiem — zwrócił się uprzejmie do szamana. — Dziękuję, że uprzedził mnie pan o tym i zapewniam, że przemyśle pańską radę.

—Zawsze z przyjemnością pomogę przyjacielowi, którego cenię — powiedział zadowolony szaman, zbierając się do odejścia..— *Au revoir, Monsieur le docteur*. Mam nadzieję, że będzie nas pan odwiedzał jeszcze przez długie lata.

4

Kiedy dwa dni później Evan, odwiedziwszy jeszcze kilka wiosek w głębi kraju, wrócił do swego małego domu na przedmieściu stolicy, zastał czekające na niego dwa listy, jeden od ojca, Waltera Colwyna, a drugi od siostry Gwyneth. Przykazawszy służącemu, by rozpakował bagaż, i kucharzowi, by zajął się przygotowaniem obiadu, ze szklanką piwa w ręku powrócił do living-roomu, włączył klimatyzację na cały regulator i usiadł w fotelu, chcąc zorientować się w sprawach domowych z ostatniego tygodnia.

Najpierw otworzył list od ojca. W dużej części poświęcony był on tajemniczej dolegliwości, na którą znowu zapadła Gwyneth. Była to wiadomość, która sprawiła, że Evan parsknął z niesmakiem i sięgnął po szklankę z piwem. Wiedział, że jego siostra jest hipochondryczką wyko-

rzystującą swoją niegroźną wadę serca za każdym razem, kiedy tylko uzna to za stosowne. Nigdy nie miał cierpliwości dla Gwyneth, była ona jednak oczkiem w głowie ojca, który każdą jej przypadłość traktował bardzo poważnie.

...Kiedy więc Gwyneth znowu zachorowała — donosił Walter swoim eleganckim charakterem pisma — wezwaliśmy kogoś, kto leczy ziołami, żeby się nią zajął. Pan Poole jest czarującym młodym człowiekiem, który w poszukiwaniu domu na siedzibę dla organizacji, którą założył, zatrzymał się w Swansea. Poznaliśmy go przez zupełny przypadek któregoś weekendu...

Zielarz! Evan znowu się zachnął, dokończył piwo i ze złością postawił szklankę na stole. Jak to jest, że starzy mężczyźni i młode kobiety zawsze tak skwapliwie wierzą szarlatanom?

...i on całkowicie wyleczył Gwyneth — pisał Walter. — Czyż to nie cudowne?

Pewnie nawet szaman mógłby ją wyleczyć, pomyślał Evan.

...zaprosiłem go więc, aby zatrzymał się w Colwyn Court, dopóki nie znajdzie siedziby dla Towarzystwa Propagowania Pokarmów Naturalnych...

— Boże! — wykrzyknął Evan i wstał, by dolać sobie piwa. Wróciwszy do living-roomu, odsunął na bok list ojca i zajął się kopertą zaadresowaną chwiejnym pismem Gwyneth.

Siostra pisywała do niego rzadko; otwierając jej list zastanawiał się, co ją tym razem skłoniło do napisania.

Najdroższy Evanie — czytał. — Wyobraź sobie, nareszcie coś dzieje się w Colwyn! Wiem, że tatuś pisał Ci o panu Poole'u i o mojej chorobie, ale nie martw się, bo rzeczywiście w cudowny sposób mi się polepszyło! Pan Poole jest specjalistą w dziedzinie ziół. Ty pewnie nazwałbyś to bajaniem starych babek albo ludowymi bzdurami, ale mogę Ci tylko powiedzieć, że tak dobrze nie czułam się od lat. Trzy razy dziennie biorę łyżkę lekarstwa, które pan Poole własnoręcznie przygotowuje. Kilka razy pytałam o przepis, jednak nie chciał mi go zdradzić, obiecał za to, że jak będzie miał wolny czas, to nauczy mnie, jak stosować zioła. To naprawdę wspaniały człowiek i...

Evan odłożył list, podniósł się z krzesła i wziął z biurka papier listowy. Nie tknąwszy nawet drugiej szklanki piwa stojącej za nim na stole, wypełnił dwie strony wyrazami szacunku i podziwu dla mocy uzdrowicielskich nieznanego pana Poole'a, opatrzywszy je na końcu taktownym ostrzeżeniem, że najlepiej byłoby trzymać się od niego z daleka.

Miesiące spędzone w Afryce nauczyły go opanowania. Zastanawiał się, co by pomyśleli w Colwyn Court, gdyby napisał po prostu: „Ten człowiek to prawdopodobnie oszust, bez względu na to, jak bardzo jest czarujący. Niektórzy zielarze potrafią czasem coś pomóc, ale ci autentyczni zdają sobie sprawę ze swych ograniczonych możliwości i nie spodziewają się cudownych uzdrowień. Nie ufajcie mu zanadto, nie polegajcie na nim całkowicie i w żadnym razie nie dawajcie mu żadnych pieniędzy na Towarzystwo Propagowania Pokarmów Naturalnych...”

Cztery dni później list Evana dotarł do południowej Walii i z poczty w Colwyn został dostarczony do Colwyn Court przez tamtejszego listonosza, rozwożącego przesyłki na sfatygowanym czerwonym rowerze. Tego dnia do Colwyn Court przyszło sporo korespondencji — poza listem Evana i kilkoma rachunkami od okolicznych sprzedawców była też koperta ze stemplem Cambridge, a oprócz listów do Waltera Colwyna były również listy zaadresowane do pana Tristana Poole'a, prezesa Towarzystwa Propagowania Pokarmów Naturalnych.

Całe Colwyn interesowało się panem Poole'em i jego stowarzyszeniem. Pierwsza pogłoska, wywodząca się od słowa „natura”, związanego z nazwą towarzystwa, sugerowała, jakoby Colwyn Court miał zostać zamieniony w siedzibę nudystów. Natychmiast jednak zrodziła się inna pogłoska: ponieważ Walter Colwyn, człowiek przecież dobrze po sześćdziesiątce, mieszkał z młodą, niezamężną córką, zaczęto twierdzić, że towarzystwo jest jedynie zrzeszeniem botaników-hobbystów, których Walter, sam zapalony botanik, uznał za bliskich sobie duchem. Krążyła też inna pogłoska, jakoby pan Poole i córka Waltera Gwyneth mieli się ku sobie i że to było przyczyną, dla której Walter zaprosił specjalistę w dziedzinie zielarstwa do Colwyn Court. Właśnie ta ostatnia plotka zyskała sobie

największą popularność wśród żeńskiej części miasteczka i wszyscy czekali z zapartym tchem na moment ogłoszenia zaręczyn.

Tymczasem myśl, że jego córka i gość mogliby się w sobie zakochać, nawet nie powstała Walterowi w głowie. Z wiekiem był coraz bardziej roztargniony i kwiaty, krzewy oraz drzewa w jego posiadłości interesowały go bardziej niż ludzie. Poza tym martwił się, że Evan może nie wrócić do Anglii i dręczył go lęk, że trzeba będzie starą rodzinną siedzibę oddać pod hipotekę dla spłaty długów. Nie przyszło mu nawet na myśl, że Gwyneth i jego gościa mógłby łączyć romans, nie było bowiem żadnych oznak, które by o tym świadczyły. Pan Poole zachowywał się miło i przyjaźnie wobec Gwyneth, ale nic poza tym, a i sama Gwyneth, mimo że pełna entuzjazmu dla wiedzy zielarskiej Poole'a, nie wyglądała na zakochaną. Walter wyobrażał sobie, że młode kobiety, kiedy są zakochane, snują się po domu i wzdychają, czytają wiersze oraz przejawiają ogólny brak zainteresowania jedzeniem i wszelkimi sprawami natury praktycznej. Ale Gwyneth, od czasu kiedy wyzdrowiała, niemal rzucała się na jedzenie, odpowiadała na listy swych korespondencyjnych przyjaciół z dziesięciu różnych krajów i cały czas zajmowała się swoją olbrzymią kolekcją płyt, kartoteką ciekawostek na temat muzyki pop i zbiorem „pop-artowych” plakatów.

Tak więc robiła wrażenie dokładnie takiej samej jak zawsze. Jeżeli nawet była zakochana w Poole'u, to skrzętnie ukrywała swoje uczucie — ale właściwie dlaczego miałyby się z tym kryć? Walterowi nie przyszło nawet do głowy, że świat wyobraźni był dla Gwyneth bardziej konkretny niż rzeczywistość: w rzeczywistości pan Poole mógłby przejawiać jedy-

nie platoniczne zainteresowanie jej osobą, w marzeniach zaś przemawiał do niej głosem z płyt gramofonowych i obiecywał jej niewyobrażalne rozkosze. Kiedy zamknęła drzwi i zaciągnęła zasłony, mogła żyć tak, jak tego pragnęła, w swoim własnym wspaniałym świecie. Walter jednak nic o tym nie wiedział. Dla niego Gwyneth wciąż jeszcze była małą, osierconą przez matkę córeczką, dziewiętnastoletnim dzieckiem. Sama myśl o tym, że mogłaby się zakochać, wydawałaby mu się niewłaściwa. Nigdy nie rozumiał swoich dzieci. Kochał je i uważał ich istnienie za dar losu, lecz myślał o nich zawsze w stereotypowy sposób, planując ich życie według pewnych określonych schematów. Evan był „jedynym synem”, który pewnego dnia miał zostać znakomitym chirurgiem, Gwyneth zaś krułą i delikatną córeczką, która pewnego dnia stanie się „znakomitą partią” dla jednego z obywatelskich synów z okolicy. Ta dwuwymiarowa wizja obejmowała również jego zmarłą żonę. Ożenił się dość późno, kiedy odziedziczył tę posiadłość i postanowił usatkwować się wreszcie po latach podróży i wypraw botanicznych; wybrał sobie wówczas na żonę „pannę z towarzystwa”, dziesięć lat od siebie młodszą, inteligentną i urodziwą, spełniającą wszelkie wymagania, jakie stawiał swej przyszłej towarzyszkę życia. Jego wybranka porzuciła go w rok po urodzeniu Gwyneth i zmarła dwa lata później gdzieś na południu Francji. On jednak przez cały ten czas był przekonany, że jako „posłuszna żona” w końcu do niego wróci, i nie mógł pogodzić się z tym, że umarła. Żył dalej jak dawniej, stając się tylko z każdym dniem trochę bardziej roztargniony, trochę bardziej oddany botanice, trochę bardziej zajęty książką o dzikich kwiatkach półwyspu Gower, którą pisał, aż kiedyś, zastanawiając się nad swym

małżeństwem, pojął wreszcie, że był to nieudany związek i podjął postanowienie, iż do końca życia pozostanie wdowcem.

— Nie lubisz patrzeć prawdzie w oczy, co, ojcze? — zapytał kiedyś Evan. — Jesteś szczęśliwszy udając strusia i chowając głowę w piasek.

Wyjazd Evana za granicę był dla Waltera wielkim szokiem. Jeszcze większym szokiem były jego buntownicze, obrazoburcze wypowiedzi na temat Anglii. Evan niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że jeśli o niego chodzi, to świat nie zaczyna się i nie kończy na miasteczku w południowej Walii ani też na pozostającej od sześciuset lat w rękach Colwynów posiadłości. Za każdym razem, kiedy przychodził list od syna, Walter otwierał go z obawą, że znajdzie w nim zawiadomienie, iż Evan postanowił nie wracać do domu.

List, który nadszedł tego kwietniowego poranka, również budził w nim lęk. Walter wziął go do ręki, obracał go i przyglądał mu się przez chwilę. Ze zdenerwowania nie mógł jeść śniadania. I jak zwykle jego obawy okazały się bezzasadne. Ton listu był wprawdzie dość surowy, a wszystkie przestrogi dotyczące pana Poole'a zupełnie zbyteczne, ale chłopak miał dobre intencje. W zakończeniu listu Evan wspominał, że spodziewa się wrócić do domu w czerwcu i że już niedługo zarezerwuje sobie miejsce w samolocie. Walter odłożył list z westchnieniem ulgi i zabrał się do jajek na bekonie, zupełnie zapominając o drugim liście, który miał do przeczytania tego ranka. Przypomniawszy sobie o nim po dobrej chwili.

Był to list ze stemplem Cambridge, wiadomość od Benedykta Shawa, kuzyna Waltera, profesora filologii klasycznej na tamtejszym uniwersytecie.

Drogi Walterze — pisał Benedykt — co u Ciebie słychać? Z pewnością będziesz zaskoczony moim listem, ale piszę z nadzieją, że mi coś doradzisz. Tego lata, po rozpoczęciu wakacji uniwersyteckich, mam zamiar zabrać się do pracy nad swoją dysertacją naukową i miałbym wielką ochotę zaszyć się gdzieś na odludziu na dwa czy trzy miesiące. Czy znasz jakieś miejsce w okolicy Colwyn, gdzie można by coś wynająć? Wystarczy nam z Jane mały domek... Pomyślałem, że może znasz kogoś, kto by wynajął coś takiego na lato. Masz jakiś pomysł? Gdybyś wiedział o jakimś cichym, wygodnym i położonym na uboczu miejscu, to bardzo Cię proszę, daj nam znać. Mam nadzieję, że Gwyneth czuje się dobrze. Kiedy Evan wraca z Afryki? Jane przesyła serdeczne ucałowania i mówi, że ma nadzieję wkrótce Was zobaczyć, a ja tę nadzieję oczywiście podzielam. Twój Benedykt.

Walter powoli dokończył jajka na bekonie i jeszcze raz przeczytał list. Zastanawiał się, czy Benedykt przy-mawiał się w ten sposób o zaproszenie. List nie wskazywał na to wyraźnie, ale z pewnością kuzyn miał prawo spodziewać się zaproszenia. Zdanie: „Gdybyś wiedział o jakimś miejscu cichym, wygodnym i położonym na uboczu” natychmiast przywodziło na myśl Colwyn Court, wzbudzając w Walterze poczucie winy. Nie to, żeby nie lubił swojego kuzyna... Chociaż w ostatnich czasach dość rzadko się widywali i mało mieli ze sobą wspólnego, zawsze byli w dobrych stosunkach. Gdyby jednak pan Poole zdecydował się uwolnić Waltera od kłopotów finansowych wynajmując obydwie skrzydła Colwyn Court dla swego stowarzyszenia, chyba nie starczyłoby już miejsca dla Benedykta i jego żony.

— O Boże — powiedział Walter na głos, nie widzącym wzrokiem wpatrując się w swą nie dokończoną grzanę z marmoladą. — O Boże, co za niezręczna sytuacja.

Drzwi jadalni skrzypnęły cicho, ale kroków wchodzącego nie było słychać. Słaby powiew z holu ruszył zasłoną w otwartym oknie.

— Niezręczna sytuacja? — powtórzył gość Waltera ciepłym, układnym głosem. — Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, panie Colwyn. Może będę mógł panu pomóc.



Był to wysoki mężczyzna o twarzy, której nie sposób zapamiętać, zmieniała bowiem wyraz w zależności od sytuacji. Miał głęboko osadzone oczy, szerokie kości policzkowe, duże ruchliwe usta i gęste, krótko ostrzyżone, dobrze utrzymane włosy z tradycyjnym przedziałkiem. Był ubrany w tradycyjne ciemne ubranie, tradycyjną białą koszulę i tradycyjnie konserwatywny krawat, coś jednak zakłócało ten starannie wyreżyserowany wizerunek typowego angielskiego dżentelmena: ręce i głos. Mężczyzna miał piękne dłonie o długich szczupłych palcach i w odróżnieniu od większości Anglików pierścioneł nosił na środkowym palcu prawej ręki. Był to zupełnie nieangielski pierścień, odlany z jakiegoś matowo-

srebrzystego metalu nieznanego pochodzenia i pokryty dziwnymi wzorami. Kiedy zaś mężczyzna mówił, jego głos tak łatwo wpadał w ucho, że w pierwszej chwili trudno było ocenić, co sprawia, że jego właściciel nie wydaje się typowym Anglikiem — dopiero po chwili słuchacz odkrywał, że to obcy akcent w wymowie samogłosek i osobliwy dobór wyrazów. Pan Poole rzadko posługiwał się typowymi amerykańskimi, jednak sporadycznie używane krótkie „a” w niewłaściwym miejscu czy też nieangielskie stosowanie przyimków wskazywały, że w przeszłości musiał spędzić jakiś czas po drugiej stronie Atlantyku. Trudno byłoby ocenić, ile miał lat. Walterowi wydawało się, że musi być rówieśnikiem trzydziestoletniego Evana, natomiast Gwyneth sądziła, że ma pod czterdziestkę i uważała go za kosmopolitę o rozległych doświadczeniach i horyzontach.

— Może mógłbym w czymś pomóc? — zapytał Tristan Poole swego gospodarza. Obok listów Evana i Benedykta dostrzegł stosik nie otwartych jeszcze rachunków i zastanawiał się, jak poważne są problemy finansowe Waltera. Możliwe, że to tylko przejściowe trudności. Dom był dobrze utrzymany, pełen cennych przedmiotów, a cała posiadłość rozlegała. Jeśli nawet w tej chwili Walter Colwyn pilnie potrzebował gotówki, to i tak daleki był od bankructwa. — Cóż to za kłopot? Mam nadzieję, że nic poważnego.

— Nie, nie, skądże — mruknął Walter z wyraźną ulgą. Rozmowa z Poole'em działała na niego wyraźnie kojąco. — Proszę, niech pan sobie nałoży jajek na bekonie, drogi przyjacielu... Nie, kłopot po prostu polega na tym, że... — I w swój chaotyczny sposób zapoznał go z treścią listu Benedykta i komplikacjami wynikającymi z zawartej w nim prośby.

Poole nalał sobie herbaty i podjął ciche postanowienie, że kiedy tylko zamieszka w Colwyn Court na stałe, wprowadzi zwyczaj podawania kawy, prawdziwej kawy.

—...no, w każdym razie myślałem... Ale może coś panu podać, przyjacielu?

—Nie, dziękuję — odparł Poole.

—Właściwie nie wiem, co myślałem — ciągnął Walter — prócz tego, że znalazłem się w bardzo niezręcznej sytuacji. Widzi pan, naprawdę chciałbym tu przyjąć pana razem z pańskim stowarzyszeniem, ale cóż, Benedykt... Powinienem go zaprosić...

—Ależ oczywiście, panie Colwyn — powiedział Poole. — Jest przecież całkiem proste rozwiązanie. O ile mi wiadomo, ma pan domek nad morzem, który od dwóch lat wynajmuje pan letnikom, prawda? Tego lata mógłby pan wynająć go swoim kuzynom albo po prostu ich tam zaprosić. Myślę, że profesor Shaw będzie zadowolony mieszkając tak blisko Colwyn Court, poza tym wydaje mi się, że znajdzie tam niezbędny spokój do pracy. Czy przypadkiem nie myli się pan, doszukując się w tym liście aluzji co do ewentualnego zaproszenia do Colwyn Court? Według mnie profesor miał na myśli właśnie ten mały domek.

—Nie, Benedykt nie wie, że od dwóch lat wynajmuję ten domek — odparł Walter. — Wie pan, mieszkał tam mój szofer. Kiedy był już zbyt stary, żeby mnie wozić, wynająłem mu go za symboliczną opłatą, a potem kiedy umarł...

Poole zastanawiał się przez chwilę. Byłoby lepiej, gdyby domek został wynajęty pogrążonemu w pracy profesorowi niż kolejnym rodzinom przyjeżdżającym tu na lato z tabunami ciekawskich dzieci.

—Czy wynajął go pan komuś na ten rok? — zapytał, kiedy Walter zamilkł na chwilę, usiłując złapać wątek myśli. — A może jest jeszcze wolny?

—Nie, wynająłem go już w styczniu pewnej miłej rodzinie...

—Ale z pewnością pański kuzyn ma pierwszeństwo!

—Oczywiście, jednak zupełnie nie wiem, jak mógłbym...

—Proszę zdać się na mnie. Ja to za pana załatwię. Jeśli tylko da mi pan adres tych ludzi, napiszę do nich i wszystko im wyjaśnię.

—Tak, ale ja... nie chciałbym sprawiać panu kłopotu...

—To naprawdę żaden kłopot — odparł Poole ze swym szerokim, czarującym uśmiechem. — Będę szczęśliwy mogąc się na coś przydać. — Pociągnął głęboki łyk z filiżanki, zapominając, że jest w niej herbata, i skrzywił się poczuwszy jej gorzki smak. — Niech mi pan opowie o swoim kuzynie. Rozumiem, że to pański rówieśnik.

—Benedykt? Nie, on ma dopiero jakieś czterdzieści sześć lat. Moja matka miała znacznie młodszą siostrę, która wyszła za mąż, kiedy...

Poole słuchał cierpliwie, smarując grzanek masłem. Była całkiem zimna. Dlaczego w Anglii grzanki zawsze są zimne? Gdy tylko zamieszka w Colwyn Court na stałe...

— ..a potem jej syn poślubił dwudziestosiedmioletnią dziewczynę — ciągnął Walter. — Oczywiście wszyscy byliśmy zdumieni. Niech no policzę, ile Jane ma teraz lat. Nie pamiętam, jak dawno są po ślubie. Chyba

pięć albo sześć lat... niestety nie mają dzieci... Ona jest bardzo sympatyczną dziewczyną, ładną i miłą. Zupełnie nie wiem, co widziała w poczciwym Benedykcie, który był przecież zatwardziałym starym kawalerem...

Jeden profesor, zajęty swoją pracą i jedna kobieta, najprawdopodobniej całkowicie zajęta swoim mężem, to żadne zagrożenie, pomyślał Poole.

— Oboje wydają się nadzwyczajni — powiedział głośno. — Oczekuję z niecierpliwością chwili, kiedy ich poznam...

—No tak —powiedział Benedykt Shaw ze złością do żony, kiedy jedli śniadanie w dwa dni później. — Walter albo zwariował, albo jest na skraju nędzy, albo jedno i drugie. Wyobraź sobie tylko! Wpuścić do domu jakieś zwariowane towarzystwo i pozwolić robić, co im się podoba. A mnie wynająć tę rudere, w której kiedyś mieszkał szofer! Jak on śmie żądać ode mnie pieniędzy! Ode mnie! Swego bliskiego kuzyna! Byłoby to oburzające, gdyby nie było tak zupełnie absurdalne. Musi być na skraju bankructwa, tylko tyle mogę powiedzieć. Kiedy Evan w czerwcu wróci do domu. dobrze byłoby z nim o tym porozmawiać.

—Czy Evan rzeczywiście ma wrócić w czerwcu? — zapytała Jane Shaw z roztargnieniem. Usiłowała właśnie obliczyć, ile kalorii może mieć grzanka posmarowana dość obficie masłem i marmoladą.

—Według tego, co pisze Walter, tak. — Benedykt z wściekłością przecierał okulary. — Bóg jeden wie, co on na to powie! Towarzystwo Propagowania Pokarmów Naturalnych, Boże wielki! Śmiechu warte!

Nie, nie mogę tego zjeść, pomyślała Jane, to aż dwieście dwadzieścia kalorii. Starła się myśleć o czymś innym.

—Przypuszczam, że Walterowi trudno jest utrzymać Colwyn Court — zauważyła rzeczowo. — Ty, Benedyckie, zawsze sądziłeś, że Walter jest bogaty, ale przy tych podatkach i przy ciągle wzrastających kosztach utrzymania...

— Moja droga, mnie nie musisz przypominać ani o naszym niesprawiedliwym systemie podatkowym, ani o rosnących kosztach utrzymania.

— No tak, masz rację — odparła Jane, z trudem powstrzymując się, by nie wyciągnąć ręki po zakazaną grzankę. Jak trudno czasem zdobyć się na silną wolę. — Z pewnością wiesz o tych sprawach znacznie więcej niż ja, kochanie.

Benedykt skwitował to uśmiechem, który wygładził gniewne zmarszczki na jego twarzy i dodał blasku oczom skrytym za grubymi okularami.

Kiedy Jane nachyliła się ku niemu i pocałowała go, ścisnął mocno jej rękę w swojej, po czym podniósł się z miejsca.

—Najbardziej mi się w tobie podoba, kochanie, że zawsze mówisz akurat to, co trzeba — powiedział.

—To brzmi tak, jakbym nigdy nie robiła i nie mówiła tego, co naprawdę mam na myśli!

—Nic podobnego. Jestem jak najdalszy od oskarżania cię o hipokryzję.

—Cóż za śmieszne słowo — mruknęła Jane, niezbyt pewna, co ono właściwie znaczy. — Czy przyjmiesz propozycję Waltera w sprawie tego domku, Benedykcie? Mnie też dziwi, że każe ci płacić, ale...

—Zupełnie to do niego niepodobne — powiedział Benedykt znowu ze złością. — I całkiem nie na miejscu w tych okolicznościach. A co do tego zwariowanego towarzystwa w Colwyn Court...

— Ale sam domek jest przecież pięknie położony i z pewnością miałbyś tam ciszę i spokój do pracy...

—Ciszę i spokój?! W otoczeniu zgrai pomyleńców karmiących się zdrową żywnością?

—Nie wydaje mi się, żebyś musiał ich w ogóle spotykać. Jestem przekonana, że w tym małym domku wcale nie będą ci przeszkadzać.

—Ty chcesz, żebym tam pojechał, prawda? — zapytał Benedykt rozdrażniony.

—Tylko jeśli ty też będziesz tego chciał, kochanie, ale wydaje mi się, że byłoby całkiem niezłe, gdybyś się zgodził.

—I pomyśleć, że byłem prawie pewien zaproszenia do Colwyn Court!

—Tak naprawdę wcale nie byłbyś z tego zadowolony — stwierdziła Jane. — Walter działałby ci na nerwy i nie miałbyś chwili spokoju od muzyki pop, której bez przerwy słucha Gwyneth.

—Ale płacić Walterowi za tę nędzną budę...

—I tak musiałbyś płacić, gdybyśmy wynajęli domek gdziekolwiek indziej, a ta „buda” jest całkiem sympatycznym miejscem — powiedziała Jane. — Byłam tam kiedyś z Gwyneth, zaniósłszy wtedy temu staremu szoferowi prezent gwiazdkowy. I pomyśl tylko, Benedykcie, jak uspokajająco działa morze! Dobrze wiesz, że nad morzem świetnie ci się pracuje.

—Hm... — mruknął Benedykt. — Widzę, że nie mam specjalnego wyboru. — W ponurym nastroju podszedł do okna i objął spojrzeniem mały ogródek za domem, starannie pielęgnowany przez Jane. — Może powinienem pojechać do Colwyn chociażby po to, żeby zobaczyć, jak bardzo Walter się postarzał — oświadczył po chwili. — Może to zwariowane stowarzyszenie go po prostu naciąga? — Odwrócił się, usiadł na krześle stojącym przy stole i zaczął bawić się pustą filiżanką. — Czy jest jeszcze kawa?

Jane naląła mu następną filiżankę.

—Czy podejrzewasz, że Walter jest w poważnych kłopotach finansowych? — zapytała.

—Wcale by mnie to nie zdziwiło. Zawsze był beznadziejnie naiwny, jeśli idzie o pieniądze. No i oczywiście taki wielki dom, jak Colwyn Court, to w dzisiejszych czasach worek bez dna. Powinien coś z nim zrobić: sprzedać czy może zamienić na mieszkanie w mieście.

—W żadnym razie nie mógłby tego zrobić! To przecież stara rodzinna siedziba!

—Takie sentymenty są nie na miejscu w drugiej połowie dwudziestego wieku — odparł Benedykt.

—A może Walter nosi się z zamiarem sprzedania Colwyn Court temu stowarzyszeniu? — zapytała nagle Jane.

—Wielki Boże! — wykrzyknął Benedykt. — Chyba nie jest aż takim głupcem!

—Ale jeżeli rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy...

— Pieniądze — burknął Benedykt. — Nienawidzę tego całego gadania o pieniądzach. Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Pieniądze to przygnębiający temat.

—Tak, kochanie. Jednak są użyteczne.

— Być może. Ale weź na przykład swojego szwagra... Kiedykolwiek wspominają o nim w prasie, to tylko w ten sposób: „Matthew Morrison, przemysłowiec milioner”. Dlaczego nie napiszą: „Matthew Morrison, przemysłowiec”? Dlaczego zawsze muszą mu przyczepiać etykietkę milionera? Czy słowo „milioner” czyni z niego inny rodzaj *homo sapiens*!

—No, jest pewna różnica — odparła Jane. — Jeśli ktoś jest milionerem, żyje jednak nieco inaczej niż zwykły rzeźnik.

—Niewątpliwie — zgodził się Benedykt. — Wszyscy wiemy, że twoja siostra nigdy nie poślubiłaby Morrisona, gdyby był zwykłym rzeźnikiem!

—Myślę, kochanie, że to trochę nie fair wobec Lizy...

—No dobrze, ale czy możesz wyobrazić sobie Lizę wychodzącą za mąż za rzeźnika?

Nie mogła, nie chciała się jednak do tego przyznać. Przez chwilę pomyślała o swojej siostrze. Liza. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Swobodna, pełna wdzięku i naturalnej elegancji. Miała praktycznie wszystko, od futer z nerek poczynając, i na dwójce pięknych dzieci kończąc.

Sięgnęła po ostatnią grzanekę i posmarowała ją masłem.

—Liza jest romantyczką — powiedziała. — Myślę, że poślubiłaby rzeźnika, gdyby się w nim zakochała.

— Bzdury — odparł Benedykt. Pomyślał, że lepiej zmienić temat. — A co porabia teraz córka Morrisona? — zapytał. — Nadal pracuje w Londynie?

—Tak, mieszka w Hampstead i rzadko przyjeżdża do domu. Liza mówiła, że nie widziała jej całe wieki.

—Hm — mruknął Benedykt, zastanawiając się, dlaczego Nicola przestała czuć się dobrze w domu swego ojca.

—Wielka szkoda, że nic nie wyszło z romansu Ni-coli z Evanem — stwierdziła Jane, ugryzwszy kawałek grzanki. Dwieście dwadzieścia kalorii, pomyślała. Może lepiej darować sobie lunch. — Naprawdę byłoby bardzo stosownie, gdyby się pobrali.

—„Stosownie" nie wydaje mi się tu właściwym słowem — oświadczył sucho Benedykt. — Przy obecnym stanie interesów Waltera Evan powinien raczej poślubić jakąś dziedziczkę sporej fortuny.

—Ależ kochanie, jestem pewna, że Evan nie ożeniłby się z nikim dla pieniędzy!

—Pieniądze, znowu to straszne słowo — burknął Benedykt.

—Ale, Benedyckie... — Jane zamilkła. Lepiej nie przypominać, że to on poruszył ten temat. Pod wpływem impulsu wzięła jedną z porannych gazet i zaczęła ją przerzucać. — Boże, o mało nie zapomniałam przeczytać swojego horoskopu! Może będzie tam jakaś wskazówka, czy powinniśmy wynająć od Waltera ten domek czy nie.

—Ja już zdecydowałem. Wynajmiemy go — oświadczył Benedykt. — Nic mnie nie obchodzi, co jakaś banda oszustów będzie wymyślać, żeby tumanić naiwnych. — Wstał, pocałował żonę i skierował się do drzwi. — Muszę lecieć. Nie czekaj na mnie dziś z lunchem, kochanie, zjem na mieście.

—Dobrze, kochanie... powodzenia. — Jak zwykle odprowadziła go do drzwi i pomachała mu, kiedy wsiadał do swojego białego austina. Mieszkali w małym domku przy cichej, wysadzonej drzewami uliczce, zaledwie półtora kilometra od centrum miasta; Benedykt miał stąd blisko do swojego college'u. Gdy odjechał, Jane wróciła do jadalni i zanim zdążyła sprzątnąć ze stołu, znów zaczęła szukać swojego horoskopu.

„Twój los na dziś” — brzmiał tytuł poszukiwanej przez nią kolumny w gazecie, a pod swoim znakiem zodiaku przeczytała: „Zastanów się, zanim podejmiesz dziś jakąś decyzję. Przyszedł czas marzeń o podróży, ale bądź ostrożna wobec nieoczekiwanego zaproszenia”.

8

—Jaki jest horoskop taty na dzisiaj? — zapytała Lucy, mała siostrzenica Jane, pasierbica Matthew Morrisona. — Co tam napisali?

—„Szczęście jest przy tobie — przeczytał z trudem jej brat Timothy. — Wykorzystaj nieoczekiwaną szansę. Bądź śmiały”. — Spojrzał na Lucy z triumfem. — To znaczy, że uda mu się uciec z Chin!

—Z Tybetu — poprawiła go Lucy. — Tata był w Tybecie. Przeszedł przez Himalaje z jednym jedynym przewodnikiem, a potem płynął rzeką na tratwie, jak na tym filmie, który oglądaliśmy, i w końcu wszedł do helikoptera...

—No, no — odezwała się Liza Morrison wchodząc do salonu, gdzie siedziały jej bliźniaki. — O kim mówicie, dzieci? Pewnie o jakimś bohaterze tych waszych okropnych komiksów, co?

Dzieci speszyły się i przez chwilę nie wiedziały, co odpowiedzieć. Spojrzały na siebie ukradkiem, a potem uśmiechnęły się do niej ostrożnie.

—Tak sobie tylko wyobrażaliśmy, mamusiu — powiedziała Lucy. — Wymyślaliśmy sobie różne rzeczy.

—Wyobrażaliśmy sobie tylko, jak by to było, gdyby tatuś wrócił do nas, gdyby jego łódź nie zatonała — wyrwał się Timothy. — Gdyby się uratował, byłby w Chinach, a stamtąd nie tak łatwo się wydostać. Może parę lat posiedziałby w więzieniu, zanim udałoby mu się uciec.

—Ależ, kochanie... — zaczęła Liza, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, lecz mając świadomość, że coś powiedzieć musi. — Tatuś nie żyje. Nie żyje już od dawna. Czyż mogłabym wyjść za mąż za wujka Matta, gdybym miała nadzieję, że wasz tatuś jeszcze żyje? No, jak wam się wydaje?

Obserwowali ją w milczeniu z twarzami bez wyrazu.

— Oczywiście — powiedział w końcu Timothy. — To tylko taka historyjka, którą sobie wymyśliliśmy.

— Tak, wymyśliliśmy sobie — powtórzyła Lucy. Liza odetchnęła z ulgą.

— A więc wszystko w porządku, prawda? — upewniła się, naciągając rękawiczki. — No to, smyki, życzę wam miłego dnia. Jadę teraz z wujkiem Mattem do Londynu i zobaczymy się wieczorem. Gdzie Konstancja?

Konstancja była hiszpańską *au pair* — pomocą do dzieci, która miała za zadanie pilnować bliźniaków, by Liza mogła swobodnie oddawać się życiu towarzyskiemu. Ale Lucy i Timothy uważali, że to raczej one nadzorują Konstancję. Teraz, po trzech miesiącach, udało im się już całkowicie nad nią zapanować.

—Na gorze — odparła Lucy.

— W porządku. Bardzo proszę, bądźcie grzeczni. — Liza pocałowała dzieci i uśmiechnęła się, biegnąc już ku wyjściu. — Nie chcę, żeby wujek Matt zbyt długo na mnie czekał... Pa, pa, dzieciaki.

Grzecznie odpowiedzieli jej do widzenia i przez okno patrzyli, jak wychodzi z domu. Ich ojczym przechadzał się już nerwowo w tę i z powrotem koło swojego nowego rolls-royce'a.

— Znowu musiał na nią czekać — stwierdził Timothy.

—Jak zwykle. I chyba jest zły — powiedziała Lucy.

—Wczoraj wieczorem był wściekły.

—Naprawdę? Kiedy?

— Gdzieś koło północy. Obudziłem się i słyszałem. Zachowywali się bardzo głośno.

—I o czym rozmawiali?

—Niewiele zrozumiałem.

—Nie podszedłeś do drzwi, żeby ich podsłuchać?

— Myślałem nawet o tym, ale mi się nie chciało. Poza tym nie było to zbyt ciekawe.

—To była prawdziwa awantura?

—Tak, chyba tak.

—Kto był bardziej rozzłoszczony, wujek Matt czy mama?

—Wujek Matt. Chodziło o pieniądze i o podatki. On chce się przeprowadzić na Wyspy Normandzkie czy gdzieś tam, żeby oszczędzić na podatkach. Na to mama:

„Wyspy Normandzkie? Kochanie, to szaleństwo. Ja miałabym mieszkać w takiej dziurze?" Wtedy wujek Matt naprawdę się rozzłoszcił i powiedział, że dla niego Bahamy to emerytura i że nie pojedzie tam tylko po to, żeby jej sprawić przyjemność. Na to mama...

— Timmy, więc jednak podsłuchiwałeś!

— Tylko przez chwilę. Byłem okropnie głodny i po drodze do kuchni... Więc na to mama: „Na Bahamach przynajmniej mogłabym się trochę rozerwać". A wujek Matt odpowiedział: „Tobie tylko to w głowie, prawda? Ja będę miał dość rozrywek na Wyspach Normandzkich". Wyglądało na to, że jest bardzo zły.

— I co potem?

— Musiałem uciekać, bo mama wyszła z pokoju. Ledwo zdążyłem się schować.

—I dokąd poszła?

—Do gościnnego pokoju.

—Małżeństwa nie powinny sypiać oddzielnie — oświadczyła Lucy. — Słyszałam, jak kucharka i pani Pierce mówiły, że w ten sposób można poznać, czy małżeństwo jest udane czy nie.

—Pewnie pani Pierce była zła, że musi ścielić dwa łóżka, a niejedno... Zobacz, idzie mama... Wujek Matt jest chyba jeszcze ciągle zły.

Patrzyli przez okno w milczeniu.

—Timmy, jak myślisz...

—Co?

— Gdyby mama rozwiodła się z wujkiem Mattem... to znaczy, gdyby tak się złożyło...

— I gdyby tata wrócił z Chin...

—Z Tybetu.

—...fajnie by było. Chociaż lubię wujka Matta...

—Tak, on jest całkiem w porządku.

—Może po rozwodzie moglibyśmy się czasem z nim widywać.

—Może byśmy mogli — przytaknęła Lucy i oboje uśmiechnęli się do siebie.

—Na pewno wszystko w końcu dobrze się ułoży — powiedział Timothy zdecydowanie.

—Tak, tylko ile jeszcze będziemy czekać, aż tata wróci? — zapytała smutno Lucy. — Czasami wydaje mi się, jakbyśmy mieli czekać bez końca.

Timothy nie odpowiedział. Stali w milczeniu przy oknie, gdy rolls-royce ruszył sprzed domu i z pomrukiem silnika oddalił się krętym pod-

jazdem w kierunku odległego o niespełna trzydzieści kilometrów Londynu.

9

—Przepraszam cię za wczorajszy wieczór — powiedział Matthew Morrison. Dużo go kosztowało, żeby to z siebie wydusić. Nienawidził przepraszać, był na to zbyt dumny, szczególnie jednak nienawidził przepraszać, kiedy czuł, że w niczym nie zawinił.

—Naprawdę? — odpowiedziała Liza lodowato. Zauważył, że wygląda dziś znakomicie. Mimo że pogoda kwietniowa była dość niepewna, miała na sobie elegancką wiosenną sukienkę i dobrany do niej płaszcz, jakby nie było żadnych wątpliwości, że zima minęła, a nadejście lata to już tylko kwestia dni. — Fatalnie prowadzisz, Matt — zauważyła. — Wcale nie patrzysz na drogę. Powinieneś wynająć szofera.

Matt jednak nie ufał szoferom. Miał pięćdziesiąt pięć lat i zdążył się przyzwyczaić do różnych udogodnień, które można mieć za pieniądze, ale myśl, że miałby być pasażerem we własnym samochodzie, napawała go wstrętem. Wystrzegał się też skrycie „pretensjonalnego zachowania” i „udawania kogoś, kim się nie jest”. Efektem tego był pewnego rodzaju przewrotny snobizm, pragnienie prostoty, do którego doszedł na długo przedtem, zanim udało mu się pokonać wszystkie szczeble kariery, poczynając od funkcji gońca, a kończąc na stanowisku prezesa rady nadzor-

czej gigantycznego imperium przemysłowego. Był teraz właścicielem wielkiego domu, w którym czuł się nieswojo, zatrudniał pierwszorzędną kucharkę, która gardziła jego ulubioną tradycyjną angielską kuchnią, i miał piękną żonę, której gustów i upodobań nie potrafił podzielać. W skrytości ducha pogardzał tym domem (w chwilach złości nazywał go „tą przebrzydłą stodołą”), pogardzał kunsztem kucharki („tymi cholernymi francuskimi bzdurami”), i nawet swoją żonę, o której wiedział, że jest zepsuta i uparta — ale jednocześnie miał pełną świadomość tego, jak trudno by mu było z którejkolwiek z tych rzeczy zrezygnować. Chciałby oczywiście wierzyć, że wciąż jest tym samym zwyczajnym facetem, nie skażonym przez sukces, był jednak dostatecznie uczciwy, by przyznać, że w rzeczywistości zmienił się bardzo. I chociaż nie w smak mu było przyznawać się do tego nawet przed samym sobą, czerpał skrywaną przyjemność z tych wszystkich uroków życia, które stały się dostępne dzięki jego majątkowi i pozycji. Maskował to jednak starannie. Wiedział, jak wyrażano się o tych, którzy się dorobili i chełpili się swoim majątkiem, i obawiał się, że i do niego przyłgnie obraźliwa etykieta „nuworysza”.

— Nie lubię szoferów — odpowiedział żonie. — Dzisiaj to tylko ostentacja, a wiesz, jak mnie to drażni.

— Pozujesz na „prostego człowieka” i zamierzasz przejść na wczesną emeryturę, żeby potem ugrzęznąć w jakiejś zapadłej dziurze nad kanałem La Manche, więc jaki jest sens oszczędzać pieniądze na podatkach, jeśli i tak nie będzie gdzie ich wydać?

— Przecież nie musimy tam tkwić przez cały rok.

—Nie rozumiem, co masz przeciwko Bahamom. Mógłbyś tam pływać i łowić ryby, i prowadzić swoje „zwykłe życie” dokładnie tak jak tutaj, a klimat tam jest cudowny.

— To za daleko od Anglii.

—Och, Matt, nie bądź takim szowinistą! Dzisiaj już donikąd nie jest daleko!

—Cóż, jeśli wyobrażasz sobie, że mam zamiar zostać członkiem snobistycznej socjety...

—Nie wiem, co miałyby być w tym złego, jeśli tylko cię na to stać. Że to zbyt „ostentacyjne”? Ależ z ciebie hipokryta!

—Nic nie rozumiesz — odparł Matt, zaciskając z uporem usta.

—Wobec tego może jak przejdiesz w czerwcu na emeryturę, to moglibyśmy chociaż spędzić jakieś przyzwoite wakacje, zanim zdecydujesz, gdzie chcesz się osiedlić? Może pojechalibyśmy jeszcze raz do Hiszpanii?

—W Hiszpanii czerwiec jest wściekle gorący, a poza tym nie cierpię tego ich beznadziejnego jedzenia. Wolałbym pobyć w Anglii, gdzieś nad morzem.

—Mój Boże — westchnęła Liza — zaraz powiesz, że chciałbyś pobyć w Colwyn, razem z Jane i Benedyktem.

Matt wyglądał na zaskoczonego.

—Oni tam są?

—Jeszcze nie, ale Benedykt ma wynająć na całe wakacje domek należący do majątku. Nie opowiadałam ci o mojej wczorajszej rozmowie z Jane?

—Byłaś zbyt zajęta opowiadaniem mi o tym, jak bardzo chciałabyś mieszkać na Bahamach. Może moglibyśmy pojechać do Colwyn w czerwcu i spędzić tam ze dwa tygodnie?

—Oczywiście żartujesz.

—Jak duży jest ten domek?

—Och, to wstrętna nora. Matt, ty chyba nie mówisz poważnie!

—Lubię tamtą część walijskiego wybrzeża — oświadczył Matt. — Walter Colwyn ma szczęście, że jego posiadłość leży na półwyspie Gower.

—Nic dziwnego, że byłeś taki rozczarowany, kiedy Evan Colwyn rzucił Nicole i wyjechał do Afryki!

—Nie rzucił jej — mruknął Matt, myśląc o córce z dotkliwą tęsknotą. — Nie byli zaręczeni.

—Nicola sprawiała wrażenie, jakby jej nie zależało — odparła Liza. — Ona nie ma pojęcia, jak postępować z mężczyznami.

—Przynajmniej jest przyzwoitą dziewczyną, która nie stara się złapać męża za wszelką cenę.

—Skąd wiesz? — krzyknęła Liza. — Prawie jej nie widzisz.

—A czyja to wina? — odkrzyknął w odpowiedzi Matt. Odwrócił się do żony z wściekłością. Samochód zaczął niebezpiecznie zjeżdżać z kursu.

—Ostrożnie! — zawołała przerażona Liza. — Na litość boską, jeśli nie umiesz normalnie prowadzić, wysiadam i dalej pojedę taksówką, to nie na moje nerwy.

Matt nic nie odpowiedział, chwycił tylko mocniej kierownicę. Jechali w milczeniu aż do chwili, gdy dotarli do salonu piękności w Knightsbridge, w którym Liza miała wyznaczoną wizytę u fryzjera.

—Życzę ci dobrego dnia — odezwał się, kiedy wysiadała z samochodu. — Do zobaczenia wieczorem.

—Dzięki — odparła Liza i już jej nie było.

Patrząc, jak wchodzi do salonu, Matt pomyślał o swojej pierwszej żonie, matce Nicoli, która zmarła dziesięć lat temu; wciąż zadawał sobie pytanie, jak mogło dojść do tego, że po tak udanym pierwszym małżeństwie potrafił się tak katastrofalnie pomylić.

W Colwyn Court Gwyneth po raz pierwszy od wyzdrowienia postanowiła zażyć trochę ruchu i w towarzystwie Tristana Poole'a wybrała się na spacer do ruin wzniesionego na skałach nadmorskich zamku Colwyn. Kiedy doszli na miejsce, opadła na trawę, z niepokojem wsłuchując się w bicie swego serca.

— Mam nadzieję, że ten spacer mi nie zaszkodzi — odezwała się po chwili.

Poole nie odpowiedział. Stał parę kroków od krawędzi skały, a wiatr rozwiewał poły jego marynarki.

—Tristan! — zawołała z wyrzutem Gwyneth. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

—Przepraszam, nie dosłyszałem, co mówiłaś.

—Czy nie wydaje ci się, że taki marsz pod górę to dla mnie za duży wysiłek? Serce tak mi strasznie szybko bije.

—Wszystko będzie w porządku. Po prostu odpocznij chwilę.

Gwyneth położyła się na trawie, z rękami splecionymi pod głową, i przeżywała teraz tę scenę w wyobraźni. Po tym, jak powiedziała, że jej serce tak szybko bije, Tristan mógłby uklęknąć obok i swymi smukłymi palcami spróbować wyczuć jego rytm i wtedy...

— Masz bardzo bujną wyobraźnię, Gwyneth — stwierdził Tristan Poole.

Gwyneth usiadła. Jej policzki płonęły. Przez moment nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Ale on wcale się z niej nie śmiał. Stał wciąż wpatrując się w morze, daleki i jakby nieobecny.

—Dlaczego to powiedziałaś? — spytała wreszcie niepewnie.

—A czyż tak nie jest? — odparł spoglądając na nią.

Była zbита z tropu. W zakłopotaniu starała się coś wymyślić, żeby zmienić temat, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

—Wyobraźnia rzadko jest tak satysfakcjonująca jak rzeczywistość — oświadczył Poole. — Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym?

Myśli wirowały Gwyneth w głowie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła.

—Gwyneth, dlaczego boisz się rzeczywistości?

—Wcale się nie boję — odparła głośno, drżała jednak na całym ciele. Musiała pokonać chęć natychmiastowej ucieczki, powrotu do domu, pragnienie, żeby bezpiecznie skryć się za drzwiami swojego pokoju.

—Ale wolisz swój własny, wyimaginowany świat. — Poole westchnął. Chyba od początku wiedział, że dziewczyna jest zbyt neurotyczna, by mogła stać się obiektem jego zainteresowania. Wielka szkoda, ale nie było sensu zajmować się kimś, kto i tak był stracony. Gwyneth nie byłaby w stanie przyjąć tego, co chciał jej ofiarować. Akceptowała go jedynie w roli doktora, a gdyby z tej roli wyszedł, lęki dziewczyny kazałyby jej z powrotem zamknąć się w swoim własnym, wymyślonym świecie i szczelnie odgrodziłyby ją od tego wszystkiego, co zamierzał jej pokazać.

Gwyneth rozglądała się gorączkowo po okolicy, jakby w poszukiwaniu ratunku. Kiedy zobaczyła w oddali za plażą domek szofera, powiedziała z pośpiechem:

— Czy tatuś mówił ci już, że jego kuzyn Benedykt przyjedzie tutaj w czerwcu? To taki typowy naukowiec nie mający pojęcia, co się wokół niego dzieje. Za to ona jest przemiła, to znaczy jego żona Jane, chociaż właściwie też jest staroświecka, ale bardzo ładna, jednak nie taka ładna jak jej siostra Liza, która jest prawdziwą pięknoscią, ojej, chciałabym być Liza, jest taka czarująca, a w dodatku wyszła za mąż za milionera... sły-
szałeś może o Matthew Morrisonie?

Poole przyglądał się falom rozbryzgującym się w dole o brzeg.

— Chyba coś mi się obilo o uszy. — Raptownie obejrzał się na Gwyneth. — A więc żona pana Benedykta Shawa ma szwagra milionera?

— Tak, bo siostra Jane...

— Jak ona ma na imię?

— Liza.

— Liza — powtórzył Poole. — Cóż za urocze imię.

— Och, ona sama jest równie czarująca jak jej imię — powiedziała Gwyneth szczęśliwa, że udało jej się odwrócić uwagę od własnej osoby. — To bardzo atrakcyjna kobieta.

— Doprawdy? — mruknął Tristan Poole odwracając się znowu w stronę morza, i dodał zwracając się już bardziej do siebie niż do Gwyneth: — A to ciekawe...

ROZDZIAŁ 2

1

Był czerwiec. W Cambridge rzeka wiała się połyskliwie na tyłach college'ów, trawniki na dziedzińcach były soczyście zielone. Po wyjeździe studentów miasto jakby się skurczyło, stało się spokojniejsze, pogrążyło się w ciszy starodawnych budynków i w cieniu jeszcze dawniejszej przyszłości.

Jane gorączkowo pakowała rzeczy na wakacyjny wyjazd, usiłując nie wpaść w panikę.

—Jestem przekonana, że czegoś zapomnę — powiedziała do Benedykta. — Czy dałam znać komu trzeba, że nie będziemy brać mleka ani gazet? Naprawdę nie pamiętam, co już zrobiłam, a czego nie. Tak bym chciała być już w Colwyn i całe to przebrzydłe pakowanie mieć za sobą!

—Skoro dzisiaj nie przynieśli gazet i mleka, to pewnie odwołałaś i jedno, i drugie — stwierdził Benedykt. — A co z kotem?

—Jak to co? Marble też jedzie! Przecież nie mogłabym go zostawić!

—Jane, kochanie, to on zostawi ciebie, jeżeli będziesz go taszczyć stąd aż do Walii! Przecież znasz koty! Zawsze odnajdują drogę do domu, jeśli się je przeniesie gdzie indziej.

—Marble nie jest taki jak inne koty — oświadczyła Jane.

—Jeśli myślisz, że mam zamiar jechać aż do Walii z tym cholernym kotem miauczącym przez całą drogę na tylnym siedzeniu...

—Będę go trzymała w koszyku na kolanach i będzie się zachowywał jak trusia — powiedziała Jane stanowczo.

—Uwierzę dopiero, jak zobaczę — mruknął Benedykt, rezygnując z dalszej dyskusji na ten temat. Sam kupił jej tego kota rok temu, kiedy go zobaczyła na wystawie sklepu zoologicznego. Mający już czternaście miesięcy Marble był pięknym stworzeniem o puszystym białym futrze, różowych złośliwych oczach i ostrych pazurach. Benedykt, choć nie należał do miłośników kotów, bardzo polubił Marble'a, teraz jednak przyjmował jego obecność w domu z mieszanymi uczuciami. Było coś przejmująco smutnego w uczuciu, jakim Jane darzyła kota: cały przepelniający ją instynkt macierzyński trwonila dla jednego rozpuszczonego zwierzaka.

—No chodź, Marble — powiedziała Jane. Wzięła kota i wsadziła go do koszyka. — Wyjeżdżamy na wspaniałe wakacje.

Marble spojrzał na nią ze wstrętem. Kiedy siedzieli już w samochodzie, zaczął głośno protestować i powietrze aż zawibrowało od jego wściekłych wrzasków.

—Mówiłem ci, że tak będzie — mruknął Benedykt.

—Zaraz się uspokoi — broniła się Jane.

—No dobrze. Wszystko zabraliśmy?

—Tak mi się wydaje... Ojej, nie wyrzuciłam starego chleba! Poczekaj chwilę...

—Ja wyrzucę — powiedział Benedykt. — Ty zostań z tym zwierzakiem. Wolę nie brać za niego odpowiedzialności.

Wreszcie udało im się wyruszyć. Benedykt prowadził jak zwykle w sposób nieskoordynowany. Kiedy wyjechał z miasta, wziął kurs na zachód, przez środkową Anglię ku południowej Walii. Kot uspokoił się i Jane westchnęła z ulgą. Benedykt zaczął nucić fragment „Symfonii Pastoralnej” Beethovena.

—Myślałam, że nigdy nie wystartujemy — oświadczyła Jane. — Dlaczego jestem taka niepozobierana? Tak bardzo chciałabym być jedną z tych energicznych, praktycznych i przedsiębiorczych kobiet, które nigdy nie mają wokół siebie bałaganu.

—Nie cierpię energicznych, praktycznych i przedsiębiorczych kobiet — odparł Benedykt. — Gdybyś nie była akurat taka, jaka jesteś, ani by mi się śniło z tobą żenić

Jane westchnęła, ale czuła się szczęśliwa. Przypomniało jej się, co podsłuchiwała kiedyś na przyjęciu. „Nie wiem, co Jane w nim widzi!” — mówiła Liza do przyjaciółki. Liza nigdy jej nie rozumiała. Tak samo matka, która zmarła rok temu. Szybując myślami dalej w przeszłość Jane przywołała postać matki mówiącej do niej grzecznie, lecz z roztargnieniem: „Jane, kochanie, nie wydaje ci się, że najwyższy czas zmienić fryzurę...? Niezbyt modna i wyglądasz w niej nieporządnie... Kochanie, mam wrażenie, że w tej sukience nie wyglądasz najlepiej... Jane, jesteś przecież całkiem ładna i przy pewnym małym wysiłku z twojej strony mogłabyś być taka atrakcyjna... to tylko kwestia elegancji... Liza na przykład”... „Ale ja nie jestem Liza — powiedziała wtedy Jane. — Ja jestem ja”.

Przypomniała sobie chłopców na zabawach szkolnych. „Chyba nie jesteś siostrą Lizy, co? Naprawdę jesteś?” A potem nauczycieli. „Jane bar-

dzo się stara, ale..." Lizie też szło w szkole nie najlepiej, ale tylko dlatego, że nie poświęcała nauce szczególnej uwagi, co do tego wszyscy się zgadzali. W końcu jeszcze ten okropny problem nadwagi. „To naprawdę pech, że nie jesteś podobna do Lizy, kochanie — Liza je ze dwa razy tyle co ty i nie przybywa jej nawet grama”.

Liza. Zawsze tylko Liza.

—To niemożliwe, żebyś się we mnie zakochał — powiedziała kiedyś w rozmowie z Benedyktem. — Jestem gruba i głupia, wyglądam nieporządnie, koło ciebie też robię bałagan i w porównaniu z Lizą....

—Nie lubię takich kobiet jak Liza — odparł wtedy.

—Ale...

—Podobasz mi się właśnie taka, jaka jesteś — oświadczył Benedykt. — Nie byłbym zadowolony, gdybyś kiedykolwiek starała się zmienić.

Powtarzał to wielokrotnie w ciągu tych sześciu lat, od kiedy się poznali, ale choć nawet teraz Jane trudno było w to uwierzyć, poczuła się lepiej. Samochód niespiesznie toczył się na zachód, w stronę Walii, czerwony dzień był długi, pogodny i Jane głaszcząc gęste futro Marble'a pomyślała, że jego senne mruczenie pozostaje w harmonii z ogarniającym ją poczuciem zadowolenia i spokoju.

Był już wieczór, kiedy dojechali do Swansea, dużego miasta przemysłowego i portowego — a gdy pozostawili za sobą szpetotę ludzkich siedlisk i wjechali w dzikie okolice półwyspu Gower, słońce zdążyło już zejść. Colwyn leżało półtora kilometra od morza, na południowym skraju półwyspu. Zbliżając się do wioski, pozostawili za sobą lesiste okolice i wyjechali na otwartą przestrzeń; pola były tu otoczone kamiennymi mur-

kami, a odległe farmy rozciągały się aż po skaliste wybrzeże i nadmorskie wrzosowiska.

—Evan pewnie już się nie może doczekać powrotu do domu — powiedziała Jane, wpatrując się z rozmarzeniem w czerniejące w oddali morze. — Już chyba niedługo wraca, prawda?

Przejechali przez wieś i skręcili w aleję prowadzącą do bram Colwyn Court. Był to stary dom, zbudowany pierwotnie w stylu elżbietańskim, ale potem przebudowany gruntownie, zgodnie z panującą wówczas w architekturze modą. Fronton był biały, utrzymany w stylu króla Jerzego, pełen symetrii i powagi, z tyłu jednak dobudowano dwa skrzydła typowo elżbietańskie.

—Cicho tu jak w grobie — mruknął Benedykt. — Pewnie wszyscy już śpią. Która to godzina, kochanie?

—Dziewiąta.

—Musi być znacznie później!

—Chyba tak... zegarek mi stanął. Zapomniałam go nakręcić. No i co teraz zrobimy?

2

—Zobaczę, może Walter jeszcze nie śpi, albo chociaż zostawię mu wiadomość, że dojechaliśmy szczęśliwie, a potem możemy jechać do tego domku.

—Dobrze. — Jane zamknęła pokrywką koszyk, w którym siedział Marble, i wysiadła za Benedyktem z samochodu. Jechali tak długo, że

nogi całkiem jej zeszywniały. Nagle poczuła ochotę na gorącą kąpiel, która byłaby świetnym relaksem po takiej podróży.

Benedykt zadzwonił do drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Na niebie świeciły gwiazdy, w ciemności nad ich głowami przeleciał nietoperz.

— Chyba rzeczywiście wszyscy już śpią. — Zadzwonił jeszcze raz. — Powinniśmy byli wcześniej wyjechać z Cambridge — dodał odwracając się. — Ale trudno, możemy przyjść tu jutro po śniadaniu. Mam nadzieję, że Walter zostawił nam domek otwarty.

W hallu zapaliło się światło. Benedykt odwrócił się znowu, a Jane cofnęła się, bo drzwi otworzyły się ukazując tęgą kobietę w średnim wieku, o siwych falujących włosach i pogodnym uśmiechu.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Państwo profesorostwo Shaw? Jestem Agnes Miller, sekretarka oddziału Colwyn Towarzystwa Propagowania Pokarmów Naturalnych. Proszę, niech państwo wejdą!

Marble patrzył przez szczeliny swego koszyka umieszczonego na przednim siedzeniu samochodu i wściekle drapał pazurami jego wiklinowe ścianki. Słyszając gdzieś w oddali głos Benedykta i nieco bliżej szmer głosu Jane, czuł się porzucony. To go rozwścieczyło. Nienawidził koszyka, nienawidził samochodów. A poza tym dzień był długi i męczący. Miauknął dziko, wyprężył grzbiet i zapał się wszystkimi czterema łapami. Pokrywka odskoczyła. Marble zmrużył oczy w ostrym świetle padającym z ganku i przez otwarte okno samochodu śmignął na zwirowaną ścieżkę.

— Jaki piękny kot! — wykrzyknął nieznajomy kobiecy głos i jakaś obca dłoń delikatnie zaczęła głaskać go po grzbiecie.

—Ostrożnie, panno Miller! — ostrzegł nerwowo Benedykt. — On nie lubi obcych.

Marble drżał. Był oszołomiony i podniecony.

—Chodź, kochanie — powiedziała Jane i wzięła go na rękę. Marble zmrużył oczy, przypomniał sobie nagle, że jest wolny, wyrwał się z objęć Jane i rzucił się w głąb domu.

—Marble! — zawołała Jane.

Kot jednak nawet się nie odwrócił. Jakiś starszy mężczyzna schodził właśnie po schodach mówiąc:

—Jak miło cię znów widzieć, Benedykcie! Wybaczcie, że dopiero teraz wychodzę was witać. Byłem u siebie w gabinecie i...

—Marble! — krzyknęła Jane z rozpaczą.

Ale Marble nie zareagował. Dzień był długi i ciężki, więc kiedy wreszcie się skończył, należało to uczcić. Znalazł wyjście z holu i wybiegł tamtędy. W połowie drogi zwolnił, zaczął węszyć, nie poczuł jednak żadnego interesującego zapachu, choć jego niezawodny instynkt mówił mu, że zmierza we właściwym kierunku.

— Marble! — krzyczała rozpaczliwie jego pani gdzieś w oddali. — Ty niedobry kocie! Wracaj natychmiast!

Marble wykonał zgrabny skręt i znalazł się w następnym korytarzu. Z lewej strony przez uchylone drzwi padał promień światła. Marble pobiegł w tamtym kierunku i wsparty na tylnych nogach, przednimi pchnął drzwi. Wysilek ten został uwieńczony sukcesem, bo drzwi otworzyły się, a on znalazł się w olbrzymiej kuchni.

Zapach dochodzący od kuchennego pieca polechtał jego nozdrza. Marble zatrzymał się.

— Jaki piękny kot! — powiedział kolejny nieznajomy kobiecy głos. — Harriet, spójrz na niego!

—Kici, kici, chodź! Marble cofnął się.

—Daj mu mleka.

—Skąd on się wziął?

Ktoś otworzył lodówkę i wyjął butelkę mleka. Ktoś inny pochylił się, żeby go pogłaskać, ale Marble nastroszył się i syknął. Nie bardzo wiedział, gdzie jest. Rozejrzał się sprawdzając, czy jego pani jest w pobliżu, ale wyglądało na to, że zaprzestała pościgu. Był sam.

—No chodź, kotku — powiedziała jedna z tych obcych kobiet.

Były to same kobiety. Tylko kobiety.

—Czyż on nie jest słodki?

—Nalej mu mleka na spodek.

Marble próbował odnaleźć wyjście, ale wpadł na nogę stołową. Ogarnęła go panika. Zamierzał właśnie schronić się w najbliższym kącie, gdy nagle łagodny podmuch wzburzył mu sierść i w pobliżu zobaczył otwarte drzwi — drzwi prowadzące na wolność, w ciemność nocy.

Rzucił się do nich tak gwałtownie, że nawet nie zauważył stojącego w przejściu mężczyzny w czarnych spodniach. Kiedy na niego wpadł, z piskiem przerażenia wystrzelił do tyłu i przewrócił się na grzbiet, pazurami drapiąc powietrze.

—Widzę, że mamy niespodziewanego gościa — odezwał się spokojnym, głębokim głosem mężczyzna.

Marble z trudem łapał powietrze. Drzwi były wciąż otwarte i widział przez nie podwórze, czuł świeże powietrze nocy, ale jakoś trudno było mu ruszyć się z miejsca. Mężczyzna pochylił się nad nim, długimi delikatnymi palcami dotykając jego karku, i Marble zapomniał zupełnie o podróży samochodem, o zapachach płynących z kuchennego pieca i o wolności, która otwierała się tuż obok za drzwiami i od której dzieliło go zaledwie kilka centymetrów.

— Jak się nazywasz? — zapytał nieznajomy swoim spokojnym, głębokim głosem. — A może jesteś bezimienny i czekałeś na mnie aż do tej pory?

Marble wyciągnął łapę i zacisnął pazury wokół czarnego sznurowadła.

— Daję ci imię Zequiel — powiedział cichy głos — i biorę cię w posiadanie.

Dwie silne ręce uniosły go w górę, poczuł zapach czystej białej koszuli, kojącą gładkość jedwabnego krawata i ogarnął go bezgraniczny spokój.

— Marble! — krzyczała Jane gdzieś z korytarza prowadzącego do kuchni. — Marble, gdzie jesteś?

Ale Marble jej nie słyszał. Zamknął oczy pomrukując i drżąc z rozkoszy, a całe jego ciało się rozluźniło.

— Proszę się nie martwić, pani Shaw — uspokajała Jane Agnes Miller.
— Znajdziemy go. Proszę się nie martwić. Na pewno zaraz się pojawi.

Jane była zrozpaczona. Zdawała sobie sprawę, że ta rozpacz nie ma żadnych racjonalnych podstaw i że rada panny Miller jest podyktowana wyłącznie rozsądkiem, mimo wszystko jednak nie przestawała się martwić. Usiłowała wmówić sobie, że jej zachowanie spowodowane jest długą podróżą, którą miała za sobą, ale wiedziała, że to nieprawda. Źródłem jej niepokoju była atmosfera panująca w tym domu. Być może wynikał on nawet z obecności tej nieznanym kobiecie, która tak łatwo zjednała sobie Marble'a, a może jego przyczyną był nietoperz, który przemknął nad nimi w mroku, kiedy Benedykt dzwonił do drzwi. Być może nawet jej niepokój pozostawał w jakimś związku z intensywnym zapachem, który wydobywał się spoza uchylonych drzwi kuchni. Bez względu jednak na to, jakie było jego źródło, Janet miała świadomość narastającej w niej paniki. Była bliska płaczu.

— Muszę go znaleźć — powiedziała odwracając się po omacku w stronę drzwi. — Muszę.

Panna Miller wyprzedziła ją zręcznie i zajrzała do kuchni.

— Czy widzieliście może... — zaczęła i nagle wykrzyknęła radośnie:
— O, jest tutaj! Wszystko w porządku, pani Shaw, jest cały i zdrowy!
Jest wśród przyjaciół i dobrze się bawi!

Marble nie ma przyjaciół oprócz mnie i Benedykta, pomyślała Jane ze złością. Wzrok przesłoniły jej znowu łzy i kiedy tak stała nie mogąc wy-

krztusić słowa, pomiędzy nią i strugę światła padł cień, a męski głos powiedział uprzejmie:

—Oto pani kot, pani Shaw.

Jane otarła oczy, ale zanim cokolwiek zobaczyła, usłyszała mruczenie Marble'a. Leżał rozluźniony w objęciach mężczyzny, a jego białe futro odcinało się wyraźnie od czerni marynarki.

—Marble, ty niedobry kocie — wyszeptała z wyrzutem Jane biorąc go od nieznajomego. Przycisnęła mocno pupila do piersi. — Ty niedobry, nieposłuszny kocie.

Marble parsknął i zaczął się wyrywać.

—Spokojnie. — Mężczyzna dotknął głowy kota. — Bądź grzeczny.

Kot uspokoił się.

Jane przyjrzała się stojącemu przed nią człowiekowi.

—To jest pan Poole, przewodniczący naszego towarzystwa — przedstawiła go Agnes Miller. — Pewnie pan Colwyn wspomniał państwu o nim.

—Chyba nie... nie jestem pewna, nie pamiętam... Dobry wieczór panu...

—Dobry wieczór, pani Shaw — odparł mężczyzna i uśmiechnął się do niej.

Jane odwróciła wzrok.

—Dziękuję bardzo, że złapał pan Marble'a. Tak głupio się zachowałam... wpadłam w panikę... on nie jest przyzwyczajony do nowych miejsc i bałam się, że mógłby uciec i się zgubić.

—Nic w tym dziwnego — powiedział Poole. — Rozumiem to doskonale.

—Taki śliczny kot — powtórzyła panna Miller. — Naprawdę bardzo piękny.

Poole nic już nie mówił. Jane uświadomiła sobie, że jego stosunek do Marble'a był całkowicie pozbawiony czułości. Nie wygłaszał żadnych wylewnych opinii na temat urody kota ani głupich uwag na temat jego nieposłuszeństwa, nie zapewniał też obłudnie, jak to miło było na coś się przydać. Zademonstrował bardzo umiejętne podejście do zwierzęcia, typowe raczej dla weterynarza, pokazał też, że umie przywołać kota do porządku. Jane wyczuła w nim ukrytą siłę, powściągliwość i jakąś chłodną męskość. Wszystkie te cechy niezbyt pasowały do mężczyzny, który zarabiał na życie jako przewodniczący czegoś, co Benedykt nazywał towarzystwem pomyleńców.

—Życzę pani miłego pobytu w domku nad morzem, pani Shaw — powiedział Poole. — Przypuszczam, że będziemy się od czasu do czasu widywali.

—Tak, dziękuję — odparła Jane, nie bardzo wiedząc, co mówi. — Państwo wybaczą...

—Oczywiście. Dobranoc, pani Shaw.

—Odprowadzę panią do holu — zaofiarowała się Agnes Miller i poprowadziła Jane korytarzem. — Mam nadzieję, że znajdziecie państwo w domku wszystko, czego wam będzie trzeba. Ja tu jestem teraz odpowiedzialna za prowadzenie domu, ponieważ gospodyni pana Col-wyna ode-

szła tydzień temu, a że w dzisiejszych czasach trudno o kogoś dobrego, same z dziewczętami zajęłyśmy się prowadzeniem domu.

—Z dziewczętami...?

—Tak, jest nas dwanaście — odparła panna Miller tonem towarzyskiej rozmowy. — W różnym wieku i o różnych doświadczeniach życiowych, ale to takie rozwijające! Ja i moja siostra Harriet nadzorujemy wszystko i rozdzielamy obowiązki. Krótko mówiąc, zajmujemy się przyziemnymi sprawami, by pan Poole mógł w spokoju poświęcić się ważniejszym problemom i działaniom.

—Rozumiem — powiedziała tępo Jane. — Więc jest was dwanaście...

—Razem z panem Poole'em trzynaścioro — poprawiła ją panna Miller.

—Tak... rozumiem, ale co wy właściwie robicie?

—Zajmujemy się studiami nad korzystnym wpływem diety nie skażonej cywilizacyjnymi fanaberiami. Walczymy o to, żeby stanowić jedność z przyrodą i żeby poprzez spożywanie naturalnych pokarmów nie zanieczyszczonych chemikaliami zbliżyć się do sił rządzących przyrodą i determinujących nasze życie.

O Boże! — pomyślała Jane. A głośno powiedziała tylko:

—Rozumiem.

—Jesteśmy najmłodszą z kilkunastu małych grup rozproszonych na terenie całego kraju — mówiła panna Miller z zapalem. — Uważamy za swoje wielkie szczęście, że pan Poole poświęca tyle swego cennego czasu, żeby nam pomóc urządzić się w tej kwaterze. On jest... jak by to powiedzieć... naszym Światłem Przewodnym. Koordynuje działalność

wszystkich grup w kraju. Kiedy urządzimy się tu już jako tako, przeniesie się gdzie indziej, ale póki co, dogląda tu wszystkiego osobiście.

—Ach tak... — bąknęła Jane.

—Mój Boże, pani pewnie chciałaby się czegoś dowiedzieć o waszym lokum, a ja tu się rozgadałam na temat naszego towarzystwa! Najmocniej przepraszam. Proszę, oto klucz. Mleko jest w lodówce, w spiżarce też coś się znajdzie, nie musi pani od razu wybierać się na zakupy... Kuchenka jest elektryczna, ja wprowadzę wolę gaz, ale przecież gotowanie na kuchenke elektrycznej też ma swoje zalety, trzeba się tylko przyzwyczaić. W kuchni jest wszystko co niezbędne: sztućce, garnki, rondle i wszelkie inne naczynia. Pościel znajduje się w szafie koło łazienki. Rzeczy do prania zabierają stąd co srode, więc jeśli przyniesie je pani w srode rano, to dopilnuję, żeby zabrano je do pralni. Wydaje mi się, że to chyba wszystko, ale gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę bez wahania dać mi znać... a oto pani mąż i pan Colwyn. O, jest i Gwyneth w szlafroku! Gwyneth, kochanie, wydawało mi się, że Tristan zalecił ci wczesne pójście do łóżka?

— Spałam już — odparła Gwyneth — ale jak mogłam się nie obudzić, kiedy wszyscy tak głośno nawoływali kota. Cześć, Jane! Więc to ten kot! Jest prawdziwy? Wygląda jak zabawka.

—Niestety jest prawdziwy — mruknął Benedykt.

— Jane, chyba powinniśmy już jechać.

—Tak — zgodziła się potulnie Jane.

—Przyjdźcie do nas jutro, jak tylko się rozpakujecie i rozgościcie — powiedział Walter. — A tymczasem śpijcie dobrze. Jane wygląda na bardzo zmęczoną.

—Ty też wyglądasz na zmęczonego, Walterze — zauważył Benedykt. — Myślę, że wszystkim nam potrzeba wypoczynku.

—Nic mi nie jest — mruknął Walter odprowadzając ich do drzwi. — Znacie drogę? Trzeba jechać za stajniami, w stronę morza.

—Trafimy. A co z kluczem?

— Ja go mam — powiedziała Jane. — Dobranoc, panno Miller. Jeszcze raz dziękuję. Dobranoc, Gwyneth... Walter... Do zobaczenia jutro.

Marble, zbyt śpiący, żeby się awanturować, został znowu wsadzony do koszyka, Benedykt włączył światła i ruszyli drogą prowadzącą ku wybrzeżu.

— Coś bardzo dziwnego dzieje się w tym domu — stwierdziła Jane. — Ci ludzie... Czy zauważyłeś, jak okropnie wyglądają Gwyneth i Walter? Jak myślisz, co tam się dzieje?

—Moja kochana, nie rób z tego sensacji — odparł Benedykt, skupiając jednocześnie uwagę na dziurach w jezdni. — Gwyneth zawsze wyglądała jak bohaterka wiktoriańskich powieści cierpiąca na gruźlicę, a Walter postarzał się trochę od czasu, gdy go ostatnio widzieliśmy, i tyle. Ale chyba rzeczywiście, musi być na skraju bankructwa, skoro pozwolił tym ludziom zawładnąć częścią swojego domu...

—Całym domem, Benedykcie! Panna Miller zarządza wszystkim!

—No cóż, jeśli tak jest, przynajmniej oszczędza mu to wydatku, jakim byłoby opłacanie gospodyni. W każdym razie mam zamiar porozmawiać

z nim, jak tylko będzie okazja, i zorientować się, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy albo rady w sprawach finansowych. Walter potrafi się całkiem zaplątać, jeśli ktoś zdecydowanie nie weźmie go za rękę i nie poprowadzi. Prawdopodobnie jego kłopoty zaczęły się w zeszłym roku, po wyjeździe Evana za granicę, bo on sam zupełnie nie umie zarządzać Colwyn Court. Chwała Bogu, że Evan wraca pod koniec miesiąca! Myślę, że we dwóch powinniśmy dać sobie radę z całą tą sytuacją.

—Benedykcie, ale to stowarzyszenie...

—Kochanie, to tylko gromadka podstarzałych kobiet, które bawią się w zielarstwo. A panna Miller wygląda na bardzo sympatyczną osobę. Jestem przekonany, że towarzystwo samo w sobie nie stanowi zagrożenia... po prostu wykorzystali tylko niedobłą sytuację finansową Waltera.

—Nie poznałeś jeszcze pana Poole'a— mruknęła Jane.

—Kto to jest?

—Panna Miller nazywa go „Światłem Przewodnim”.

—Walter mówił, że to same kobiety... No ale co jest z tym Poole'em? Przypuszczam, że mężczyzna, który przewodzi tuzinowi starszych kobiet uprawiających zioła i propagujących naturalną żywność, sam również jest podstarzałym dziwakiem.

—Mylisz się — powiedziała Jane. — Pan Poole ma trzydzieści pięć lat, jest wysoki, przystojny, wykształcony, dobrze ubrany, bardzo uprzejmy i...

—I...? — zapytał Benedykt, zbyt zdumiony, żeby poczuć choć najdrobniejsze ukłucie zazdrości.

—...i trochę przerażający — dokończyła Jane, drżąc przy tym tak mocno, że koszyk z kotem o mało nie zsunął się z jej kolan i nie spadł na podłogę.

Minęły trzy dni. Benedykt tak jak w ich miejskim mieszkaniu pracował przez cały ranek, po południu czytał, a wieczorem znowu pracował. Jane przywykła już do takiego porządku dnia, niezmiennego od lat, czuła się jednak bardzo osamotniona, wynajdywała więc sobie najprzeróżniejsze zajęcia, żeby tylko oddalić od siebie to uczucie. Nazajutrz po przyjeździe

zjedli lunch z Walterem i Gwyneth. W świetle dnia Colwyn Court wcale nie wyglądał tak ponuro, a ponieważ członkowie stowarzyszenia nie pokazywali się, można było zapomnieć, że Colwynowie nie dysponowali już swoim domem. Pan Poole wyjechał do Londynu i, jak zapowiedział Walter, przez dzień czy dwa miało go nie być. Wiadomość ta wywołała u Jane najpierw uczucie ulgi, a potem coś jakby żal, że jej mąż nie będzie miał na razie okazji poznać „Światła Przewodnego” panny Miller. Być może jednak Benedykt uznałby pana Poole'a za kogoś równie zwyczajnego jak panna Miller.

Po lunchu zaproponowała Gwyneth spacer na plażę, ale dziewczyna przyjęła tę propozycję bez szczególnego entuzjazmu. Jest zbyt gorąco, żeby wlec się taki kawał drogi do zatoki, stwierdziła, a poza tym właśnie wypada pora jej sjesty. Czuje się co prawda nieco lepiej, ale ostatnio znowu miała mały nawrót choroby i Tristan kazał jej przez parę dni bardziej na siebie uważać.

— Czy on naprawdę nazywa się Tristan Poole? — zapytała Jane.

Gwyneth wpatrywała się w nią zdumiona.

—Dlaczego nie miałby się tak nazywać?

—Och... nie wiem. Po prostu to imię i nazwisko wydaje mi się dosyć dziwne.

—Nie rozumiem, jak możesz tak mówić — powiedziała Gwyneth z dezaprobatą. — Poole to całkiem zwyczajne nazwisko, a Tristan... przecież są mężczyźni o imieniu Tristan, prawda? Nie wydaje się bardziej niezwykle niż na przykład Benedykt.

Jane nie chciała się sprzeczać z Gwyneth, więc zakończyła rozmowę i sama powędrowała na plażę. Zatoka Colwyn, która była prywatną własnością Waltera i należała do posiadłości, miała małą plażę usianą skałkami i otoczoną wysokimi klifami. Domek, w którym mieszkali, wznosił się nad plażą w miejscu, gdzie klify były najniższe. Z dużego okna living-roomu widać było fale rozbijające się o brzeg, ruiny zamku i kaplicy na północy, a na południu omiatane wiatrem paprocie i wrzosa. Szczególny zachwyty Jane wzbudzały zachody słońca. Pierwszego dnia po obiedzie długo siedzieli przy oknie, patrząc, jak słońce powoli zanurza się w ciemniejącym morzu.

—Jak zwykle miałaś rację — powiedział Benedykt, z uśmiechem biorąc ją za rękę. — Wiedziałaś, że tu najlepiej będzie mi się pracowało.

Z samego rana rozpakował kufer z książkami, zasypał cały stół papierami i zaczął stukać na swojej starej maszynie, podczas gdy wokół niego gromadziły się brudne filiżanki po kawie i pełne niedopałków popielniczki. Zapomniał o problemach Waltera; dowiedział się, że jego kuzyn miał wprawdzie pewne trudności z gotówką, nie był jednak w żadnym razie niewypłacalny, i to odkrycie w połączeniu z faktem, że stowarzyszenie nie było uciążliwe ani natrętne, przekonało Benedykta, że niepotrzebnie się martwił.

—Oczywiście gdyby chodziło o mnie — powiedział do Jane — nie chciałbym wynajmować swojego domu jakimś obcym, nawet gdyby zachowywali się równie spokojnie i porządnie jak ci do tej pory, jeżeli jednak Walterowi to nie przeszkadza, a do tego pomaga mu finansowo, to

nie rozumiem, dlaczego takie rozwiązanie nie miałyby się okazać korzystne dla wszystkich zainteresowanych.

Gwyneth z pewnością dobrze zrobi, jeżeli będzie miała koło siebie parę osób. Według mnie jest tu stanowczo zbyt izolowana.

Jane również myślała o Gwyneth. Mimo iż była starsza od niej o ponad trzynaście lat, to kiedy się widywały, miała wobec niej poczucie niższości. Gwyneth odebrała dość skromne wykształcenie, uczyła się bowiem z guwernantką, była jednak bardzo inteligentna. Jej słabe zdrowie wcale nie zaszkodziło urodzie. Jane podziwiała jej smukłą figurę, kręcone rude włosy i duże błękitne oczy. W obecności Gwyneth zawsze czuła się duża, głupia i niezgrabna. W dodatku obsesyjna fascynacja Gwyneth kulturą pop, jej psychodeliczne plakaty, modne płyty z amerykańskim białym bluesem i książki o Che Guevarze, Andym Warholu czy Stokelym Carmichaelu sprawiały, że Jane czuła się rozpaczliwie poza nawiasem.

Tak więc nawet kiedy Benedykt zasiadał do pracy, a Jane miała zbyt wiele wolnego czasu, starała się unikać wizyt w Colwyn Court. Na swój własny użytek wymyśliła wymówkę, że nie chce nudzić Gwyneth codziennymi pogawędkami. Jeśli Gwyneth sama będzie w towarzyskim nastroju, to z pewnością zdobędzie się na przejście kilometra, jaki dzielił Colwyn Court od ich domku. Gwyneth jednak najwyraźniej nie była w towarzyskim nastroju, bo nie składała im wizyt. Jane w skrytości ducha przyjęła to z ulgą, choć było jej trochę przykro. Wprawdzie odwiedzała sklepy w miasteczku, robiąc rano zakupy, ale poza tym nie widywała nikogo oprócz Benedykta, a miło byłoby móc porozmawiać od czasu do czasu z jakąś drugą kobietą.

Rekompensowała to sobie chodząc na długie spacery. Wspinała się na skały, chodziła do ruin zamku, wędrowała po całym przylądku mijając mnóstwo skalistych zatoczek, aż po Worm's Head — najdalej wysunięty skalisty cypel półwyspu Gower. Robiła też spacery w przeciwnym kierunku, na wschód od Colwyn, w stronę Port Eynon, mijając podobne zatoczki i nigdy nie spotykając po drodze żywego ducha. Sezon wakacyjny nie zaczął się jeszcze na dobre, a pogoda była zbyt niepewna, by przyciągnąć wycieczkowiczów. Te spacery coraz bardziej uświadamiały Jane, na jakim odludziu żyje.

Czwartego dnia po ich przyjeździe pogoda się poprawiła; przez ostatnie dwa dni padało, ale tego ranka pokazało się słońce i Jane postanowiła trochę się poopalać. Zaraz po śniadaniu, kiedy tylko pozmywała naczynia, zostawiła Benedykta pogrążonego w pracy, zabrała ze sobą płaszcz kąpielowy i ostatni numer swego ulubionego pisma dla kobiet i wyruszyła w stronę plaży.

Kot poszedł razem z nią. Rzadko go widywała od przyjazdu, bo co dzień rano znikał, udając się na swoje własne wyprawy, z których wracał dopiero po zapadnięciu zmroku; dziś jednak został w domu i teraz biegł za Jane ścieżką wiodącą na plażę. Był wyraźnie niespokojny. Kiedy mewka usiadła o parę kroków od nich, ze złością pogonił ją w stronę morza, ale przestraszył go nadchodzący przypływ.

Jego podniecenie zwróciło uwagę Jane. Rozejrzała się, jednak nic niepokojącego nie zauważyła; wokół nie było żywego ducha, jeśli nie liczyć mew i dzikich koni pasących się spokojnie na skąpej trawce u stóp ruin zamku.

Powróciła więc do lektury i uprzytomniła sobie, że nie pamięta, w którym miejscu przerwała czytanie. Kiedy znów podniosła wzrok, zobaczyła, że Marble drepcze po piasku w stronę ścieżki prowadzącej pod górę, kiwając lekko ogonem, z nastawionymi uszami. Gdy obserwowała go zastanawiając się, co go tam zainteresowało, dostrzegła mężczyznę, który wspiał się właśnie ścieżką na górę i przystanął przed zejściem na plażę. Był to Tristan Poole.

5

Kiedy ją zobaczył, pomachał ręką. Po sekundzie wahania Jane również pomachała w jego kierunku, sięgając jednocześnie po płaszcz kąpielowy. Nie wiadomo dlaczego nagle odczuła gwałtowną potrzebę, żeby się czymś okryć. Kostium kąpielowy, który miała na sobie, był całkiem przyzwoity i nawet nieźle w nim wyglądała, a już z pewnością nie miała powodu wstydzić się swoich nóg. Mimo to założyła płaszcz kąpielowy. Gdy usiłowała zawiązać pasek, uświadomiła sobie, jak bardzo jest spięta. Dłonie miała wilgotne, a jej palce drżały.

Marble zrównał się z Poole'em i ocierając się o jego nogi próbował zwrócić na siebie uwagę. Poole coś powiedział — Jane usłyszała głos, ale nie mogła rozróżnić słów — i kot posłusznie odsunął się o krok.

Żaden zwykły człowiek nie byłby w stanie aż tak podporządkować sobie obcego kota, pomyślała nagle.

Musiała użyć całej siły woli, żeby opanować drzenie, kiedy Poole się do niej zbliżał.

—Dzień dobry — powiedział i zabrzmiało to tak zwyczajnie, że Jane natychmiast zapomniała o całym swoim zdenerwowaniu. — Jak się pani miewa? Pani kot jakoś mnie sobie upodobał, zupełnie nie wiem dlaczego. Jak on się nazywa?

—Marble. Musi pan mieć dobre podejście do zwierząt, bo on zazwyczaj bardzo wrogo odnosi się do obcych.

—Wrogość jest tylko wyrazem strachu. Pani kot, podobnie jak wielu ludzi, boi się mnóstwa rzeczy. Eliminując strach, eliminuje się i wrogość, a pani kot jest bardzo pojętny. — Poole pochylił się, poklepał Marble'a po głowie i z uśmiechem spojrział na Jane. — Czy mogę przez chwilę pani potowarzyszyć?

—Tak, oczywiście — odparła Jane, starając się nie okazać strachu przez demonstrowanie wrogości. — Kiedy pan wrócił?

—Wczoraj późnym wieczorem. Miałem sprawy do załatwienia w Londynie... Czy pani zna Londyn?

—Nie bardzo. Pochodzę z Hampshire, ale od ślubu mieszkam w Cambridge. Moja siostra przez pewien czas mieszkała w Londynie.

—Ma pani siostrę?

—Tak, jedną. Jest ode mnie młodsza.

—Czy nadal mieszka w Londynie?

—Nie, teraz mieszka z mężem trzydzieści kilometrów od Londynu, w Surrey, ale myślę, że gdyby miała taką możliwość, chętnie zamieszkałaby w mieście. Mój szwagier Matt nie jest jednak zbyt zapalony do tego pomysłu. Zamierza przejść na wcześniejszą emeryturę i chce trzymać się jak najdalej od Londynu. — Po co ja mu to wszystko opowiadam, pomyślała ze zdumieniem.

—Jeśli ktoś chce uciec na jakiś czas od miejskiego zgiełku, powinien przyjechać tutaj — stwierdził Poole. — Nie wiem, czy pani szwagier lubi morze, ale według mnie ten skrawek wybrzeża sprawia wrażenie, jakby był oddalony od Londynu o sto lat świetlnych.

—Matt jest tego samego zdania. Przyjechali tu z Lizą trzy lata temu, zaraz po ślubie, i wiem, że kiedy mieszkali w Colwyn Court, Mattowi bardzo się tu podobało. Wie pan, on jest szalenie bezpośredni i ma takie proste upodobania... — Nagle Jane zaczęła opowiadać panu Poole o Matthew Morrisonie, o jego romansie z Lizą, a potem o pierwszym mężu Lizy, który był filmowcem specjalizującym się w reportażach telewizyjnych. Opowiedziała mu nawet o jego śmierci, kiedy na Dalekim Wschodzie kręcił film o infiltracji Hongkongu przez Chińczyków i zatonął w morzu gdzieś u wybrzeży komunistycznych Chin podczas jakiegoś wariackiego rekonesansu. Z pierwszego męża Lizy rozmowa zesłała na jej dzieci, a temat dzieci przypomniał Jane o Nicoli, która była jedyną córką Malta. Miała właśnie zająć się nieszczęśliwą miłością Nicoli i Evana Colwyna, kiedy nagle dotarło do niej, jak dużo mówi. — Przepraszam, przecież to na pewno pana nie interesuje — powiedziała z zakłopotaniem. — Pewnie okropnie pana nudzę.

Poole uśmiechnął się. Miał miły uśmiech i trochę nierówne zęby, ale to właśnie czyniło ten uśmiech jeszcze bardziej pociągającym. Teraz, kiedy Jane miała okazję bliżej mu się przyjrzeć, zobaczyła, że w rzeczywistości nie jest wcale aż tak przystojny, jak wydawało się na pierwszy rzut oka; miał za szerokie usta, zbyt mocno wystające kości policzkowe i zbyt kwadratową brodę. Ale był pociągający. Za bardzo pociągający, pomyślała, odwracając wzrok ze strachu, że jej zainteresowanie jego twarzą może zostać źle zrozumiane.

—Wcale mnie pani nie nudzi — oświadczył z uśmiechem. — Ludzie, zwłaszcza tacy ludzie jak pani szwagier, zawsze mnie interesowali. Ktoś, kto zaczyna jako goniec w biurze, a kończy karierę jako prezes zarządu, jest godzien podziwu. Czy istnieje możliwość, aby pani siostra i jej mąż odwiedzili państwa podczas pobytu tutaj?

—Jestem przekonana, że Matt bardzo by chciał, a i bliźnięta z pewnością też — powiedziała Jane. Zaczęła już wyobrażać sobie, jak chodzi z bliźniakami na spacer i bawi się z nimi w piasku.

—Czemu więc nie zadzwoni pani do siostry i nie zaprosi jej tutaj?

—Domek jest trochę za mały...

—Przecież są cztery sypialnie, prawda? Czy to nie wystarczy?

—Tak... tak, przypuszczam, że by wystarczyło. Ale, widzi pan, mój mąż... on pracuje naukowo, byłoby trudno...

—Miałby spokój przez cały dzień. Przecież wszyscy spędzaliby czas poza domem.

—Tak, to prawda.

—Kiedy pani szwagier przechodzi na emeryturę?

—W tym miesiącu, nie wiem jednak dokładnie, którego dnia. Jakoś niedługo.

—Okropnie nudno musi tu być pani samej. Nie chciałyby pani mieć gości?

— Tak, ale...

— Na pewno czuje się pani trochę samotna, proszę się przyznać. Przecież to zupełne odludzie — stwierdził Poole.

—To prawda — przyznała Jane.

—A w domku jest miejsca pod dostatkiem.

—Tak, pod dostatkiem.

— Z pewnością pani mężowi nie będzie to przeszkadzać.

—Jestem pewna, że nie będzie.

—Oni oczywiście mogą mieć inne plany, ale...

—Zadzwoń do Lizy i dowiem się — zdecydowała się nagle Jane.

—Świetnie! — ucieszył się Poole i podniósł się otrzepując piasek ze spodni. — Niestety muszę już iść. Niedługo z pewnością znów się zobaczymy. Proszę przekazać moje uszanowanie mężowi, dobrze? Mam nadzieję, że wkrótce będę miał okazję go poznać.

Kot poruszył się, ale nie zadał sobie trudu, żeby iść za nim.

— Z pewnością go pan pozna. Do widzenia, panie Poole — powiedziała Jane.

Patrzyła, jak wspina się ścieżką pod górę, a kiedy zniknął z oczu, opadła na piasek.

Po chwili rozterki postanowiła: nie zrobię tego. Nie zadzwonię do Lizy. Nie zadzwonię, i już.

Od razu poczuła się lepiej. Usiadła, poprawiła włosy i w geście wyzwolenia odrzuciła płaszcz kąpielowy. Raptem przyszło jej na myśl, jak miło by było, gdyby bliźniaki mogły tu przyjechać. Może mogłyby przyjechać same...

Ale bliźniaki miały jeszcze szkołę. Jak mogła o tym zapomnieć? Każde z nich było w innej szkole z internatem i rok szkolny kończył się dopiero w trzecim tygodniu lipca.

Ochota, żeby zadzwonić do Lizy, opuściła ją zupełnie. Z powrotem założyła okulary przeciwsłoneczne i znów zabrała się do lektury swego pisma, starając się zapomnieć o rozmowie z Tristanem Poole'em. Ale nie mogła wyrzucić jej z pamięci. Nawet gdy wróciła do domu, żeby przygotować lunch, wciąż myślała o tym, jak dziwnie wpłynęła na nią jego obecność.

Kiedy wchodziła do living-roomu, zadzwonił telefon. Zazwyczaj nie było tu telefonu — chodziło o to, żeby nikt z letników nie prowadził dłuższych rozmów zamiejscowych narażając Waltera na koszty. Jednak był tu dawniej zainstalowany telefon dla zajmującego domek emerytowanego szofera i tydzień temu znów go zainstalowano dla wygody Shawów. Jane przeszła przez pokój i podniosła słuchawkę.

—Halo?

—Kochanie, to ja — odezwała się Liza. — Słuchaj, bliźniaki mają teraz kwarantannę w związku ze świnką. Matt jest bliski wyjazdu na Wyspy Normandzkie, i w ogóle koszmar. Jane, musisz mi pomóc, jestem u kresu sił. Muszę grać na zwłokę i jakoś powstrzymać Matta od kupienia posiadłości w Guernsey, a jedyny sposób, jaki mi teraz przychodzi do

głowy, to namówić was, żebyście nas zaprosili do Colwyn Court. Kochanie, tak mi głupio cię o to prosić, ale czy myślisz, że moglibyście...

—Powiedziałaś, że bliźniaki są w domu? — zapytała Jane.

—Tak, i okropnie się nudzą, biedactwa. U obojga ferie szkolne rozpoczęły się w ten sam weekend, więc pojechaliśmy z nimi odwiedzić przyjaciela Matta, który ma wnuki w podobnym wieku. Dzień później jedno z tych dzieci rozchorowało się na świnkę, więc Matt powiedział: „To świetny pretekst, żeby zabrać dzieciaki ze szkoły przed końcem semestru i wcześniej wyjechać do Guernsey, zanim pojawią się tam tłumy letników”. Więc ja... Halo, słuchasz mnie?

—Tak — odparła Jane.

—Coś mało się odzywasz — powiedziała Liza oskarżycielskim tonem.
— Czy przeszkodziłam ci może w lunchu?

—Nie. Ale...

—Chodzi o to, że Matt uparł się jak kozioł przy tym swoim pomysle na temat Wysp Normandzkich, a ja się uparłam, żeby do tego nie dopuścić. Jestem pewna, że zdołałabym mu to jakoś wyperswadować, gdybym miała choć odrobinę więcej czasu, więc gdybyśmy mogli na trochę do was przyjechać...

—Lizo, Benedykt tu pracuje.

—Wiem, ale przecież my byśmy mu nie przeszkadzali! Matt całe dni spędzałby poza domem oddając się „życiu na łonie natury”, bliźniaki bawiłyby się na plaży, a ja... ja nie bardzo wiem, co mogłabym tam robić, ale z pewnością nie będę przeszkadzać Benedyktowi. Naszą *au pair* zostawiłabym w Surrey. Bliźniaki są już właściwie całkiem samodzielne i

jestem pewna, że w miejscu tak odludnym jak Colwyn ich psoty nie dadzą się wam we znaki.

—Ja mogłabym się nimi zająć... — zaproponowała Jane.

—Och, kochanie, wiesz, że nie chciałabym robić z ciebie darmowej *au pair*, ale ty rzeczywiście cudownie umiesz zajmować się dziećmi, a bliźniaki cię po prostu uwielbiają...

—Kiedy przyjedziecie? — zapytała Jane.

—Może pod koniec tygodnia... jeżeli nie macie nic przeciwko temu. Och, Jane, jesteś cudowna. Nie dałabym sobie rady, gdybym ciebie nie miała i gdybym nie mogła się na tobie wesprzeć, ilekroć wpadam w tarapaty! Słuchaj, nie będę cię już dłużej zatrzymywać, na pewno jesteś zajęta gotowaniem, a muszę zaraz znaleźć Mat-ta i powiedzieć mu, że zaprosiłaś nas na dwa tygodnie. Zadzwoń jeszcze, żeby ci dać znać, kiedy przyjedziemy.

—Tak... w porządku, Lizo. Dobrze.

—Cześć, kochanie. Ucałuj Benedykta i tysięczne dzięki.

—Cześć — odpowiedziała Jane i zaczęła się zastanawiać, jak zdobędzie się na odwagę, żeby podzielić się z mężem tą nowiną.

Benedykt oczywiście był wściekły.

—Co za kobieta! — wrzasnął, waląc pięścią w stół tak mocno, że podskoczyła maszyna do pisania. — Jak ona śmie nas wykorzystywać dla ułatwiania swoich kłopotów małżeńskich? Jak ona śmie?

—Benedykcie, może to nie aż tak. To znaczy...

—Nie aż tak — warknął — tylko jeszcze gorzej! Jak, do licha, możesz mówić o ciszy i spokoju, skoro dom będzie pękał w szwach? Nie będę

mógł nic sensownego napisać, jeśli Morrisonowie będą bez przerwy demonstrować niezgodność charakterów, nie mówiąc już o biegających wszędzie dzieciakach...

—Już ja dopilnuję, żeby dzieci ci nie przeszkadzały — zadeklarowała się Jane.

—Nie mam żadnych wątpliwości, że to właśnie ty tego dopilnujesz! Już Liza o tym pomyślała. Użyła swoich dzieci jako przynęty!

—Wcale nie — zachnęła się Jane.

—Oczywiście, że tak! I jeszcze na dodatek ta jej beznadziejna *au pair*...

—Ona nie przyjeżdża. To tylko dwa tygodnie, Benedykcie.

—Nie wyobrażam sobie, żebym mógł wytrzymać dwa tygodnie pod jednym dachem z Lizą bez załamania nerwowego!

Jane odwróciła się bez słowa, podeszła do telefonu i zaczęła wykrecać numer kierunkowy do Lizy.

— Na litość boską — burknął Benedykt, wyrwał papier z maszyny, rzucił go na podłogę i podeptał, żeby się jakoś wyładować. — O co ci teraz chodzi? — Podbiegł do telefonu, wyrwał Jane słuchawkę z rąk i cisnął ją z powrotem na widełki. — Chyba nie dzwoniłaś, żeby ich odwołać?

Mało brakowało, by Jane wybuchnęła płaczem.

—A co innego mogę zrobić?

—No już, już, uspokój się — powiedział Benedykt z poczuciem winy. — Nie możesz mnie traktować tak poważnie. Wiesz, że w pierwszym porywie nie zawsze mówię to, co myślę.

—Ale...

—Lubię Morrisona, a jedyną przyczyną, dla której nie mogę znieść Lizy, jest to, że ona cię bezustannie wykorzystuje, i tylko o to mi chodzi. Mam do niej żal ze względu na ciebie, nie na siebie.

—Ale chodzi o twoją pracę... Źle zrobiłam zapraszając ich tutaj...

—Cóż, to tylko dwa tygodnie, a jeśli nie będą mieli dość taktu, żeby dać mi spokój, to ja nie będę miał skrupułów, żeby ich o to poprosić.

—Nie wiem, jak mogłam się na to zgodzić —jęknęła Jane z rozpaczą.
— Po prostu nie rozumiem, jak mogłam się zgodzić.

Z powodu dzieci, pomyślał Benedykt i poczuł ból.

—Cóż, na pewno z przyjemnością zajmiesz się bliźniakami — powiedział.

—To nie tylko z powodu dzieci — odparła Jane. — Benedykcie, to naprawdę nie było tak.

Musimy znowu porozmawiać o adopcji, postanowił Benedykt. Przedtem mówił, że nie chce dziecka, które nie byłoby jego, teraz jednak uznał, że to nie w porządku wobec Jane.

—Chyba rzeczywiście częściowo zgodziłam się na to ze względu na bliźniaki — powiedziała Jane — ale nie tylko. Dziś rano na plaży spotkałam pana Poole'a. Rozmawialiśmy na temat Lizy i Matta i właśnie on zaproponował, żeby ich tu zaprosić... więc kiedy Liza mnie o to poprosiła, poczułam, że po prostu nie mogę odmówić. Zabrakło mi odwagi. Było tak, jakby... sama nie wiem. Ale w każdym razie to wina pana Poole'a, wiem, że to jego wina. Wiem i już.

—No dobrze, dobrze — uspokajał Jane Benedykt. Objął ją i pocałował.
— Już trudno, nie szkodzi. Wybacz mi, że straciłem panowanie nad sobą.

—Benedykcie, ty wcale nie słuchałeś tego, co mówiłam. Pan Poole...

—Ten jakiś pan Poole najwyraźniej całkiem cię omotał — stwierdził.
— Widzę, że jak najszybciej muszę go poznać, by przekonać się, co jest w nim takiego szczególnego.

—Wiem, że nie traktujesz tego poważnie, Benedykcie, ale ja naprawdę czułam się jak zaczarowana... albo jak zahipnotyzowana czy coś w tym rodzaju...

—Nie gadaj głupstw — mruknął Benedykt. — Moja kochana, ty uwielbiasz tajemnice, to jest twój problem. Jeśli ich nie ma, wtedy je sobie wymyślasz. No cóż, już taką masz romantyczną naturę. Prawda jest taka, że skusiła cię możliwość zobaczenia bliźniaków i dlatego zgodziłaś się na ich wizytę. Nie rozumiem, dlaczego miałabyś winić za to tego biednego Poole'a, który pewnie starał się tylko być miły i uprzejmy.

—Tak — zgodziła się Jane. — Tak, masz rację. Oczywiście, że masz rację. Tylko że...

—Co? — zainteresował się Benedykt.

—...nie podoba mi się ten pan Poole — powiedziała Jane. — Nic na to nie poradzę, ale bardzo mi się nie podoba.

Kiedy Poole po rozmowie z Jane wrócił do Colwyn Court, zastał Agnes Miller w małym saloniku należącym poprzednio do gospodyni. Zajęta była dodawaniem kolumny cyfr w leżącej przed nią księdze.

—Nic teraz nie mów — powiedziała, gdy Poole wkroczył do pokoju. — Jestem w decydującym momencie. Cztery od dziewięciu jest pięć, sześć od trzynastu jest siedem, siedem od dwóch... siedem od dwóch? No tak, rozumiem.

—Będę musiał ci kupić maszynę liczącą — stwierdził Poole z rozba-
wieniem.

—Mój drogi, ledwo nam starcza pieniędzy na chleb, a co tu mówić o maszynie liczącej? Co my teraz zrobimy?

—Wy, kobiety, uwielbiacie się martwić — oświadczył Poole rozsiada-
jąc się na sofie i opierając stopy na stoliku do kawy.

—Mylisz się — odparła Agnes. — Co do mnie, to nienawidzę się mar-
twić. — Zamknęła księgę z trzaskiem. — Pieniądze są takie brudne!

—Nieprawda — powiedział Poole. — To brak pieniędzy jest brudny. Pieniądze same w sobie dają dużo zadowolenia.

—Nie rozszczepiaj włosa na czworo — burknęła Agnes ze złością. Roześmiał się. Spojrzała na niego i chcąc nie chcąc również się uśmiechnęła.

—Cóż, muszę przyznać — stwierdziła — że trudno jest być przygnę-
bionym, kiedy ty zawsze jesteś tak pełen ufności. Bardzo chciałabym mieć w sobie tyle ufności, co ty.

—Jesteś kobietą małej wiary. Agnes spoważniała.

—Wcale nie — zaprotestowała. — Wierzę, oczywiście! Kiedy myślę o wszystkim, co dla nas zrobiłeś... umieściłeś nas w tym wspaniałym otoczeniu, umiałeś dać sobie radę z Colwynami...

—Więc nie martw się i o pieniądze.

—W porządku — odparła Agnes. — Ale jak zamierzasz...

—Nigdy nie pytaj mnie o moje plany. To strata czasu. Jeśli będę chciał, żebyś je znała, to ci powiem.

—Dobrze... ale pozwól, że cię poinformuję, jak się nasze sprawy mają w tej chwili. Do tej pory funkcjonowaliśmy całkiem nieźle dzięki naszemu ostatniemu sponsorowi, jednak przy takich wydatkach zabraknie nam pieniędzy gdzieś w połowie sierpnia, a jeżeli koszty związane z naszym sierpniowym świętem Lammas będą takie jak zwykle... Nie patrz tak na mnie, Tristianie! Przecież trzeba myśleć praktycznie, prawda? To wszystko kosztuje! Nie można urządzić imprezy dla ponad pięćdziesięciu osób nie wydając ani szylinga.

— Rzeczywiście, nie można — odparł obojętnie Poole.

—Poza tym — mówiła dalej Agnes — nie widzę nic poniżającego w praktycznym podejściu do tych spraw. Pomyśl tylko o Drugim Kościele. Oni zawsze wiedzieli, czym są pieniądze, i doskonale sobie radzili finansowo.

Poole nie odpowiedział. Agnes pomyślała, że posunęła się zbyt daleko.

—Przepraszam — powiedziała szybko. — Nie powinnam była tego mówić. Nie chciałam cię urazić.

Znów nastąpiła cisza, a potem Poole uśmiechnął się nagle. Agnes odechnęła z ulgą.

—Zawsze dobrze usłyszeć coś na temat swego konkurenta — rzucił lekko Poole. — To tylko mobilizuje do większego wysiłku.

—No właśnie — powiedziała Agnes zadowolona. Spojrzała znowu na księgę i zapragnęła, żeby choć jednym małym słówkiem dodał jej pewności. — Tristanie...

—Naprawdę nie ma w tobie wiary! — oświadczył ze śmiechem.

—Jest — broniła się Agnes. — Ale... Tristanie, jak długo jeszcze tu będziesz?

—Moja droga, doskonale znasz odpowiedź na to pytanie, więc nie rozumiem, po co jeszcze do tego wracasz. Wyjadę stąd, kiedy moja misja dobiegnie końca, kiedy wszystkie będziecie na tyle urządzone i wyposażone, żeby móc żyć dalej w spokoju. Walter Colwyn jest już starym człowiekiem i nie będzie żył wiecznie. Jego syn bardzo chciałby wyemigrować do Ameryki, a Gwyneth albo wyjdzie za męża, albo skończy w szpitalu wariatów. Pewnego dnia, w niezbyt odległej przyszłości, Colwyn Court zostanie wystawiony na sprzedaż. Wszyscy będą uważać, że w dzisiejszych czasach utrzymanie tak wielkiego domu stanowi ogromne obciążenie finansowe, i wtedy będziecie mogły go kupić prawie za darmo, z funduszu, w który was wyposażę. Jestem w pełni przekonany, że zapewnię wam tu dobre warunki. Do czasu sierpniowego święta ustabilizuje się też wasza sytuacja finansowa, a po Lammas prawdopodobnie będę mógł ruszyć dalej.

—Mam nadzieję, że to nie od Colwynów spodziewasz się pieniędzy — powiedziała Agnes. — Jestem pewna, że dom jest obciążony długiem hi-

potecznym. Harriet też jest o tym przekonana. Według mnie Walter Colwyn umrze bez grosza przy duszy.

—Prawdopodobnie.

—Wybacz, że się w to wtrącam, ale chciałam się upewnić, że nie spodziewasz się żadnego spadku po nim...

Poole nie odpowiedział. Po chwili wstał i podszedł do okna.

—Gdzie są wszystkie kobiety? — zapytał.

—Pracują w ogrodzie, przy ziołach. Mamy trochę kłopotu z kolendra i z zieleńkami czarnymi... są takie pracowite... Jackie z Margaret mają dyżur w kuchni, przygotowują lunch. Martwię się trochę o Jackie, Tristianie, bo podejrzewam, że cotygodniowe spotkania u ciebie już jej nie wystarczają, szczególnie teraz, kiedy prowadzimy tak ascetyczny tryb życia, przygotowując się do Lammas; myślę, że ona chciałaby się trochę zabawić. Wiesz, jaka jest młoda i niedojrzała. Dziś rano powiedziała, że chce pożyczyć samochód i w sobotę wieczór pojechać do Swansea, więc się zastanawiałam, czy...

—Puść ją.

—Ale przypuśćmy, że...

—Agnes, czasami zachowujesz się, jakbyś była matką przełożoną w jakimś klasztorze!

—Nie, nie chodzi o to — odparła Agnes. — Przypuszczam tylko, że ona się tu teraz trochę nudzi, a jeżeli zacznie przed pierwszym sierpniem marnować swoją energię, to nasze rytuały mogą okazać się dla niej nie dość cennym i głębokim doświadczeniem. Chciałabym, żebyś z nią o tym porozmawiał.

—Nie przejmuj się, Jackie zrobi wszystko, co się jej każe. Pierwszy raz bierze udział w Lammas, więc nie będzie chciała nic z tego stracić.

—Ale niepokoi mnie jej seksualność — powiedziała Agnes. Odłożyła księgę rachunkową do szuflady i zamknęła ją na klucz. — Co robiłeś dziś rano? — zapytała, zmieniając temat.

—Poszedłem na spacer na plażę. Była tam pani Shaw ze swoim kotem.

—Ona wygląda na miłą osobę — zauważyła Agnes. — I ma intuicję. Chyba nie przypadliśmy jej do gustu z powodu tego, co wyprawiałeś z jej kotem.

—Czasami naprawdę przedziwnie dobierasz słowa, Agnes! — Poole leniwie pogłaskał palcami brzeg zasłony. — Pani Shaw mogłaby być bardzo atrakcyjną kobietą, gdyby tylko chciała — oświadczył po chwili. — Dziwne tylko, że z jakichś przyczyn wcale tego nie chce. Może to jakaś podświadoma rezygnacja z współzawodnictwa z siostrą? Gwyneth opowiadała mi, że Liza, siostra pani Shaw, jest bardzo piękna.

Agnes zaczęła się domyślać, do czego zmierza Poole.

—Chyba nie myślisz poważnie o pani Shaw — powiedziała. — Jest w niej zbyt wiele wrogości wobec nas.

—Ma za to dużą intuicję i jest bardzo podatna na sugestię — odparł Poole.

— Ale...

— Nie, pani Shaw niespecjalnie mnie interesuje. Od kiedy to profesorowie są milionerami? Ale pani Shaw ma piękną siostrę, a ta piękna siostra ma męża, który nawet w dzisiejszych czasach nadmiernych podatków zdołał się wzbogacić.

Serce Agnes zaczęło bić niespokojnie.

— Jak udało ci się o tym dowiedzieć?

— Nie trzeba było aż Sherlocka Holmesa, żeby do tego dojść. Ten człowiek nazywa się Matthew Morrison...

— Ten przemysłowiec?

— Właśnie. Czy jeszcze coś chciałabyś wiedzieć? On też jest podniecony, pomyślała Agnes. Całkiem zapomniał o swoim angielskim akcencie.

— Opowiedz mi o nim — poprosiła z uśmiechem.

— Profesorostwo Shaw będą mieli niedługo gości. Chcesz wiedzieć, kogo?

— Matthew Morrison, przemysłowiec milioner i jego bardzo piękna, bardzo atrakcyjna i bardzo pociągająca żona Liza — odpowiedziała jednym tchem Agnes, znów pełna wiary w przyszłość.

ROZDZIAŁ 3

1

Cztery dni później bliźniaki studiowały mapę samochodową na tylnym siedzeniu rolls-royce'a Matta. Przejeżdżali właśnie przez tereny rozciągających się na zachód od granicy Walii sadów. Konary drzew rosnących przy drodze ugiwały się pod ciężarem owoców. Padało. Trawa pod płotami była gęsta i soczystozielona.

—Wspaniała pogoda na wyjazd — mruknęła Liza, strzepując popiół papierosa ze swego białego płaszcza od deszczu. — I to jest właśnie problem Anglii. Jeśli się nie przepada za deszczem, to lepiej spędzać wakacje za granicą.

—Zbyt wielu Anglików narzeka na Anglię — powiedział Matt. — Samokrytycyzm może być zdrowy, ale ciągłe obrażanie swojego kraju to błąd.

—Patriotyzm jest teraz niemodny — odparła Liza.

—Mamo — odezwał się z tylnego siedzenia Timothy. — Walia to nie Anglia. Mówiłaś, że spędzimy wakacje w Anglii, ale to nieprawda. Jędziemy do Walii.

—Przecież to prawie to samo — oświadczyła Liza.

—Zostałabyś zlinczowana, gdybyś powiedziała to Walińczykom — wtrącił Matt.

—Wuj Walter mówi, że półwysep Gower nie jest właściwie ani walijski, ani angielski — powiedziała Lucy.

— Twierdzi, że w Gower jest tyle nazwisk angielskich, jak i walijskich, i mało kto mówi tu po walijsku.

—Ale oficjalnie Gower należy do Walii — upierał się Timothy. — Spójrz tylko na mapę.

—Znudziło mi się patrzeć na mapę — odparła Lucy. Kręciła się niespokojnie, wyglądając przez okno.

—Na miłość boską, kochanie — odezwała się Liza

— czy nie możesz usiedzieć spokojnie dłużej niż pięć minut?

—A dlaczego mam siedzieć spokojnie? — zapytała Lucy, zmęczona podróżą i rozgniewana niesprawiedliwą krytyką. — Tu z tyłu jest mnóstwo miejsca, a Timowi to nie przeszkadza.

—Ale mnie przeszkadza — stwierdziła Liza. — I proszę, żebyś mi tak nie odpowiadała.

—Nie jestem jedyną osobą w tej rodzinie, która lubi tak odpowiadać — burknęła Lucy zaczepnie.

—Lucy!

—Dość — uciał Matt takim tonem, że wszyscy zamilkli. — Podróż jest i tak wystarczająco męcząca, nie musicie jej utrudniać jeszcze bardziej.

—Chciałbym, żebyśmy już byli na miejscu — jęknął Timothy, nie adresując tego do nikogo w szczególności.

Ja też, pomyślał Matt.

A ja chciałabym, żebyśmy byli w drodze na lotnisko, myślała Liza — przed podróżą do Nassau, na Bermudy albo na Jamajkę.

— Żeby wreszcie przestało padać — powiedziała Lucy, chuchając na okno i rysując coś na zaparowanej szybie. — Chyba niedługo przestanie.

I rzeczywiście. Kiedy wjechali w ponury krajobraz doliny Rhondda, chmury były już wyżej, przestało padać, niebo od zachodu zaczynało się rozjaśniać. W Swansea świeciło słońce, a gdy dojechali do Colwyn, przedwieczne światło ozłacało ciągnące się aż ku morzu pola.

—Możemy pójść do zamku — zaproponował Timothy. Choć minęły już trzy lata od czasu, kiedy po ślubie Lizy i Matta byli wszyscy razem w Colwyn Court, i bliźniaki miały wtedy tylko po sześć lat, Timothy zapamiętał ruiny zamku na szczycie i fale morskie rozbijające się w dole na skałach.

—I konie. Nie zapominaj o dzikich koniach koło zamku.

—I o skalnych grotach na plaży!

—I o zatoczkach wśród skał...

—I o muszelkach...

—I o tych głupich owcach wszędzie na skałach... i na tych drugich skałach, tych naprzeciwko zamku... — dodała Lucy.

—Może ciocia Jane upiekła dla nas ciasto?

—Albo może zrobiła krówki! Pamiętasz krówki cioci Jane?

—Mniam, mniam!

Humor bliźniaków zdecydowanie się poprawił. Z niecierpliwością podskakiwali na tylnym siedzeniu rolls-royce'a.

Wolałabym, żebyśmy mieszkali w Colwyn Court — oświadczyła Liza. — Czyżby to dziwaczne stowarzyszenie zajęło cały dom? To chyba niemożliwe.

—Ja wolałbym raczej zatrzymać się u Jane — powiedział Matt. — Założę się, że gotuje o niebo lepiej niż jakakolwiek gospodyni zatrudniona przez Waltera.

—I to jest właśnie największy problem Jane — stwierdziła Liza. — Ona rzeczywiście za dobrze gotuje. Tyle kalorii!

—Nie wszyscy mężczyźni gustują w kobietach wyglądających jak kij od szczotki.

—Dzięki, kochanie — mruknęła z sarkazmem Liza. Dojechali do Colwyn Court i Matt skręcił w boczną drogę, która prowadziła do domku. Rolls pomrukiwał cicho, kołysząc się przy tym jakby z niechęcią.

—Jest ciocia Jane! — zapiszczała Lucy i otworzyła okno. — Ciociu Jane! Czy zrobiłaś dla nas krówki?

—Lucy! — krzyknęła Liza. — Jak ty się zachowujesz?

Timothy odepchnął Lucy i wystawił głowę przez okno.

—Czy upiekłaś ciasto?

Jane śmiała się patrząc, jak Matt zatrzymuje rollsa tuż za małym austinem Benedykta.

—Zrobiłam ciasto czekoladowe, tacę krówek i deser czekoladowy! — zawołała do nich.

Bliźniaki zawyły z rozkoszy i wypadły z samochodu prosto w jej ramiona.

Matt otwierał właśnie żonie drzwi samochodu, kiedy pojawił się Benedykt. Jego rzadkie włosy były nastroszone, a okulary wisiały mu na końcu nosa.

—Boże, co za hałas — powiedział z niesmakiem.

—Bardzo przepraszam. — Liza była pełna poczucia winy. — Lucy, Timothy, dość tego! Proszę przestać!

— Nic nie szkodzi — łagodziała Jane. — Benedykt tylko tak mówi... Jak się macie! Miło was widzieć...

Benedykt i Matt zajęli się bagażem, bliźniaki pobiegły spróbować czekoladowego ciasta, a Liza rzuciła się na fotel w saloniku i zażądała drinka.

—Tak, oczywiście — powiedziała Jane i zaczęła rozglądać się za dziennem, który kupiła tego ranka. Ale butelka gdzieś znikła.

—Jest tutaj! — zawołała Liza. — Czy ty zawsze trzymasz butelki w wiadrze węgla?

— Och... nie wiem... być może z jakiegoś powodu musiałam ją tam wsadzić... — Jane czuła, że przestaje panować nad sytuacją.

— Daj mi ją! — poleciła Liza. — Ja się tym zajmę. Matt, chcesz drinka?

— Kupiłam też whisky — poinformowała Jane. Przygotowanie drinków zajęło Lizie mniej niż trzy

minuty. Mężczyźni byli jeszcze na górze zajęci bagażem, głosy bliźniaków oddaliły się, bo wywędrowały już tylnymi drzwiami gdzieś na dwór.

— Nie wyobrażasz sobie, jaka okropna była ta podróż — jęknęła Liza. — Bogu dzięki, że mamy ją już za sobą. Jane, jak to dobrze znowu cię widzieć. Słuchaj, musisz mi coś doradzić... Gdyby twój mąż zdecydował się zamieszkać na Biegunie Północnym, co byś zrobiła?

— Przypuszczam, że pojechałabym tam razem z nim — odparła Jane. — Ale nie rozumiem, dlaczego Benedykt miałby chcieć wyjechać na Biegun Północny?

— Och, Jane, nie bądź taka tępa! Widzisz, chodzi o to...

W tym momencie obydwaj panowie zeszli po schodach na dół i rozmowa sióstr została nagle przerwana.

— Tu jest dla ciebie drink, Matt — powiedziała Liza.

— Za chwilę, jeszcze tylko przyniosę z samochodu skrzynkę wina.

— Skrzynkę wina! — wykrzyknął Benedykt i podążył za gościem, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem się nie przesłyszał.

— Zawsze pozostaje jeszcze rozwód — podjęła przyciszonym głosem Liza. — Ale tego bym chyba nie chciała... Oczywiście dostałabym alimenty, jednak to już nie byłoby to samo; wiesz, Jane, jak to jest, człowiek przyzwyczaja się do różnych drobnych luksusów, no a poza tym bliźniaki... Właśnie dla ich dobra powinnam wykluczyć rozwód. Matt jest dla nich bardzo dobry i tylko dzięki niemu mogę ich posyłać do najlepszych szkół... no i... Kocham Matta. Naprawdę. Tylko ostatnio jakoś trudno nam się było dogadać... wiesz, jacy są czasami mężczyźni...

— Wiem... To znaczy... chyba niezupełnie. Panowie wrócili niosąc skrzynkę z winem i postavili ją na stole w jadalni.

—To bardzo ładnie z twojej strony, Matt — powiedział Benedykt, z zainteresowaniem studiując etykiety na butelkach.

—To bardzo ładnie z waszej strony, że pozwoliliście się tak najechać — mruknął Matt. — Gdzie ten mój drink, Lizo?

—Tutaj, kochanie.

—A co z twoją córką, Matt? — zapytał Benedykt, sięgając po whisky z wodą sodową.

—No właśnie, jak tam Nicola? — zawtórowała mu Jane, próbując odebrać się od problemów małżeńskich Lizy. — Bardzo bym chciała, żeby czasem odwiedziła nas w Cambridge.

— Cóż, znacie przecież Nicole — powiedział Matt.

— Do wszystkiego trzeba ją nakłaniać. Ale z pewnością chętnie by was odwiedziła.

—Nicola wpadła w jakąś koszmarną rutynę: wciąż ta sama praca i to samo stare mieszkanie w Hampstead. To okropne — rzekła Liza.

—Jeżeli Nicola jest zadowolona, to nie rozumiem, czego tu żałować — przerwał jej ostro Matt.

—Nie bądź naiwny, Matt — wyśmiała go Liza.

— Nie ma takiej dwudziestokilkuletniej dziewczyny, która byłaby z czegoś takiego zadowolona.

—A ja byłam — wtrąciła Jane. — I uważałam ten okres za jeden z najszczęśliwszych w moim życiu. Opiekowałam się dziećmi tamtej rodziny w Szkocji i cudownie spędzałam czas.

Rozmowa zamieniła się w dyskusję na temat Szkocji i Matt, zapalony wędkarz, zaczął opowiadać o łososiu, którego złowił tam zeszłego lata.

Jane przypomniała sobie nagle o zapiekance w piecu i odstawiła szklanę z sherry.

— Boże! Zupełnie zapomniałam o obiedzie! — zawołała. — Przepraszam was na chwilę.

Liza także wymknęła się za nią do kuchni.

—Ciekawe, gdzie są bliźniaki — powiedziała Jane w nadziei, że uda jej się w ten sposób zapobiec dalszej dyskusji na temat małżeńskich problemów Lizy. — Obiad będzie gotowy za jakieś dwadzieścia minut. Może byś przez ten czas spróbowała ich poszukać?

—Chyba rzeczywiście powinnam — odparła Liza ponuro. — A czy mogłabym ci tu w czymś pomóc?

—Nie, dziękuję, dam sobie radę. Wiem, że okropny tu bałagan, ale panuję nad sytuacją... — Otworzyła drzwiczki piecyka i zerknęła do środka.

—To może porozmawiamy później — powiedziała Liza. — Tylko my dwie. Czuję, że muszę otworzyć przed kimś serce, a ty zawsze jesteś taka pełna współczucia, Jane.

—Hm... — mruknęła Jane, sprawdzając, czy marchewka jest już dobra.

—Może jutro?

—Dobrze. — Z ulgą zauważyła, że Liza kieruje się ku drzwiom kuchennym. — Ale wróćcie za jakieś dwadzieścia minut! — krzyknęła w ślad za siostrą.

—Dobrze, kochanie. Mam nadzieję, że te małe potwory nie odeszły zbyt daleko — odkrzyknęła Liza.

Ruszyła ścieżką prowadzącą na plażę, bliźniaków jednak nie było nigdzie widać. Na szczęście miała na sobie nowe zamszowe buciki, przerna-

czone specjalnie do spacerów na wsi, nie sprawiło jej więc trudności dojście do plaży ani też dalsza wędrówka w stronę jaskiń, które stanowiły dla bliźniaków nieodpartą pokusę już podczas ich poprzedniego pobytu w Colwyn.

— Lucy! Timothy! — wołała. Nie było jednak odpowiedzi.

Poszła dalej. Musiało padać tuż przed ich przyjazdem, bo piasek parował teraz pod wpływem słońca. Unosząca się w górę para falowała i Lizę ogarnęło poczucie nierzeczywistości, jakby poruszała się w jakimś fantastycznym krajobrazie. Nawet jaskiń nie widziała już wyraźnie.

— Lucy! — zawołała ponownie. — Jesteś tam, Lucy?

Odpowiedzi jednak nadal nie było, ruszyła więc w stronę znajdujących się u podnóża skał jaskiń. Kiedy tak szła, wydało jej się, że poprzez widmowe kolumny mgieł widzi zbliżającą się postać.

Zatrzymała się. Tak jak inni mieszkańcy wielkich miast, czuła lęk przed wiejską pustką i obawę przed spotkaniem z kimś obcym w odludnym miejscu.

—Kto tam?! — krzyknęła ostro.

Był to jakiś mężczyzna. Wciąż jeszcze nie widziała go wyraźnie, widziała jednak, że ma na sobie ciemny sweter i ciemne spodnie.

Cholerne bliźniaki, to przez nie musiałam tu przyjść, pomyślała. Nie wiedziała, czy odwrócić się i uciekać czy raczej pozostać na miejscu i zachowywać się jakby nigdy nic. Instynkt kazał jej uciekać, ale mężczyzna był już zbyt blisko i uznała, że zrobi z siebie idiotkę, jeśli nagle ucieknie jak spłoszony zając. Spojrzała na niego ponownie i to, co zobaczyła, trochę ją uspokoiło. Wyglądał całkiem normalnie, w niczym nie przypomi-

nał psychopatycznego zabójcy, który przypadkiem znalazł się na wolności.

—Przepraszam — bąknęła niepewnie. — Czy przypadkiem nie widział pan dwójki dzieci, chłopca i dziewczynki, w wieku dziewięciu lat, z jasnymi włosami i niebieskimi oczami?

—Obawiam się, że nie. — Mężczyzna uśmiechnął się do niej. — Z pewnością pani Morrison, czy mam rację?

Teraz, kiedy był blisko niej i ta złowroga mgła przestała ich dzielić, Liza stwierdziła, że lęk ją opuszcza i cieszyła się, że nie była aż tak głupia, żeby uciekać. Mężczyzna wyglądał sympatycznie. Miał miły uśmiech i Liza uświadomiła sobie, że sama też się do niego uśmiecha.

—Skąd pan to wie? — zapytała zaskoczona.

—Jestem z Colwyn Court i wiedziałem, że państwo Shaw oczekiwali dzisiaj pani z rodziną.

—Och — Liza nagle wszystko zrozumiała — należy pan z pewnością do Towarzystwa... przepraszam, nie mogę zapamiętać tej nazwy, ale...

—Tak, jestem jego przewodniczącym.

—Ach, rozumiem!, Wobec tego witam, panie...

—Poole. Tristan Poole. Witam, pani Morrison. — Wyciągnął do niej rękę.

Liza automatycznie również wyciągnęła swoją i poczuła, jak zamykają się na niej jego palce. Nastąpiła chwila ciszy. Zaczynał się odpływ i mewy krążyły nad mokrą plażą. Piasek wciąż parował, ale Liza tego nie widziała. Widziała tylko zarys szczęki Poole'a, jego potargane wiatrem włosy i jasność w oczach.

Poole znowu się uśmiechnął.

Co za przystojny mężczyzna, pomyślała Liza.

—Co pan tutaj robi? — zapytała, bo było to pierwsze, co jej przyszło do głowy. — Wygląda pan raczej na kogoś, kto bardziej byłby na miejscu w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku.

—To samo można by powiedzieć o pani, pani Mor-rison. Może więc moglibyśmy sobie nawzajem pomóc przystosować się do rygorów wiejskiego życia?

—Prostego życia — powiedziała Liza, mając na myśli Matta.

—Nie ma prostego życia, są tylko prości ludzie — odparł Poole. — A niektórzy ludzie są jeszcze prostsi od innych.

—Nie bardzo rozumiem... — zaczęła Liza, ale zaraz urwała. Co się z nią dzieje, że wdaje się w takie rozmowy z zupełnie obcym człowiekiem? To pewnie wiejskie powietrze, do którego nie była przyzwyczajona, trochę ją oszołomiło. — Proszę mi wybaczyć, ale teraz już naprawdę muszę odszukać dzieci — powiedziała. —Moja siostra za dziesięć minut podaje obiad i...

—Chętnie pomogę pani ich poszukać. Czy jest pani pewna, że zeszły akurat na plażę?

—Nie, ja...

—Może więc poszli aż do ruin zamku i kaplicy. To miejsce, które, jak mi się wydaje, może stanowić atrakcję dla dzieci.

—Oczywiście! — wykrzyknęła Liza, przypominając sobie, że już w samochodzie dzieci mówiły coś na temat zamku. — Jak głupio z mojej strony, że o tym nie pomyślałam.

—To całkiem naturalne, że najpierw pomyślała pani o plaży — zauważył lekko i znowu podał jej rękę.

— Niech pani uważa, skały są tu bardzo śliskie.

Liza bez słowa ujęła jego dłoń. Serce zaczęło jej walić jak młotem i wiedziała, że to nie tylko wysiłek wdrapywania się stromą ścieżką. Kiedy na szczycie zatrzymała się na chwilę dla złapania oddechu, poczuła, że nie jest już taka spięta, ale jej język jakby rządził się swymi własnymi prawami. Usłyszała siebie samą, jak pyta raptownie:

—Czy jest pan żonaty?

—W tej chwili nie.

—To znaczy, że był pan?

—W pewnym sensie.

Umysł Lizy buzował przez moment od wszelkich znanych jej skomplikowanych eufemizmów.

— Chce pan powiedzieć, że żył pan z kimś bez kościelnego błogosławieństwa...?

Uśmiechnął się, ale nic nie odrzekł.

— Ja jestem powtórnie zamężna — oświadczyła Liza.

— Moje pierwsze małżeństwo praktycznie już nie istniało, kiedy mój mąż zginął. A drugie nie jest wcale lepsze. Czasami naprawdę czuję się zdecydowaną przeciwniczką małżeństwa i myślę, że jest to najbardziej idiotyczna instytucja, jaką można sobie wyobrazić.

— Przecież może się pani z niej wyzwolić.

— Nie mogę. Mam zbyt wiele do stracenia. Nie może być mowy o rozwodzie.

— Kto tu mówił o rozwodzie?

— Ale... albo pozostanę żoną ze wszystkimi tego konsekwencjami, albo rozstanę się z Mattem. On nie zgodziłby się na żaden kompromis. Nie ma mowy, żeby zaakceptował jakikolwiek mój związek... to znaczy, wykluczam wszelką niewierność...

—Komu pani chce to wmówić? Bo chyba nie mnie.

—Ale...

—Jedyne, czego pani dotąd brakowało, to odpowiednio dobra okazja. Kiedy się pojawi, nawet się pani nie zawaha.

—To nieprawda! — krzyknęła Liza.

—Kłamczucha — powiedział Poole i Liza poczuła, jak jego długie palce obejmują ją w pasie.

Tego, co nastąpiło potem, Liza nie mogła sobie później dokładnie przypomnieć. Zdawało jej się, choć nie mogła w to uwierzyć, że odwróciła się podając mu usta do pocałunku, ale to przecież nie mogła być prawda. Swego czasu zdarzały jej się różne szaleństwa, nigdy jednak nie uważała się za osobę rozwiązłą — bo cóż bardziej mogłoby świadczyć o rozwiązłości, niż całowanie mężczyzny, którego znała zaledwie od pięciu minut? Bez względu na to, czy jej rola była tu bierna czy nie, nie ulegało wątpliwości, że Poole całował ją w usta, a ona tuliła się do niego, aż w końcu on sam się od niej delikatnie uwolnił.

—Nie możemy dopuścić do tego, żeby twój mąż nas zobaczył — powiedział z uśmiechem, spoglądając przez ramię na domek.

Liza poczuła, że nie jest zdolna wykrztusić słowa. Wszystko się w niej trzęsło. Nie mogła ruszyć się z miejsca.

—W porządku, dzięki temu głazowi byliśmy niewidoczni z okien domku — rzekł Poole. Poklepał kamień przyjaźnie i odwrócił się z powrotem do Lizy. — Może przyszlabyś jutro do głównego domu?

— Dobrze — odparła. A potem dodała: — Nie, lepiej nie.

Poole tylko wzruszył ramionami i spojrzał na nią kpiąco.

—Muszę już iść — oznajmiła Liza nie ruszając się z miejsca. — Muszę iść.

—No, jeśli musisz, to pewnie rzeczywiście musisz — skwitował.

Stali nieruchomo, patrząc na siebie. Nagle Poole wykonał dziwny ruch ręką.

— Idź! — nakazał.

Liza odzyskała siły i panowanie nad swoim ciałem. Zaczęła biec. Ścieżka prowadziła pod górę i po chwili Liza z trudem łapała oddech, ale biegła dalej. Kiedy dobiegła do kuchennych drzwi domku, stanęła dysząc ciężko na progu pustej kuchni.

W chwilę później weszła Jane.

—Co ci jest? Co się stało?

—Nic — powiedziała Liza zdecydowanie.

—Ale...

—Nie mów teraz nic do mnie.

— W porządku — odparła Jane. — A przy okazji, wróciły bliźniaki i kazałam im iść na górę umyć ręce. Obiad będzie za jakieś pięć minut. Warzywa muszą się gotować trochę dłużej, niż myślałam, więc...

Liza weszła do saloniku. Matt opowiadał właśnie Benedyktowi o szczególnych cechach łososi występujących w rzece Wye.

Pobiegła na górę i przez otwarte drzwi łazienki zobaczyła bliźniaki myjące ręce. Na jej widok przybrały pełen poczucia winy wyraz twarzy.

—Przepraszam, mamusiu, że musiałaś nas szukać — powiedział w końcu Timothy. Już dawno zostało między nimi ustalone, że Timothy jest lepszy do przeproszania. — Nie chcieliśmy cię zmartwić.

—Już dobrze, kochani, nie martwię się — uspokoiła ich Liza. I widząc jedną ze swoich walizek w najbliższej sypialni, rzuciła się tam, zatrzasnęła za sobą drzwi i padła na stos rzeczy piętrzących się na łóżku.

2

—Może powinniśmy wybrać się dzisiaj do głównego domu — powiedział Matt do Lizy, kiedy następnego dnia ubierali się do śniadania. — Powinniśmy przywitać się z Walterem i Gwyneth.

—Ja chyba nie mam na to ochoty — odparła szybko Liza, a kiedy Matt spojrzał na nią ze zdumieniem, dodała zmieszana: — To znaczy, chcę się zobaczyć z Walterem i Gwyneth, ale nie chcę iść do Colwyn Court jeszcze teraz. Może oni przyszliby tu nas odwiedzić...

—Dlaczego, u diabła, nie chcesz iść do Colwyn Court?

—Och... — mruknęła apatycznie Liza. — Nie chce mi się dzisiaj nigdzie chodzić. Trochę źle się czuję.

Była to kiepska wymówka, ale ku jej uldze Matt przyjął ją do wiadomości bez dalszej dyskusji.

—W porządku — powiedział. — W takim razie rano pójdę tam na chwilę z dziećmi, żeby grzeczności stało się zadość, a przy okazji postaram się namówić Waltera i Gwyneth, żeby po południu wpadli tutaj. Przykro mi, że źle się czujesz. Może byś poszła do łóżka i trochę odpoczęła?

—Pewnie tak zrobię — zgodziła się Liza, ale kiedy tylko Matt z bliźniakami po śniadaniu wyszli z domu, założyła biało-niebieskie spodnie, zrobiła makijaż, dodając cerze odrobinę opalenizny, a gęste blond włosy związała apaszką dobraną do koloru ubrania.

—Wybieram się na plażę, Jane — powiedziała, odnajdując siostrę w kuchni. — Czuję, że morskie powietrze dobrze mi zrobi... Czy mogę ci pomóc zmywać?

—Ależ skąd! — odparła pośpiesznie Jane, obawiając się następnej rozmowy na temat problemów Lizy. — Jesteś na wakacjach! Cieszę się, że trochę lepiej się czujesz.

—Byłam tylko zmęczona po podróży — oświadczyła Liza. — Ale już wypoczęłam.

Wyszła przez otwarte drzwi kuchni, a za nią pobiegł kot Jane. Różowym językiem oblizywał sobie pyszczek, jakby oczekiwał, że dostanie od niej jakiś smakołyk.

—Siooo! — zawołała Liza, obawiając się brudnych śladów jego łap na swoim jasnym spodniem. — Spływaj!

Kot jednak szedł za nią całą drogę aż na plażę. Zawrócił dopiero wtedy, gdy zaczęła gramolić się na dół po skałkach, potem popędził co sił w no-

gach w kierunku Colwyn Court. Puszysty biały ogon powiewał za nim, a białe łapki wydawały się tylko plamą na ciemnym tle ścieżki.

Liza szła plażą obserwując przyływ. Słońce świeciło dziś kapryśnie; w powietrzu czuło się chłód, ona jednak tego nie zauważała, ciepło ubrana w żakiet i sweter. Przez dłuższy czas stała patrząc na morze i przyglądając się białej pianie wsiąkającej w piasek, podczas gdy fale z łoskotem rozbijały się o brzeg. Kiedy w końcu odwróciła się i stwierdziła, że nie jest już sama, zaskoczyło ją tylko to, że zupełnie nie poczuła się zaskoczona. W chwilę później uświadomiła sobie, że serce znów jej wali i ma sucho w ustach.

— Cześć, Lizo — powiedział Tristan Poole idąc w jej stronę. — Jak to miło cię widzieć...

— Wujku, chodźmy do zamku — poprosiła Lucy, biorąc ojczyma za rękę.

Podczas wizyty w Colwyn Court formom towarzyskim stało się zadość. Bliźniaki piły lemoniadę i jadły ciasteczka imbirowe, a Walter pokazywał im ostatnie okazy w swoim zbiorze polnych kwiatów. Potem Gwyneth łaskawie pozwoliła im nawet posłuchać kakofonii dźwięków z ostatniego singla, znajdującego się właśnie na szczycie listy przebojów.

— Lubię Gwyneth. Jest całkiem inna niż reszta dorosłych — powiedział Timothy do Lucy.

Po wizycie w pokoju Gwyneth zostali przedstawieni pannie Agnes Miller z Towarzystwa Propagowania Pokarmów Naturalnych, wobec której pięknie odegrali swoją rolę „rozkosznych bliźniątek” wpatrując się w nią szeroko otwartymi, niewinnymi oczętami i uśmiechając się słodko, podczas gdy ona wykrzykiwała, jak to cudownie, że są bliźniętami i że wyglądają zupełnie jak dwa aniołki.

—Pozory często mylą, panno Miller — zauważył Matt. — Już prędzej mogłybyście być diabełkami, prawda, dzieciaki? — Wszyscy dorośli się roześmieli, a bliźniaki pomyślały: ależ oni są głupi.

—Jesteśmy szatanami w ludzkim ciele — oznajmiła poważnym tonem Lucy, a panna Miller posłała jej bardzo szczególne spojrzenie.

—Nie podoba mi się ta panna Miller — powiedział potem Timothy.

—Dlaczego? Po prostu jeszcze jedna głupia stara baba. Przecież wiesz, że one w tym wieku głupieją.

Po wypiciu wielu szklanek lemoniady i zjedzeniu niezliczonej liczby ciasteczek imbirowych obowiązki towarzyskie zostały wreszcie wypełnione i Matt zabrał dzieci do domku.

—No i jak, wujku? Dobrze się zachowywaliśmy? — zapytała Lucy. Wiedziała, że zachowywali się najlepiej, jak umieli, ale była spragniona pochwał.

—Znakomicie! I to oboje. — Matt uśmiechnął się do nich szeroko.

Lucy zaproponowała, żeby wybrali się do zamku.

—Chyba nie zamierzasz ciągnąć ze sobą takiego starca jak ja? — zapytał Matt uznawszy, że powinien raczej wracać do domu i zobaczyć, jak się czuje Liza.

—Właśnie że tak, tak, tak! — wykrzyknęła Lucy, chwytając go za rękę.

—Potrójne tak! — wrzasnął Timothy i złapał go za drugą rękę. Matt nie miał już szansy ucieczki.

—W porządku — roześmiał się. — Idziemy na zamek. Mamie nie powinno to przeszkadzać. Z pewnością leży jeszcze w łóżku zła, że nie jest teraz na Bahamach.

Zamek, wybudowany sześćset lat temu po tym, jak Edward I podporządkował sobie Walińczyków, został opuszczony już pod koniec XV wieku, kiedy do władzy doszli Tudorowie. Teraz był już tylko ruiną wznoszącą się na skałach po zachodniej stronie zatoki Colwyn. Pozostały jeszcze resztki wieży warownej, baszt i murów, a przez wysokie okna można było popatrzeć na morze, plażę i na rozbijające się o brzeg fale.

—Fajne miejsce, co? — powiedział Timothy z błyskiem w oku.

Do zamku przylegała kaplica, lepiej zachowana niż sam zamek, chociaż bez dachu. Pewien archeolog opowiadał Walterowi, że zbudowano ją później z cegieł zamku, który już wtedy zaczął się rozpadać. Musiała być w użytku bardzo krótko, skoro od czasów Reformacji już z niej nie korzystano.

Walter wystąpił do Ministerstwa Budownictwa z prośbą o subwencję, zamierzając zabezpieczyć ruiny przed dalszym niszczeniem, w zamian za to został zobowiązany do tego, żeby raz w miesiącu teren Colwyn Court

udostępniano zwiedzającym, umożliwiając w ten sposób obejrzenie kaplicy i zamku. Mało kto tu jednak przychodził. Nie wydano przewodników, nie sprzedawano pocztówek, nie było kiosków z jedzeniem ani sklepów z pamiątkami i większość turystów przebywających w tej okolicy nie chciała zawracać sobie głowy zwiedzaniem czegoś, co uważali za „jeszcze jedną starą ruinę”.

Wokół zamku pasło się około dwudziestu dzikich koni ze stada należącego do majątku Colwyn, odkąd tylko sięgnąć pamięcią. Były to piękne, pełne wdzięku zwierzęta, o długich szyjach, łagodnych oczach i bujnych ogonach, które płynęły za nimi, gdy stado galopowało w dół nad morze. Kiedy Matt z dziećmi podchodzili do zamku, zerwały się do biegu i już po chwili słychać było ich galop po ścieżce prowadzącej do następnej zatoczki, gdzie przy ujściu strumyka wpadającego do morza miały wodopój-

—Chciałbym mieszkać w tym zamku — powiedział Timothy. — I jeszcze mieć swojego własnego konia. — Kiedy upewnił się, że Matt został parę kroków z tyłu i spogląda w dół na zatokę Colwyn, dodał szepciem: — Gdyby tata wy dostał się z Chin...

—Timmy, przecież ustaliliśmy, że to był Tybet!

—Możliwe, że jest już w Indiach. Przecież Indie są koło Tybetu. Więc kiedy on w końcu wróci...

—...z tymi wszystkimi bogactwami, z klejnotami z Tadż Mahal, będzie mógł odbudować zamek i będziemy mogli tu wszyscy zamieszkać... — snuła dalej fantazję brata Lucy.

—Na zawsze — rozmarzył się Timothy i nagle dodał: — Na co wujek Matt tak patrzy?

—Nie wiem... Wujku! Na co tak patrzysz?

Matt nie odpowiedział, ale dzieci podeszły bliżej, żeby zobaczyć,

—Ojej, to mama! — zawołała Lucy zaskoczona.

— Tam na plaży! A kto to jest ten pan?

—Chodźmy tam — powiedział Matt i szybko zaczął schodzić ze wzgórza.

—Hej, poczekaj na nas! — krzyknęła Lucy.

—Wujku, poczekaj! — krzyczał Timothy, ale Matt nie zwolnił i musieli biec, żeby za nim nadążyć.

—O, już idą, zanim tam dojdziemy, będą na skałkach — wysapał Timothy.

—Gońmy ich — zaproponowała Lucy, której zaimponowały długie kroki Matta. — No, Tim, lecimy!

Zbiegli ze wzgórza na ścieżkę prowadzącą z plaży do domku i zatrzymali się dla nabrania tchu.

—Ooooch! — dyszała ciężko Lucy, chwytając się za bok. — Mam kolkę!

—Ja też! — Timothy osunął się na wrzosowisko.

—Gdzie mama? O, jest tutaj. Kurczę, ten pan, co z nią idzie, wygląda zupełnie jak taki jeden z serialu telewizyjnego.

Timothy nie odpowiedział. Wstał powoli, przyglądając się matce. Uznał, że wygląda wyjątkowo ładnie. Jej policzki zaróżowiły się od morskiego wiatru, oczy błyszczały, a włosy lśniły w bladym słońcu.

—Kochani! Jaka miła niespodzianka! — zawołała Liza. — Czy byliście już w Colwyn Court?

—Tak. I w zamku też. — Lucy spojrzała na Poole'a.

— Kto to jest ten pan?

—To pan Poole, przewodniczący stowarzyszenia goszczącego w Colwyn Court. Tristanie, to...

—Dzień dobry panu — powiedziała Lucy, korzystając natychmiast z okazji, żeby pokazać, jak grzecznie umie się zachować. Posłała mężczyźnie swój najśłodszy i najbardziej niewinny, wielokrotnie sprawdzony uśmiech, po czym dodała demonstrując swą najlepszą dykcję:

— W Colwyn Court poznaliśmy właśnie pannę Miller. Wspominała o panu i opowiadała nam o pańskim wspólnym stowarzyszeniu. Wydała nam się bardzo miła, prawda, Timothy?

Timothy był okropnie zakłopotany, chociaż nie rozumiał, z jakiego powodu. Czuł, że się czerwieni, więc odwrócił głowę, chcąc ukryć zmieszanie.

Poole uśmiechał się cały czas. Zauważył zakłopotanie chłopca. Zauważył też proste, jasne, długie włosy Lucy, jej szeroko otwarte fiołkowe oczy o ciemnych rzęsach i różowe usta i doszedł do przekonania, że jest wyjątkowo ładnym dzieckiem. Miała prześliczne wielkie oczy i niewinną buzię, ale wiedział, że kłamała mówiąc o Agnes Miller. Nie przestawał się jednak uśmiechać.

—Jak się masz, Lucy — powiedział przyjaźnie. Dziewczynka zawahała się, ale już za sekundę odwzajemniła uśmiech.

—Timothy, przywitaj się z panem Poole'em — poleciała ostro Liza. W tym momencie do akcji wkroczył Matt i Liza natychmiast przeniosła uwagę na męża. — Matt — zaczęła — to jest pan Tristan Poole, przewodniczący stowarzyszenia w Colwyn Court... Tristanie, to mój mąż.

Mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę, po czym Poole wyciągnął rękę i wymamrotał jakieś zdawkowe powitanie. Matt potrząsnął jego ręką i zaraz bez słowa ją puścił.

—Lepiej się już czujesz? — zapytał żonę sucho.

— Czuję się cudownie! — odparła szybko Liza. — Morskie powietrze mnie uzdrowiło — dodała, jeszcze pogarszając sprawę.

Znów zapadła niezręczna cisza.

—Tristan zaprosił nas na lunch do Colwyn Court — powiedziała po chwili Liza. — Oczywiście nas wszystkich. Właśnie szłam powiedzieć Jane, żeby nie zawracała sobie głowy gotowaniem dla nas.

—Mam inne plany — mruknął Matt.

— Ale przecież... — zaczęła Liza i urwała, zmrożona spojrzeniem męża.

—To może kiedy indziej — rzucił lekko Poole.

— Przecież to nie musi być dzisiaj. A teraz, państwo wybaczą... — powiedział i odszedł. Słyszeli, jak pogwizduje sobie oddalając się ścieżką w stronę Colwyn Court. Po chwili stracili go z oczu.

— Moi kochani, biegnijcie i powiedzcie cioci Jane, że nie będzie mnie dziś na lunchu — zwróciła się Liza do bliźniaków.

Dzieci popatrzyły na Matta, on jednak milczał.

—Biegnijcie — powtórzyła z uśmiechem Liza.

Dzieci odwróciły się i bez słowa ruszyły w stronę domu. Wzięły się za ręce i szły ramię w ramię wąską ścieżką, nie oglądając się za siebie.

— Teraz powiedz mi, Lizo, co się tu dzieje, do jasnej cholery? — zapytał Matt.

— Ale ja...

— Nie kłam, bo pożałujesz! Widziałem, co robiliście na plaży!

—Ależ Matt, przecież nic nie robiliśmy... Uderzył ją w twarz. Cofnęła się wstrząśnięta.

—Co ty...

—Mówiłem, że jeśli będziesz kłamać, to pożałujesz — warknął Matt.

—Jak śmiałeś mnie uderzyć! Gdybyś był dżentelmenem, a nie kimś ze slumsów Birmingham...

—Nie wciskaj mi takich bzdur. Gdybyś była damą, a nie samolubną dziwką, tobym nie tknął cię palcem. A teraz posłuchaj, Lizo. Nie znam tego człowieka i nie wiem, od jak dawna ty go znasz, ale nie będziesz się z nim więcej widywać. Jeżeli z nim flirtujesz, żeby się na mnie zemścić za to, że nie zgodziłem się na te Bahamy...

—Ja z nim nie flirtowałam! Tylko dlatego, że zdarzyło mi się posiedzieć na plaży z przystojnym mężczyzną w moim wieku...

—Leżałaś na piasku, a on cię całował, dopóki nie uświadomił sobie, że ktoś na was patrzy. Nie wykręcisz się z tego kłamstwami, Lizo. Gdyby nie było ze mną bliźniaków, wziąłbym faceta za kark i cisnąłbym go o ziemię. Nie będziesz się z nim więcej spotykać i nie pójdziesz na lunch do Colwyn Court.

— Och, Matt, nie bądź śmieszny! Przecież będzie tam Walter i Gwyneth i współpracownica Tristana, panna Miller...

— Słuchaj, czy ja naprawdę mówię nie dość wyraźnie? — zapytał Matt. — Może jestem staromodny, ale mam pewne zasady i nie zamierzam ich zmieniać. Jesteś moją żoną i dopóki nią jesteś, nie będziesz się zabawiać z innymi mężczyznami. Jeśli cię złapię na tym, że się zadajesz z tym Poole'em, to...

— Och, Matt! — Liza wybuchnęła płaczem. Łzy były autentyczne, lecz jednocześnie było to dla niej najlepsze wyjście z sytuacji, bo Matt, podobnie jak większość mężczyzn, miał w gruncie rzeczy miękkie serce.

— No, Lizo... — zaczął niepewnie.

— Nic nie rozumiesz! — łkała Liza. Kiedy chciał ją przytulić, odwróciła się i wciąż gorzko płacząc i potykając się poszła ścieżką ku domowi.

Matt jednak czuł, że rozumie aż nadto dobrze.

Po południu Jane zabrała dzieci na plażę, Benedykt powrócił do swej pracy, a Liza została w swoim pokoju, gdzie ukryła się już przed lunchem. Matt był sam. Rozważywszy parę możliwości spędzenia tego po-

południa odrzucił wszystkie, po czym wsiadł do samochodu i opuściwszy półwysep Gower ruszył w stronę Swansea.

Na przedmieściu zatrzymał się, znalazł budkę telefoniczną i zaczął odliczać drobne na rozmowę z Londynem.

—Zamawiam rozmowę z przywołaniem panny Nico-li Morrison — powiedział do telefonistki — Hampstead 59611.

Nie zastał jednak Nicoli w domu. Była sobota i pojechała gdzieś na wycieczkę.

—Bardzo mi przykro, ale jak tylko wróci, powtórzę jej, kto dzwonił — obiecała sublokatorka Nicoli.

Matt westchnął. Nie wiedział, dlaczego nagle odczuł taką potrzebę porozmawiania z córką, ale czuł się nieszczęśliwy i samotny, a Nicola była jedyną bliską osobą na świecie, jaka mu jeszcze została.

Kiedy po powrocie ze Swansea otwierał drzwi domku, zadzwonił telefon. Benedykt go nie słyszał, bo akurat odbywał drzemkę na górze i wyglądało na to, że nikogo więcej w pobliżu nie ma.

Matt podniósł słuchawkę.

—Halo?

—Tatusiu? Właśnie weszłam do domu. Judy mówiła, że telefonowałeś, ale okropnie trudno się tam do was dodzwonić, a najpierw telefonistka mi powiedziała, że tam w ogóle nie ma telefonu. Co słychać w Colwyn?

—No cóż... — spojrzał w kierunku schodów, żeby sprawdzić, czy drzwi od pokoju Lizy są zamknięte, ale z miejsca, w którym stał, nie można było tego zobaczyć. — Nie za dobrze. Walter wynajął połowę domu jakiemuś zwariowanemu towarzystwu, które ma bzika na punkcie

zdrowego jedzenia, i coś mi się wydaje, że Liza zamierza się do nich przyłączyć.

—O Boże! Tato, chyba nie mówisz poważnie? Pozostawił to bez odpowiedzi.

—Może przyjechałabyś tu na parę dni? Dzisiaj rano widziałem się z Walterem i Gwyneth, i oboje się o ciebie pytali.

—Oj, chyba nie dam rady.

—Dlaczego?

—Urlop mam dopiero we wrześniu.

—No to weź go wcześniej.

—Byłaby to zbyt duża niewygodą dla mojego szefa.

—Bzdura — oświadczył Matt. — Nikt nie jest niezastąpiony. Ten twój szef bardziej by cię cenił, gdybyś nie spełniała tak skwapliwie wszystkich jego zachcianek.

—No...

—Wiesz, nie ma tu jeszcze Evana. Podobno wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

—To nie ma z nim nic wspólnego — powiedziała Nicola, doskonale zdając sobie sprawę, że jej niechęć do wizyty w Colwyn jest związana właśnie ze wspomnieniami o Evanie i o pięknych chwilach, które tam razem spędzili.

—Zastanów się. W domku nie ma już miejsca, ale Gwyneth mówiła, że w Colwyn Court, mimo tego całego cholernego towarzystwa, jest jeszcze jeden wolny pokój. — Usłyszał, że drzwi od pokoju Lizy otwierają się ze skrzypnięciem i zmienił temat: — A co nowego w Hampstead?

— W porządku. Właściwie wszystko po staremu.

— No to dobrze. Trzymaj się i postaraj się tu przyjechać, jeśli tylko będziesz mogła. Prawie cię ostatnio nie widuję.

Nicola poczuła się winna. Kiedy się już pożegnali i odłożyła słuchawkę, długo siedziała zamyślona. Bardzo pragnęła, żeby wizyta w Colwyn nie była dla niej tak ciężką próbą. Cóż, to wszystko z powodu Lizy. Ale co ojciec miał na myśli, kiedy mówił o tym stowarzyszeniu? Poszła do kuchni zrobić sobie kawę i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście ojciec jest szczęśliwy w małżeństwie. Krótkie wizyty w domu, podczas których odczuwała głównie skrepowanie, nie dały jej dotychczas powodów do podejrzeń, że związek Matta z Lizą nie jest taki, jak być powinien.

Wciąż jeszcze myślała o nich, kiedy dziesięć minut później zadzwonił telefon.

Judy gdzieś wyszła i Nicola była sama w domu. Przechylając się na krzesło sięgnęła po słuchawkę.

— Halo?

Nastąpiła seria trzasków i pisków z miejskiego automatu, zanim moneta wpadła gdzie należy i można było rozmawiać. W tle Liza usłyszała dźwięki wskazujące na to, że ktoś dzwoni z jakiegoś dworca; słychać było zapowiedzi przez głośnik, kroki, czyjeś głosy.

—Halo? — powtórzyła.

—Halo — odezwał się głos, którego, jak powtarzała sobie setki razy, miała już nigdy więcej nie usłyszeć. — To jednak mieszkasz tu, gdzie dawniej. Jak się miewasz?

Była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć słowa. Pomyślała, że chyba ma halucynacje. Albo że wariuje.

— Nicki, słyszysz mnie?

Jego głos brzmiał tak samo rzeczowo i przyjaźnie jak dawniej i nagle Nicola przypomniała sobie jego krótkie kędzierzawe rude włosy, piegowaty nos, który złamał kiedyś grając w rugby, i wesołe niebieskie oczy.

—To niemożliwe — powiedziała głośno. — Miało cię tu nie być aż do przyszłego tygodnia. To jakaś bujda.

—Żadna bujda — odparł lekkim tonem, ale wiedziała, że z trudem dobiera słowa. — Martwię się o ojca, więc spróbowałem wcześniej wyrwać się z Afryki. Mój samolot wylądował pół godziny temu i w tej chwili jesteś jedyną osobą w Anglii, która wie, że przyjechałem.

—Czy chcesz przez to powiedzieć, że powinnam mdleć ze szczęścia? — zapytała. Zaraz jednak pożałowała, że nie ugryzła się w język, zanim to powiedziała. Ta ironia była zupełnie niepotrzebna.

—Nie, wcale tego nie oczekuję.

Wiedziała, że zrobiło mu się głupio, i poczuła ból w sercu. Chciała przecież zawołać: „Tak się cieszę, że wróciłeś! Tak się cieszę, że dzwoniisz! Och, jak bardzo chciałabym cię znowu zobaczyć!” Zamiast tego jednak zapytała tylko: — Kiedy jedziesz do Colwyn?

—Jutro. Ale pomyślałem, że dzisiejszy wieczór spędzę w Londynie, żeby dojść trochę do siebie po takiej długiej podróży. Słuchaj, Nicki...

—Tak? — powiedziała czując, że w ustach jej zaschło.

—...nie zdradzisz nikomu, że tu jestem, dobrze? Chciałbym zrobić im tam w Colwyn niespodziankę.

—W porządku.

Zapadła cisza. Muszę coś mówić, bo inaczej on skończy rozmowę, pomyślała z rozpaczą Nicola.

—Jak tam było w Afryce? To chyba wspaniałe doświadczenie dla ciebie — powiedziała, ale zabrzmiało to przeraźliwie sztucznie nawet dla niej.

—Tak, oczywiście.

O Boże, myślała Nicola. Tak mocno ścisnęła słuchawkę telefonu, że aż bolały ją palce. Powiedz coś, modliła się bezgłośnie. Proszę. Powiedz coś. Nie odkładaj słuchawki. Proszę.

—Nicki... — zaczął Evan.

—Tak?

—Miałem w Afryce dużo czasu do myślenia. Mogłem napisać, ale...

—Nie, przecież prosiłam cię, żebyś tego nie robił.

—Tak, pamiętałem o tym, ale mimo to wiele razy omal do ciebie nie napisałem.

—Naprawdę? — Oczy Nicoli napełniły się łzami i z trudem opanowała drżenie głosu.

—Wiesz... teraz, z perspektywy czasu, myślę, że to wszystko było niepotrzebne. Chodzi mi o to, jak się między nami skończyło... rozumiesz? Chociaż może twoje postępowanie było usprawiedliwione...

—Twoje też było usprawiedliwione — stwierdziła Nicola. — Powinnam zrozumieć, że ten wyjazd do Afryki to coś, z czego nie mogłeś zrezygnować.

—Tak. Ale... — usłyszała, jak Evan bierze głęboki oddech. — Przypuszczam, że już masz kogoś innego, może jednak byśmy się spotkali, choćby ze względu na dawne czasy. Co o tym myślisz? — zapytał.

—Czemu nie? — odpowiedziała Nicola i sama się zdziwiła spokojnym brzmieniem swojego głosu. Jak mogła być aż tak obojętna? Znow zaczęła ją ogarniać panika. — Tak, oczywiście — dodała pośpiesznie, usiłując wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu, ale udało jej się tylko przybrać znowu ten okropny ton fałszywego ożywienia. — Byłoby miło.

—Może poszlibyśmy wieczorem na drinka? — zaproponował. — Wprawdzie jest sobota, więc pewnie już się z kimś umówiłaś na kolację, ale może...

—Dzisiaj akurat z nikim się nie umówiłam — odparła Nicola.

—Nie? Więc co powiesz na to, żebyśmy razem zjedli kolację?

Ku swojemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że płacze. Wielkie łzy cicho spływały jej po policzkach.

—Tak — wykrztusiła. — Bardzo bym chciała.

—Wobec tego wynajmę samochód i podjadę po ciebie o wpół do siódmej.

—Dobrze.

—Cudownie! Do zobaczenia niedługo, Nicki! — zawołał Evan i wypadł z budki telefonicznej. Złapał walizki, zatrzymał taksówkę i wyrecytował adres hotelu w centrum Londynu, gdzie na tę noc miał zarezerwowany pokój. Za parę godzin zobaczy Nicole! Zapomniał o wszystkich swoich problemach rodzinnych i myślał już tylko o nadchodzącym wieczorze.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy poszli już spać, Matt postanowił napisać do córki. Kilkaset metrów od domku morze uderzało o brzeg, lecz oprócz szumu fal i tykania stojącego przy schodach zegara wszędzie panowała cisza. Bliźniaki już dawno spały. Liza od razu po kolacji poszła na górę, skarżąc się na ból głowy, a Benedykt godzinę temu dopalił ostatniego papierosa i poszedł za Jane do sypialni. Matt był sam.

...no i mniej więcej tak sprawy teraz wyglądają... — pisał do Nicoli. — A przy okazji, czy słyszałaś kiedykolwiek o niejakim Tristanie Poole'u? To dość młody facet, mniej więcej w wieku Lizy...

Kiedy z goryczą przyglądał się temu, co napisał, poczuł nagły ból na myśl o swojej zbliżającej się sześćdziesiątce. Dobrze mu tak, skoro ożenił się z dziewczyną, która mogłaby być jego córką.

...wygląda dość zwyczajnie, nie ma w nim nic szczególnego, zachowuje się swobodnie, ma jednak dobre maniery i mówi bardzo poprawnie. Przyszło mi na myśl, że może go poznałaś na jakimś przyjęciu w Londynie, ale to pewnie mało prawdopodobne. W każdym razie jestem pewien, że Liza musiała go już kiedyś spotkać, nie mogę uwierzyć, że widziała go tylko dwa razy, chociaż zaklina się, że to prawda. Robi z siebie pośmiewisko, ale chyba trochę udało mi się przywołać ją do porządku...

Bardzo żałował, że nie ma tu Nicoli. Była jedyną osobą, z którą mógł rozmawiać, kiedy był przygnębiony. Nigdy nie zapomniał tych godzin, które spędzili razem, gdy parę lat temu zmarła jej matka. Bardzo ich to do siebie zbliżyło. Do czasu jego małżeństwa z Liza.

...ale i tak bym chciał, żeby Liza i ten Poole byli oddaleni od siebie co najmniej o kilkaset kilometrów — pisał, naciskając pióro tak mocno, że litery miejscami dziurawiły papier. — Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że coś z nim jest nie tak. Walter Colwyn to najbardziej łatwowierny człowiek pod słońcem, a jak jest z Gwyneth, sama dobrze wiesz—

Zaskrzypiały drzwi. Matt podniósł głowę, ale to tylko kot wszedł z kuchni do pokoju.

...myślę, że gdy Evan wróci z Afryki, będzie musiał się zainteresować tym wszystkim, co się dzieje w Colwyn Court. Mam nadzieję, że nie okaże się, iż Poole pozbawił już Waltera domu i majątku...

Marble usiadł przy kominku i mył sobie łapki.

...wybacz, że Ci zawracam głowę tym Poole'em, ale to typ, który mnie naprawdę niepokoi. Jeśli złapię Lizę, jak się znowu z nim zadaje, zrobię piekło, bo jestem zbyt dumny, żeby to tak po prostu przelknąć. Wolałbym się raczej rozwieść niż zostać rogaczem, ale Liza nie miałaby pewnie nic przeciwko rozwodowi, gdyby nie to, że jej chodzi przede wszystkim o pieniądze. Będzie miała te pieniądze, jak długo żyję, jednak to wszystko. Jeżeli jeszcze przyczyni mi jakichś kłopotów, dopilnuję, żeby po mojej śmierci nie dostała ani pensa...

Przerwał pisanie, bo nagle uświadomił sobie, że kot wskoczył na stojącą za nim komodę i dyszy mu w kark.

— Psik! — powiedział surowo, a kiedy kot nawet nie drgnął, zepchnął go na podłogę.

Marble zamiauczał. Jego różowe oczy zwięzły się w dwie ziejące złością szparki.

Matt dopisał jeszcze jedno zdanie, zaadresował kopertę i wsunął do niej list. Był już najwyższy czas, żeby się położyć spać. Zaklejony list zostawił na stole i poszedł na górę do sypialni, gdzie Liza udawała, że już śpi. Zgasił za sobą światło i living-room pogrążył się w ciemności.

Marble poczekał parę minut. A potem, kiedy zgasło światło także w sypialni Matta, wskoczył na stół, złapał list w swoje ostre białe zębki i cicho zniknął w ciemnościach nocy.

6

—To dziwne — powiedział rano Matt. — Jane, czy brałaś stąd list, który wieczorem zostawiłem na stole?

—List? Nie, nie widziałam żadnego listu. Benedykcie, nie widziałeś listu, który Matt zostawił na stole w living-roomie?

— Nie było tu żadnego listu — odparł Benedykt. — O siódmej wstałem i zszedłem na dół, ale na stole hic nie było. Pamiętam, bo oparłem nogę na krzesło, żeby zawiązać sznurowadło.

— Dzieci, nie widziałyście listu, który wujek Matt zostawił wczoraj wieczorem na stole w living-roomie? — zapytała Jane.

—Nie — odpowiedział Timothy. — Co jest na śniadanie, ciociu Jane?

—Jajecznica i parówki. Lucy, czy ty nie...

—Nie — odparła ziewając Lucy. — Czy mogę dostać jajko sadzone?

—Innym razem, kochanie. Dzisiaj wszyscy dostają jajecznicę — oznajmiła Jane i zwracając się do Matta dodała: — Jesteś pewien, że właśnie tu go zostawiłeś?

—Nieważne — burknął Matt. — Chyba się domyślam, co się stało — dodał i szybko poszedł z powrotem do swego pokoju.

Liza była już ubrana i siedziała przed lustrem przyglądając się spiralce do malowania rzęs. Kiedy Matt wszedł, podniosła wzrok.

—Okay — odezwał się. — Gdzie on jest?

—Gdzie co jest? — zapytała zdumiona Liza.

—List, który napisałem do Nicoli wczoraj wieczorem.

—Mój drogi, czemu, u licha, miałabym zabierać list, który napisałeś do Nicoli?

—Ponieważ napisałem w nim parę niepochlebnych uwag na temat tego twojego pana Poole'a!

Liza nie bardzo wiedziała, czy ma się czuć zmieszana czy oburzona. W końcu gniew zwyciężył.

—Jak śmiesz opowiadać Nicoli o tym, co się zdarzyło między mną i Tristanem!?! — krzyknęła.

—A więc wzięłaś go — stwierdził Matt.

—Nie wzięłam!

—To skąd wiesz, że napisałem Nicoli, jak robisz z siebie pośmiewisko zadając się z tym człowiekiem?

—Powiedziałaś...

— Powiedziałem, że napisałem jej o Poole'u. Nie powiedziałem ci jednak, co napisałem.

—Ale myślałam...

—Gdzie on jest, Lizo?

— Nie wzięłam go, naprawdę! — zawołała Liza z rozpaczą.

—Wstałaś w nocy, zeszłaś na dół...

—Nigdzie nie ruszałam się z tego pokoju! — krzyknęła. — I w ogóle jak śmiesz opowiadać swojej córce o naszych osobistych kłopotach?

—Myślisz, że jest ktoś jeszcze, kto o nich nie wie? — zapytał z goryczą Matt i odwrócił się, żeby sprawdzić, czy drzwi są na pewno zamknięte, po czym spojrzał na Lizę. — Dobrze więc — powiedział. — Usiądźmy i przez chwilę zastanówmy się nad tym spokojnie. Wydaje mi się, że rzeczywiście przyszedł czas na bardzo poważną rozmowę.

W godzinę później potargana i z trudem łapiąca oddech Liza pojawiła się w Colwyn Court i oświadczyła, że koniecznie musi się widzieć z Tristanem Poole'em.

— Zaraz go sprowadzę — powiedziała Agnes, gdy w kuchni przekazano jej tę wiadomość. — Wprowadźcie panią Morrison do salonu.

Poole był u siebie. Podeszedł do drzwi, kiedy zapukała.

—O co chodzi? — zapytał.

—Przyszła Liza i chce się z tobą widzieć.

—Jakiś kłopot?

—Nie mam pojęcia, ja jej nie widziałam.

Poole bez słowa odwrócił się od drzwi. Zauważyła, że na nocnym stoliku leży otwarta jedna z jego książek, a w przylegającej do pokoju garderobie widać było czarne pudło z odrzuconą na bok pokrywką.

—Czy zaszły jakieś komplikacje, Tristanie?

—Morrison dość trudno poddaje się kontroli. To twardy gość. — Poole zamknął książkę i poszedł do garderoby, żeby schować ją w czarnym pudle. Kiedy wrócił, zapytał tylko: — Gdzie ona jest?

—W salonie na dole.

—Dobrze, już do niej idę. — Mijając w drzwiach Agnes, podał jej złożony kawałek papieru. — Przeczytaj to, a potem spal.

—Oczywiście — odparła i zaczęła czytać list Matta do Nicoli.

Była jeszcze w pokoju Poole'a, kiedy dziesięć minut później wrócił. Spojrzała na niego zdziwiona.

—Już poszła?

—Nie, jest, ale musiałem szybko się z tobą porozumieć. Słuchaj, Agnes, to małżeństwo rozlatuje się o wiele szybciej niż trzeba. Miałem nadzieję, że Matt Morrison okaże się mężem do szaleństwa zakochanym w swojej młodej żonie i że zapragnie obsypać ją wszystkimi bogactwami,

jakie posiada, ale jak wynika z tego listu, wcale tak nie jest. Dziś rano bardzo się pokłócili, kiedy on ją posądził o kradzież tego listu, i w końcu zaczęli wykrzykiwać coś o rozwodzie. Oczywiście trochę szkoda, że to przez ten list, jednak gdyby został wysłany, mogłoby być jeszcze gorzej, bo to małżeństwo i tak wisi na włosku. Gdyby kłótnia nie zaczęła się od listu, zaczęłaby się od czego innego. Musimy działać, i to szybko. Ona powiedziała, że Morrison wziął samochód i pojechał do Swansea, więc chyba doszło do ostatecznej rozgrywki, myślę jednak, że mamy jeszcze jakąś dobę, zanim podejmiemy bardziej zdecydowane kroki. A teraz jedź do miasteczka i zadzwoń do mnie do Colwyn Court z budki telefonicznej. Odbiorę telefon w salonie w obecności Lizy i powiem jej, że nagle zostałem wezwany do Swansea. W ten sposób się od niej uwolnimy. Kiedy wrócisz, dopilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Co mamy do złożenia w ofierze?

—W tej chwili mamy cztery czarne koguty i sześć zajęcy.

—Dobrze. Jednego koguta przynieś mi do pokoju. Po złożeniu ofiary oddam ci poplamiony krwią nóż, żebyś wycięła nim pręt leszczynowy na różdżkę, a ja przez ten czas wezmę kąpiel i przebiorę się w swoje szaty. Och, i proszę, poddaj mój pokój oczyszczeniu. Najlepiej zrób to od razu. Użyj soku z liści laurowych, kamfory, białej żywicy i siarki... i nie zapomnij o soli. Wiem, że wszyscy powinniśmy wystrzegać się soli, jednak sól oznacza czystość, a ja nie mogę ryzykować, że pokój nie zostanie oczyszczony. Ryzykujemy wystarczająco dużo wycinając pręt leszczynowy później niż o świcie i stosując tylko zwyczajne środki ostrożności, ale czas działa na naszą niekorzyść, więc nie mamy wyboru.

—Dobrze, Tristanie. A kiedy będziesz gotowy, czy mogę pomóc ci nakreślić koło? Czy chcesz, żebym ci asystowała?

—Jadłaś dzisiaj śniadanie? Twarz Agnes wydłużyła się.

—Przykro mi, Agnes, wolałbym kogoś oczyszczonego przez post. Kto nie jadł dziś śniadania?

—Jackie. Ale...

—W porządku. I tak potrzebuję również jasnowidzącej.

—Spróbuj z Sandrą — zaproponowała Agnes. — Jej moce są o wiele bardziej rozwinięte w tym kierunku, a na śniadanie pije najwyżej szklankę soku pomarańczowego.

—Nie, już czas, żeby Jackie zaczęła zarabiać na swoje utrzymanie. Poza tym przez parę godzin będzie miała się czym zająć, skoro jest tak znużona naszym wiejskim trybem życia. Aha, i jeszcze coś...

—Tak, Tristanie?

—Przywołaj kota.

Matt był człowiekiem przyzwyczajonym do kojarzenia faktów i podejmowania szybkich decyzji, jeżeli zachodziła taka konieczność. Od ponad trzydziestu lat w ten sposób prowadził interesy, więc i teraz — kiedy w życiu prywatnym został postawiony w trudnej sytuacji — zareagował tak samo. Ostatnia kłótnia z Lizą dostarczyła mu niezbitego dowodu, że

żona wcale go nie kocha, w skrytości ducha już od pewnego czasu pragnie rozwodu i waha się tylko ze względu na jego pieniądze i majątek.

W porządku, pomyślał z wściekłością, w porządku. Może to i jego wina, że w zaślepieniu swego niemłodego już wieku stracił głowę dla kogoś takiego jak Liza. Nie powinien się z nią żenić. Pobrali się jednak, ich związek okazał się fiaskiem i chciał jak najszybciej potwierdzić ten fakt przez zerwanie więzów małżeńskich. Starał się być uczciwy! Wolał przyjąć prawdę i nauczyć się z nią żyć. Teraz więc, kiedy przyjął do wiadomości fakt, że jego małżeństwo się kończy, myślał o tym na swój własny, praktyczny sposób, a więc również w kategoriach pieniędzy.

Kiedy dojechał do Swansea, udał się do jednego z tamtejszych hoteli, przez jakieś dziesięć minut pisał coś w recepcji, po czym odbył rozmowę międzymiastową.

W głowie kołatały mu się zasady wyuczone dawno temu, kiedy dopiero torował sobie drogę przez życie: „Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dzisiaj. Przez wahanie i niezdecydowanie tracisz czas i pieniądze. Wahanie i niezdecydowanie są oznakami słabości”.

Zanim zadzwonił, pomyślał: człowiek w moim wieku może w każdej chwili umrzeć na serce. Nie należy nic pozostawiać przypadkowi. Nic.

Rozmowa telefoniczna przeciągała się, ponieważ mężczyzna po drugiej stronie był niechętny i pełen wątpliwości, wreszcie jednak skończyła się i Matt mógł dopełnić wszelkich formalności, jakich wymagał cel, który przed sobą postawił. Musiał teraz rozważyć, co robić dalej. Po namyśle postanowił wracać do domu i zobaczyć, co zaszło podczas jego nieobecności. Gdyby Liza wyjechała, mógłby zostać dłużej, tak jak było zapla-

nowane; gdyby jednak została, musiałby przerwać urlop i wyjechać. Niepokoiło go, co będzie z bliźniakami. Wolałby, żeby Liza zostawiła je z Jane — przynajmniej na czas, gdy sama będzie spotykać się z prawnikami i porządkować swoje sprawy — ale nie wiedział, czy zechce tak zrobić.

Kiedy w drodze powrotnej znalazł się na półwyspie Gower, zwiększył szybkość. Ścinał zakręty na pustej szosie, nie zwracając uwagi na znaki ograniczające szybkość. Gdy zbliżał się do Colwyn, zaczął padać drobny deszcz. Otaczający go krajobraz wydawał się martwy — w oddali majaczyła szara plama morza, a po obu stronach drogi ciągnęły się kamienne murki znaczące granice pól. Kota zauważył, kiedy było już za późno. Zwierzę siedziało na środku drogi tuż za zakrętem, myjąc sobie łapki. Matt z głośnym przekleństwem nacisnął hamulce i skręcił kierownicę. Zanim stracił panowanie nad pojazdem, zobaczył jeszcze, że biały kot uskoczył bezpiecznie i w szyderczym grymasie wyszczerzył swoje ostre drobne ząbki.

ROZDZIAŁ 4

1

Evan tak bardzo wyczekiwał spotkania z Nicolą, że kiedy w końcu do niego doszło i byli wreszcie razem, poczuł rozczarowanie. Biegł do niej rozgorączkowany i pełen oczekiwania, ręka mu drżała, gdy naciskał dzwonek u drzwi, a kiedy mu otworzyła, nie wiedział nawet, co powiedzieć. Jeszcze teraz, pod koniec tego sobotniego wieczoru, nie rozumiał, co się właściwie stało. Dlaczego czuję się aż tak zawiedziony? — zapytywał ze zdumieniem sam siebie. Z pewnością nie z powodu wyglądu Nicoli, bo wyglądała uroczo. Jej włosy jak zawsze były ciemne i błyszczące, a szare oczy szeroko otwarte i równie piękne jak dawniej. Znikła tylko gdzieś spontaniczność, którą tak w niej lubił — wydawała się teraz poważniejsza, bardziej zamknięta w sobie, znacznie trudniej było z nią nawiązać kontakt. W końcu doszedł do wniosku, że to właśnie przeszkadza mu najbardziej.

— Może wstąpisz na drinka, zanim wyjdziemy? — zaproponowała uprzejmie, kiedy przyjechał po nią o wpół do siódmej, nie umiałby jednak powiedzieć, czy wolałaby, żeby to zaproszenie przyjął, czy raczej nie.

— Nie chciałbym przeszkadzać twojej współlokatorce...

—Dziś po południu pojechała do domu.

—Sam nie wiem...

—To może później...

Ale później już go nie zapraszała.

—Czy mogę wejść? — zapytał w końcu, kiedy po kolacji, podczas której prowadzili ciągnącą się w nieskończoność rozmowę o Afryce, tak-sówka zatrzymała się pod domem Nicoli i pomógł jej wysiąść.

—Tak, oczywiście — powiedziała bez większego zainteresowania i odwróciła się, kiedy odprawiał kierowcę.

Weszli do domu, przeszli przez hol i po schodach na półpiętro, nie mówiąc ani słowa. Evan zastanawiał się, dlaczego się wprosił. Po tak drętym wieczorze powinien uciekać najszybciej jak się da, ale jakiś uparty instynkt kazał mu przeciągać ten wieczór, dopóki mu się nie uda nawiązać z Nicolą jakiegoś bliższego, bardziej osobistego kontaktu. Czuł, że skoro przez tyle czasu w Afryce o niej myślał, to teraz byłoby zbyt upokarzające poddać się bez walki i zerwać z nią nie próbując nawet zrozumieć, co się właściwie stało.

— Kawy? — zapytała Nicola uprzejmym tonem, który Evan zdążył już znienawidzić.

— Proszę.

Kiedy poszła do kuchni, zaczął się kręcić po pokoju. Wzbierało w nim poczucie frustracji, aż w końcu uznał, że nie zniesie tego ani chwili dłużej.

— Nicki... — odezwał się, wchodząc do kuchni.

— Tak?

—Co się stało?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

—Nic. O co ci chodzi?

—Masz kogoś, prawda?

— Nie. — Postawiła czajnik na kuchence i zapaliła gaz. — Jest tylko kawa rozpuszczalna, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

— Wolałabyś, żebym sobie poszedł? Potrząsnęła gwałtownie głową i zaczęła wyciągać z szafki filiżanki i spodeczki.

— Kto to jest?

Nie było odpowiedzi. Do frustracji Evana dołączył się teraz gniew.

—Dlaczego nie kazałaś mi iść do diabła, jeśli nie chciałaś mnie widzieć? Po co mi robiłaś nadzieję? — zapytał.

—Chciałam cię zobaczyć. Przykro mi, że ten wieczór się nie udał. — Odwrócona do niego tyłem, nerwowo wsypywała kawę do filiżanki.

—Och, na litość boską! — Evan starał się opanować wściekłość. — Skończmy z tą grą, dobrze? Dlaczego od razu nie powiemy sobie prawdy? Masz już kogoś innego, ale spotkałaś się ze mną ze względu na dawne czasy, a ja się tylko wygłupiłem. Tak się sprawy mają, prawda?

Nie było odpowiedzi.

— Sypiasz z nim?

Nicola zesztyniała i podniosła dumnie głowę.

—Z nikim nie sypiam — odparła.

—Ale jest ktoś inny?

—Nie.

—No to dlaczego...

Odwróciła się do niego, cała jej duma znikła, oczy były pełne łez.

—Nie mam nikogo innego, nikogo, nikogo, nikogo! — krzyknęła. — A teraz idź i zostaw mnie w spokoju!

—Nicki... — Kiedy ją objął, nie próbowała go odepchnąć. Zaczął ją całować. Woda w czajniku wrzała i kipiała, ale żadne z nich tego nie zauważyło. Nagle wszystko było znowu jak dawniej. Tuż przy sobie czuł jej ciało, ciepłe i bliskie.

—Och, jak strasznie za tobą tęskniłam! Jak bardzo pragnęłam, żebyś tu był... — usłyszał, gdy na chwilę przestał ją całować. Docierało do niego mgliście, że z czajnika leci para, raziło go ostre światło lampy, ale stracił zupełnie poczucie miejsca i czasu. Cały świat ograniczał się teraz do błyszczących ciemnych włosów i jedwabiście gładkiej skóry Nicoli i jego własnej dominującej tęsknoty.

—Chodź... — Mocno objął ją w talii, jednocześnie szukając drzwi.

—Evan...

Mimo protestów Nicoli wziął ją na ręce. Tak łatwo było ją przenieść z kuchni pod znajome, ale teraz zamknięte drzwi sypialni.

—Otwórz — powiedział, nadal trzymając ją w ramionach i spodziewając się, że wyciągnie rękę, żeby to zrobić, Nicola jednak nawet nie drgnęła. — Proszę cię, otwórz.

—Evan, ja...

Postawił ją i pchnął gwałtownie drzwi, po czym odwrócił się, żeby pociągnąć Nicole za sobą do sypialni, ale ona odsunęła się od niego.

—Nicki — wyszeptał. — Nicki...

Stała w milczeniu patrząc na niego. W końcu powiedziała:

—Na pewno myślisz, że jestem strasznie głupia.

—Słuchaj, ja cię kocham. Szaleję za tobą. Ja...

—To samo mówiłeś piętnaście miesięcy temu. Dokładnie tymi samymi słowami.

—Teraz wszystko jest inaczej...

—Niech sobie będzie, ale ja mam tego dość.

—Posłuchaj, ja...

—Nie! Teraz dla odmiany ty mnie posłuchaj! — zawołała, stając się nagle tak spontaniczna i szczerą jak dawniej. — Przez całe trzy lata, odkąd mój ojciec ponownie się ożenił i odkąd przez Lizę i Jane poznałam ciebie i twoją rodzinę, snułam się za tobą jak jakaś nastolatka za swoim idolem. Po półtora roku wreszcie zauważyłeś, że istnieję, zstąpiłeś ze swoich wyżyn i raczyłeś mnie dostrzec. Straciłam wtedy głowę i zaczęłam zachowywać się jak zwariowana podfruwajka bez krzty zdrowego rozsądku! No a potem wyjechałeś. Dobrze mi tak. Na nic więcej nie zasługiwałam. Miałam cały rok, żeby dojść do siebie. Znakomicie! Właśnie tego potrzebowałam! A ty... co ty sobie właściwie wyobrażałeś? Ze wrócisz z Afryki, spojrzysz na mnie z góry i zaczniesz wszystko od nowa, dokładnie w tym samym miejscu, w którym skończyłeś? Jak śmiesz w ogóle tak myśleć! Gdybyś wiedział, ile wycierpiałam przez te miesiące, kiedy ty hartowałeś swego szlachetnego ducha w dzikich ostępach Afryki...

—Przepraszam. Wcale nie chciałem, żeby to tak wyglądało.

—Ale wyglądało!

—Nicki, przecież...

Ona jednak wycofała się już do kuchni. Poszedł za nią.

—Nie oczekuj teraz ode mnie, że zrobię to, czego byś chciał — powiedziała. — Boję się, że mnie znowu zranisz.

—Nicki, przyrzekam ci...

—Tak? Ciekawe, co przyrzekasz? — zapytała zdejmując czajnik z ognia.

Evanowi jednak moment nie wydawał się odpowiedni na oświadczyzny, a poza tym nie wiedział, czy w ogóle powinien się oświadczać, zanim się jakoś nie urządzi w Anglii, nie uporządkuje swoich spraw rodzinnych i zanim nie zdecyduje, co robić dalej.

—No więc dobrze — powiedział w końcu, odwracając się w stronę drzwi. — Jeśli tak sobie życzysz...

—Evan...

—Tak? — odwrócił się szybko, choć wiedział, że zdradza w ten sposób, jak bardzo mu zależy na tym, żeby zmieniła zdanie.

—Nie wypijesz kawy?

—Ach... nie, może innym razem. — Niecierpliwie przeczesał dłonią włosy. — Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu z Walii, kiedy się już trochę urządzę. Może byś wtedy przyjechała do Colwyn na dłuższy weekend?

—Dobrze, będę czekać na twój telefon — odparła. Podeszła do niego, gdy otwierał drzwi. — Dzięki za kolację. Wybacz, ale to nie dlatego, że mi nie zależy...

—Wiem — powiedział i zapragnął jej znowu gwałtownie, odważył się jednak tylko na leciutki pocałunek. — Trzymaj się. Miło było cię widzieć. Cześć — wymamrotał i już za chwilę zbiegał po schodach, przeskakując po dwa na raz, a potem popędził ulicą, jakby chciał przez ten wybuch energii rozładować nagromadzone w nim uczucia.

Pociąg do Swansea odchodził następnego dnia po południu. Evan, wciąż jeszcze rozgorączkowany, ranek spędził spacerując po parku i chłonąc na nowo widoki i odgłosy Londynu. Kiedy wrócił do swojego pokoju w hotelu, nagle zadzwonił telefon.

Jedyną osobą, która wiedziała, że jest w Anglii, była Nicola.

—Halo? — złapał słuchawkę tak szybko, że omal jej nie upuścił.

—Evan... — z trudem rozpoznał jej głos, był przytłumiony, dochodził jakby z daleka.

—Nicki? — zapytał niepewnie.

—Och, Evan, ja... — usłyszał, że płacze.

—Co się stało? O co chodzi? — zapytał.

—Właśnie miałam wiadomość z Walii. Dzwoniła Jane... Mój ojciec miał wypadek samochodowy... Och, Evan, on nie żyje, nie mogę w to uwierzyć... to stało się na pustej szosie, nie było żadnego innego samochodu, uderzył w jeden z tych kamiennych murków i zginął na miejscu...

— Już do ciebie jadę — powiedział Evan, prawie zachłystując się swoimi słowami, tak bardzo pragnął być przy niej. — Będę u ciebie najszybciej jak się da.

„Przemysłowiec milioner zginął w katastrofie samochodowej" — głosiły poniedziałkowe wydania popularnych gazet. „Dochodzenie przeprowadzone w tej sprawie wskazuje na śmierć przez przypadek. Koroner ostrzega przed zbyt szybką jazdą" — pisały gazety czwartkowe.

Żadna z nich nie wspominała jednak, gdzie i kiedy ma się odbyć pogrzeb, a to z tej prostej przyczyny, że nikt tego nie wiedział. Sekretarki i współpracownicy Matta porozumieli się z Nicolą, która w niedzielę wieczorem razem z Evanem przyjechała do Colwyn Court, i pomiędzy kolejnymi oświadczeniami dla prasy ustalili z nią, że odbędzie się tylko cichy pogrzeb w miasteczku, w którym Matt mieszkał od czasu swego powtórnego małżeństwa, w Surrey. Współpracownicy Matta usiłowali ustalić szczegóły dotyczące pogrzebu z Liza, ale była tak roztrzęsiona, że poradziła im tylko, żeby zamiast z nią rozmawiali z Nicolą.

— Biedna Liza, jest zupełnie załamana. Tak mi jej żal — powiedział do Agnes Miller zatroskany Walter.

—Biedaczka, co to za straszna tragedia — odparła Agnes ze współczuciem.

—To tylko wskazuje, jak bardzo mylili się ci wszyscy, którzy złośliwie twierdzili, że Liza wyszła za Matta dla pieniędzy. Ona go naprawdę kochała — oświadczyła Gwyneth.

Gdybym tylko kochała go chociaż trochę bardziej... — myślała Liza dręczona poczuciem winy. — Gdybym mogła odczuwać teraz smutek zamiast tej strasznej, skrywanej ulgi, że już jest po wszystkim i że udało mi się uniknąć tych wszystkich brudów związanych z rozwodem. Gdybym chociaż mogła zwierzyć się komuś z tego, co naprawdę czuję. Gdyby tylko...

Jednak Tristana Poole'a wezwano na tydzień do Londynu w jakichś tam jego tajemniczych sprawach.

Przez pierwsze dwa dni po śmierci Matta nie miała odwagi go szukać, ale w dniu przesłuchania rozmawiała z Agnes Miller i ta powiedziała jej, że Poole'a nie ma w Colwyn. Chciała ją zapytać o numer telefonu, pod którym byłby uchwytany, jednak się nie odważyła. Nie śmiała nawet zapytać, kiedy ma wrócić, ale Agnes sama jej powiedziała, że oczekują go jeszcze w tym tygodniu. Bardzo się starała o nim nie myśleć, ale im bardziej pragnęła się komuś zwierzyć, tym bardziej za nim tęskniła. Wreszcie, nie będąc już dłużej w stanie znieść w samotności swego poczucia winy, zwróciła się do siostry.

—Czuję się tak okropnie — powiedziała do niej wieczorem w dzień po przesłuchaniu. Były obie w kuchni; Jane przygotowywała właśnie obiad i Liza nie była pewna, czy siostra jej słucha, jednak potrzeba zwierzenia się

komuś była tak silna, że nie zwracała uwagi na roztargnienie Jane. — Gdyby chociaż Matt nie kłócił się ze mną tak okropnie przed swoją śmiercią...

— Rozumiem cię, to musi być okropne, kochanie — odparła Jane. — Ale przecież wszyscy wiemy, jak bardzo się kochaliście, chociaż ostatnio mieliście trudny okres. Nie myśl, że tego nie rozumiemy.

— Ale ja go nie kochałam! Cieszę się, że nie żyje!

— wykrzyknęła zajadle Liza.

— Lizo, kochanie, jesteś w szoku... nie wiesz sama, co mówisz...

To było beznadziejne, więc Liza dała sobie spokój. Następnego dnia rano, we czwartek, wyjechali do Surrey na pogrzeb, który miał się odbyć w piątek po południu.

Rozbity rolls-royce Matta znajdował się w jednym z dużych warsztatów w Swansea. Lizę i Waltera zabrał tam Benedykt swoim austinem, a za nim jechał Evan z Nicolą i Jane z dziećmi bentleyem Waltera, dużo pojemniejszym. Pięć dni spędzonych w Colwyn Court było w świadomości Nicoli jakby za mgłą, wszystko jej się mieszało, zaledwie docierała do niej serdeczność Waltera, opiekuńczość Jane i usłużność Evana. Prawie nie zauważyła istnienia towarzystwa. Evan wspominał jej raz czy dwa, że chce porozmawiać w cztery oczy z ojcem, kiedy tylko sprawy domowe znów zaczną toczyć się zwykłym trybem, ale nie bardzo rozumiała, co miał na myśli. Z Lizą prawie nie rozmawiała. Kiedy się zobaczyły, Liza wybuchnęła płaczem, a potem już Nicola starała się jej unikać bojąc się, że tak głośno okazywana żałoba może jej się udzielić i sama się załamać.

— Powinnaś się wyplakać, to przecież naturalne — mówił Evan. — Chociaż zdaję sobie sprawę, że ludzie w różny sposób przeżywają żalobę — dodał szybko, przypominając sobie, co przeczytał kiedyś w jakiejś książce psychologicznej. Jeśli Nicola z jakiejś przyczyny nie mogła płakać, to przynajmniej nie powinna mieć z tego powodu poczucia winy.

—Płakałam — odparła Nicola. — Ale nie chcę, tak jak Liza, wyplakiwać się na ramieniu każdego, kto się tylko nawinie.

—Liza nie może dać sobie rady sama ze sobą.

—Nie może dać sobie rady ze swoją obłudą. Wyszła za tatę tylko dla pieniędzy.

—Nie wydaje mi się, żeby Liza była aż taka zła — mruknął Evan.

—Wszyscy mężczyźni tak mówią — powiedziała Nicola, odwróciła się i wyszła.

Evan poczuł się rozgoryczony, przywołał jednak całą swoją cierpliwość, żeby stłumić to uczucie. Wytłumaczył sobie, że nie ma sensu oczekiwać od niej normalnych reakcji, dopóki nie minie wywołany śmiercią ojca szok. Usiłując o niej nie myśleć, zwrócił swoją uwagę ku innym. Jane i Benedykt byli wstrząśnięci, ale spokojni, Liza pogrążona we łzach, a bliźniaki smutne i apatyczne.

—Wszyscy ludzie umierają, jak się zestarzeją — zauważyła Lucy. — Najgorsze, że to był wypadek.

—Tak, najgorsze to ten wypadek — zawtórował jej Timothy.

—Biedny wujek Matt — westchnęła Lucy.

—To źle też dla mamy — stwierdził Timothy. — Ale właściwie trochę i dobrze.

—A to dlaczego? — zapytał Evan.

—Dlatego... po prostu dlatego...

—Jest teraz wolna — wyjaśniła Lucy.

—Tak, może kiedyś znowu wyjść za mąż.

Evan zauważył, że bliźniaki wymieniają znaczące spojrzenia.

—I wszystko dobrze się skończy, prawda, Timmy? — rzuciła Lucy tajemniczo.

—Oczywiście — odparł Timothy.

Evan zastanawiał się, o co tu chodzi, nie zadał sobie jednak trudu, żeby zbadać, dlaczego bliźniaki myślą już o następnym małżeństwie swojej matki. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby się okazało, że Liza ma kochanka. Po rozmowie z nią nabrał podejrzeń, że chociaż jej cierpienie wydawało się szczere, to przyczyny tego cierpienia są dużo bardziej skomplikowane, niż ktokolwiek mógł sądzić.

Ale Liza nie wiedziała, że ze wszystkich ludzi w Colwyn Court Evan był najbliższy tego, żeby ją zrozumieć. Prawie z nim nie rozmawiała, a w dniu powrotu do Surrey była tak zdenerwowana przygotowaniami do pogrzebu, że zapomniała nawet o poczuciu winy wobec Matta. Kiedy wreszcie wszyscy goście zostali ulokowani w pokojach i miała właśnie wcześniej się położyć, pokojówka poprosiła ją do telefonu.

—Nie chcę rozmawiać z żadnymi dziennikarzami — warknęła Liza.

—Powiedział, że nie jest dziennikarzem, proszę pani, specjalnie zapytałam, żeby się upewnić — odparła pokojówka. — Powiedział, że jest przewodniczącym jakiegoś towarzystwa...

—Porozmawiam z nim — oświadczyła Liza i natychmiast pobiegła na górę, do swojego pokoju.

Słuchawka ślizgała jej się w wilgotnej dłoni, a serce waliło w piersi.

—Halo? Tristan? — zapytała cichym głosem.

—Jak się masz?

—Och... — zamilkła, żeby złapać oddech. Przychodziły jej do głowy rozmaite zdawkowe zwroty, ale nie mogła się zdecydować, który wybrać.

—Przyjmij wyrazy współczucia z powodu wypadku. Chciała powiedzieć „dziękuję”, on jednak odezwał się ponownie, zanim zdążyła to zrobić.

—Czy z tobą wszystko w porządku? — zapytał.

— Nie — odparła pośpiesznie. — Czuję się okropnie. Muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię. To bardzo pilne.

—Kiedy pogrzeb?

—Jutro po południu. O trzeciej.

—W Wickerfield?

— Tak. To będzie cichy pogrzeb. Tylko rodzina i jeden czy dwóch najbliższych przyjaciół Matta.

—W porządku, skontaktuję się z tobą po pogrzebie.

—Kiedy? Gdzie? — spytała Liza. — Czy jest jakiś numer, pod który mogę...

—Będę z tobą w kontakcie. Dobranoc, Lizo — powiedział cicho głosem, który sprawił, że odczuła ulgę i przymknęła oczy.

Zanim jednak zdążyła coś jeszcze dodać, usłyszała, jak się wyłącza.

Kiedy ceremonia zbliżała się ku końcowi, podniosła wzrok i wtedy go zobaczyła. Żałobnicy byli zebrani wokół otwartego grobu, a duchowny odczytywał właśnie ostatnią część nabożeństwa. Niebo zasnuły ciemne chmury. Poole stał przy bramie i przez moment Lizie wydawało się, że chce wejść na teren cmentarza, żeby się do niej przyłączyć, ale nie zrobił tego. Ubrany w czarny garnitur, stał przyglądając im się w milczeniu ze swego miejsca, już poza obrębem poświęconej ziemi.

Gdy tylko nabożeństwo dobiegło końca i duchowny zamknął modlitewnik, Liza odwróciła się i nie zauważając, że Benedykt podaje jej ramię, szybko podeszła do bramy cmentarza.

—Kto to jest? — zapytał Evan Benedykta.

—Bóg raczy wiedzieć — odparł profesor. — Nigdy w życiu go nie widziałem — mruknął przecierając okulary, by lepiej widzieć.

Błysnęło gdzieś nad wzgórzami. W oddali groźnie przetoczył się grzmot.

—To jest właśnie pan Poole — szepnęła Jane łapiąc męża za rękaw.

—Wygląda na to, że będzie padać — powiedział pastor do Nicoli. — Dobrze, że zdążyliśmy z nabożeństwem.

—Tak — odparła. Czuła się odrętwiała i zagubiona. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

—Nicola, może mógłbym pójść z tobą na parę minut do domu — usłyszała za sobą znajomy głos. — Powinienem z tobą o czymś porozmawiać.

Odwróciła się. Był to jeden ze starych przyjaciół jej ojca, jego doradca prawny adwokat Peter Marshall, starszy partner w spółce Marshall i Tate.

—Och tak, oczywiście. — Nicola spróbowała wziąć się w garść. Dopiero teraz zauważyła że Liza poszła naprzód i rozmawiała przy bramie cmentarza z jakimś nieznanym mężczyzną.

—Dobrze się czujesz, Nicki? — zapytał Evan. Skinęła głową, nie będąc w stanie nic powiedzieć,

nagle przerażona, że może się załamać, ale na szczęście uratował ją Walter, odwracając uwagę Evana w innym kierunku.

— Ewanie, pozwól, że przedstawię cię panu Poole'owi! — zawołał.

Evan niechętnie podszedł do stojącego w cieniu bramy nieznanego.

Był to mężczyzna mniej więcej w jego wieku, wyglądający na dobrego tenisistę, o szczupłej, choć jednocześnie silnej sylwetce. Trochę za gładki, pomyślał Evan, który zawsze w skrytości ducha uważał tenis za grę dla kobiet, i w tym momencie uświadomił sobie, że to jest właśnie człowiek, który wraz z dwunastoma kobietami wmeldował się do Colwyn Court. Poczul przyływ gwałtownej niechęci.

—Witam pana — rzekł Poole uprzejmie.

—Dzień dobry — odpowiedział krótko Evan i zamilkł.

—A to Nicola Morrison. — Walter czuł, że musi natychmiast zapobiec jakiegokolwiek dalszej rozmowie swojego syna z Poole'em. — Nicola, oto pan Tristan Poole, przewodniczący Towarzystwa Propagowania Pokarmów Naturalnych.

—Dzień dobry, panno Morrison — powitał ją Poole.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

—Dziękuję... — Zaledwie docierała do niej jego obecność, zauważyła tylko, że jest niższy i szczuplejszy od Evana i ma ciemnoblond włosy.

—...mój kuzyn, Benedykt Shaw. Wydaje mi się, że panowie jeszcze nie zdążyli się poznać — mówił Walter.

—Nie, jeszcze nie. Dzień dobry, panie profesorze

— powiedział Poole. — Dwa razy rozmawiałem z pańską żoną, ale pan był zawsze nieuchwytny.

—Szkoda, że przyszło nam się spotkać przy tak smutnej okazji — wymamrotał Benedykt, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego Jane uznała tego faceta za tak groźnego. Sprawiał wrażenie raczej sympatycznego młodego człowieka, przypominał mu nawet jednego z młodszych wykładowców w Cambridge.

—Dzień dobry, pani Shaw. Widzę, że nie ma bliźniaków. — Poole uśmiechnął się do Jane.

—Uważaliśmy, że byłoby to dla nich zbyt przykre — wyjaśniła z zakłopotaniem Jane.

— Nie lubię zabierania dzieci na pogrzeby — dodała Liza. — Chodźmy, Tristanie.

Wszyscy popatrzyli na nią zaskoczeni.

— Dokąd? — zapytał ostro Benedykt i jeszcze raz spojrzął na Poole'a.

—Zaproponowałem Lizie, że podrzucę ją do domu swoim samochodem. Mam nadzieję, że nie zakłóci to żadnych państwa planów — powiedział Poole. — No więc, Lizo, skoro chcesz już wracać do domu, to mój samochód stoi tam pod dębem.

—O Boże —jęknęła Jane wśród ciszy, która zaległa po tych słowach.

—Jestem pewien, że pan Poole chciał jak najlepiej — oświadczył Walter.

Więc tu jest pies pogrzebany, pomyślał Evan, a głośno zapytał:

—Od jak dawna ona go zna?

— Co za różnica? — mruknęła Nicola. — Bierzmy z nich przykład i wracajmy do domu, zanim zacznie padać. — Odwróciła się w stronę stojących samochodów.

Gdzieś w oddali znowu zadudnił grzmot. Z ciemniejącego nieba spadły pierwsze ciężkie krople deszczu.

—Nicola ma rację. Wracajmy — powiedział Evan. W drodze powrotnej do Wickerfield Manor mało kto

się odzywał. Kiedy przyjechali do domu Matta, Nicola miała zamiar zaszyć się bezpiecznie w swoim pokoju, przypomniała sobie jednak, że pewnie lada chwila pojawi się adwokat ojca.

—Kiedy przyjedzie pan Marshall, proszę wprowadzić go do gabinetu ojca — poleciła pokojówce. — Będę tam na niego czekała.

—Czy mogę ci w czymś pomóc? — zapytał Evan, który wyrósł obok niej jak spod ziemi.

—Co? Ach nie, dziękuję... wszystko w porządku. Zaraz tu będzie adwokat ojca, chce się ze mną widzieć.

Przypuszczam, że chodzi o testament czy coś równie okropnego.

Tak też było. Peter Marshall przyjechał w chwilę potem i uznał, że należałoby wezwać również Lizę.

— To nie potrwa długo — oświadczył. — Sądzę, że o kilku sprawach muszę porozmawiać z wami obydwoma.

— Oczywiście — odparła machinalnie Nicola i poszła szukać Lizy.

Po paru minutach bezskutecznych poszukiwań, niewiele robiąc sobie z deszczu, który rozpadał się na dobre, pobiegła przez trawnik do letniego domku. Tam ich znalazła. Musieli widzieć, jak biegła, bo żadne z nich nie wydawało się zaskoczone na jej widok. Liza spojrzała na nią nieprzyjaźnie, ale Nicola to zignorowała.

— Przepraszam, Lizo, czy mogę ci na chwilę przeszkodzić? Jest tu Peter Marshall i chce z nami porozmawiać. Wybacz pan, panie Poole.

— Naturalnie — powiedział mężczyzna. — Może jednak pobiegnę do domu i przyniosę wam parasol? Wygląda na to, że coraz bardziej pada.

— Niech się pan nie fatyguje. To przecież tylko chwilka, trzeba jedynie przebiec przez trawnik. Ale bardzo panu dziękuję.

Błysnęło nagle. Liza aż podskoczyła, zatykając uszy, gdy po niebie przetaczał się grzmot.

— Okropnie boję się burzy! — jęknęła.

— Odprowadzę was do domu — oznajmił Poole. Zdjął marynarkę i okrył nią Lizę. — Teraz tak bardzo nie zmokniesz.

Posłała mu pełen wdzięczności uśmiech.

Nicola uświadomiła sobie, że chyba rzeczywiście musi ich coś łączyć. Czyżby Liza mogła... w dniu pogrzebu swego męża... Nie, na pewno nawet Liza nie miałaby odwagi zrobić czegoś takiego!

— Zostanie pan tutaj, panie Poole? — zapytała ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

— Nie, wieczorem wracam do Londynu — odparł. Przynajmniej on ma trochę przyzwoitości, pomyślała

Nicola. Była tak zła, że wołała na wszelki wypadek nic już nie mówić. Kiedy wyszła z domu i w strumieniach deszczu ruszyła biegiem przez trawnik w stronę oszklonych drzwi salonu, niebo znowu rozjaśniła błyskawica. W chwilę później dogoniło ją tamtych dwoje. W milczeniu poprowadziła ich do gabinetu Matta, gdzie czekał pan Marshall.

Wyglądało na to, że prawnik nie bardzo wie, od czego zacząć. Najpierw powiedział, jak głęboko wstrząsnęła nim ta tragedia i jak bardzo współczuje im obu — Lizie i Nicoli. Potem stwierdził, że od dawna uważał Matta za jednego ze swych najbliższych przyjaciół i że przypadł mu teraz smutny obowiązek wykonania jego testamentu. Przyznał, że wyjawienie im, co testament zawiera, jest dla niego trudnym i bolesnym zadaniem.

—Proszę cię, Peter, przestań myśleć o tym, że nas zmartwisz — powiedziała Nicola, którą zaczęło ogarniać poczucie bezsilności. Zdawała sobie sprawę, że Liza jest o krok od kolejnego ataku płaczu. — Nie możemy być już bardziej zmartwione niż jesteśmy. A poza tym, jeśli o mnie chodzi, to wcale nie interesuje mnie aż tak bardzo, co ten testament zawiera. Przypuszczam, że i tak większa część pieniędzy pójdzie na podatki.

—To prawda — odparł prawnik, któremu spokojne słowa Nicoli przyniosły cichą ulgę. — Jednak Matt poczynił kroki umożliwiające w pewnym stopniu uniknięcie podatku spadkowego. Osiem lat temu dużą część swego majątku zapisał tobie, Nicola, i cieszę się, mogąc ci teraz powiedzieć, że jesteś posiadaczką około pół miliona funtów, nie podlegającego podatkowi spadkowemu.

—O Boże, aż tyle? — zdziwiła się Nicola.

Pół miliona funtów na rękę, pomyślała Liza. Musiała złapać się poręczy krzesła, żeby się jakoś opanować.

—Tylko nie mów mi, Peter, że moja część majątku pójdzie na cele społeczne — powiedziała głośno, śmiejąc się nieszczerze. — Prawdopodobnie jednak tak będzie, skoro byliśmy małżeństwem od niedawna i pewnie jeśli o mnie chodzi, Matt nie mógł zabezpieczyć majątku przed podatkiem spadkowym.

—To prawda — przyznał znowu prawnik i otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale nic nie powiedział.

—Ile Matt zostawił? — zapytała Liza. — Przypuszczam, że nie można w to wliczać pieniędzy zapisanych wcześniej Nicoli, bo formalnie ta suma nie należy do ogólnego majątku.

—Oczywiście — zgodził się pan Marshall i odchrząknął. — Dokładna wielkość majątku nie jest w tej chwili znana, ale wydaje mi się, że ma on wartość co najmniej trzech milionów funtów...

To znaczy dwadzieścia procent z tych trzech milionów dla mnie, pomyślała Liza. Sześćset tysięcy funtów. A jeśli podatek spadkowy jest wyższy niż osiemdziesiąt procent? Ale i tak dostanę co najmniej trzysta tysięcy albo więcej... Może pół miliona funtów?

—Początkowo pieniądze te przeznaczone były dla ciebie, Lizo, jako że Nicola była już wcześniej dobrze zabezpieczona — podjął pan Marshall ponownie odchrząkując. — Były też oczywiście pewne dodatkowe zapisy: po tysiącu funtów dla każdego z twoich dzieci...

—To bardzo szczodre z jego strony — powiedziała Liza. — Bliźniaki bardzo go lubiły — dodała.

—...i rozmaite inne zapisy — mówił dalej pan Marshall. — Jednakże... — wziął głęboki oddech — ...tuż przed śmiercią Matt zrobił... no cóż, zrobił coś bardzo dziwnego. Próbowałem mu to wyperswadować, próbowałem go namówić, żeby się trochę z tym wstrzymał...

—Co chcesz przez to powiedzieć? Co takiego zrobił? — zaniepokoiła się Liza.

—Wniósł poprawkę do testamentu. Rano w dniu, w którym zginął, telefonował jeszcze do mnie, żeby się upewnić, że wszystko zapisane zostało tak, jak trzeba. W poprawce tej mówi, że...

—To oczywiście nie ma mocy prawnej — przerwała mu Liza.

—No cóż, obawiam się jednak, że ma, Lizo — stwierdził pan Marshall i mocno się zaczerwienił. — Matt napisał, że wszędzie, gdzie w testamencie pojawia się twoje imię, ma ono być zastąpione słowami: „Narodowe Stowarzyszenie Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Dzieci”.

Zapadła cisza. Liza była zielonkawobiała.

—Znajdziesz pewnie sędziego, który w tej sprawie okaże ci co najmniej zrozumienie. Oczywiście z punktu widzenia prawa celem testamentu jest spełnienie wszystkich życzeń testatora, zgodnie z tym, co zostało zapisane, ale... no cóż, żona ma zwykle prawo do czegoś... Na twoim miejscu...

—Podważę ten testament — oświadczyła Liza.

—Jeśli chcesz to zrobić, skorzystaj z porady prawnika. Ja oczywiście nie mogę występować w twoim imieniu, ale mogę ci polecić mojego przyjaciela, znakomitego adwokata...

—Dziękuję ci. Zostaw mi, proszę, jego nazwisko i adres, skontaktuję się z nim w poniedziałek. A teraz przepraszam. — Liza wstała z krzesła, potykając się przeszła przez pokój, szarpnęła drzwi i zanosząc się od płaczu pobiegła korytarzem w poszukiwaniu Tristana Poole'a.

Kiedy wieczorem Poole wrócił do swojego skromnego londyńskiego hotelu, natychmiast zamówił rozmowę z Colwyn Court.

Telefon przyjęła siostra Agnes, Harriet Miller.

—Zawołaj Agnes — powiedział krótko Poole.

—Tak, Tristanie — w głosie Harriet zabrzmiał przestraszony. Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszał głos Agnes:

— Co się stało? — zapytała.

—Agnes, jak do cholery mogłaś dopuścić do tego, żebym użył do pomocy Jackie, a nie Sandry?

—Wydawało mi się, że Jackie tak dobrze daje sobie radę! Powiedziała ci przecież dokładnie, kiedy Morrison wyjeżdża ze Swansea i kiedy do-

jeżdża do Colwyn, byłam więc przekonana, że zapewniła ci pełną obsługę! Wiem przecież, że demon, którego wezwałeś do kręgu, żeby wziął w posiadanie kota, był posłuszny twoim zaklęciom. Ale demon musi mieć przewodnika, a jeśli przepowiednia Jackie była niedokładna... — nagle przerwała uświadomiwszy sobie, że w słuchawce panuje cisza.

—Czy już skończyłaś? — zapytał Poole.

—Tak, Tristanie, przepraszam. W czym Jackie się pomyliła?

—Zapytałam ją, co Morrison robi w Swansea, i powiedziała, że rozmawia z przyjacielem.

—A nie rozmawiał?

—Owszem, rozmawiał! Rozmawiał ze swoim cholernym prawnikiem! Sandra by mi to powiedziała! Ale z relacji Jackie odniosłem wrażenie, że Morrison jest na jakimś garden-party i gawędzi sobie o tym, jakie ryby ostatnio złowił! Możesz powiedzieć Jackie, że jeżeli chce osiągnąć jakąś wiarygodność w tej dziedzinie, musi nauczyć koncentrować się na tym, co robi, zamiast błędzić myślami gdzieś w gwiazdach!

—Tak mi przykro — odparła nerwowo Agnes. — Masz rację, nie powinnam dopuścić do tego, żebyś wziął właśnie ją. Muszę przyznać, że miałam wątpliwości, ale...

—W porządku, Agnes. To przede wszystkim moja wina. Powinienem był wziąć pod uwagę jej ograniczenia.

—Ale co takiego Morrison powiedział swojemu prawnikowi? Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

—Wniósł poprawkę do testamentu.

—Nie!

—Nie muszę ci chyba mówić, na czym polegała ta poprawka.

—Biedna Liza została bez grosza... — Agnes poczuła, że robi jej się słabo.

—Może nie zostanie tak całkiem bez grosza, ale kiedy rząd zabierze osiemdziesiąt procent podatku i kiedy zapłaci prawnikom, to będzie miała tyle, co kot napłakał. Morrison zapisał wszystkie swoje pieniądze, a raczej to, co z nich zostanie po odjęciu podatków, Narodowemu Stowarzyszeniu Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Dzieci. Jeśli Lizie dopisze szczęście, może jakiś litościwy sędzia przyzna jej z tego działkę, żeby mogła żyć jako tako przez parę lat, i to wszystko. Zapomnijmy o niej jako o bogatej wdowie. Jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia.

—O Boże, za całą naszą ciężką pracę! — wykrzyknęła Agnes niemal ze łzami.

—Głowa do góry, Agnes — powiedział Poole i chociaż go nie widziała, była pewna, że się uśmiecha. — Może jednak nie jesteśmy tak całkiem w punkcie wyjścia. Powiedzmy, kawałek dalej.

Agnes poczuła, że wraca jej otucha.

—Masz jakiś plan? — zapytała podniecona.

—Tak, myślę, że można by tak to ująć — rzekł lekko Poole. — Ale póki co, traktujmy to raczej jako interesującą możliwość.

ROZDZIAŁ 5

1

Kiedy Nicola obudziła się nazajutrz rano, niebo było czyste po burzy, a powietrze rześkie. Wstała późno. Jej wyczerpanie dało wreszcie o sobie znać i kiedy zeszła na dół na śniadanie, była dziesiąta. W jadalni nie zastała już nikogo. Piła właśnie drugą filiżankę kawy i starała się zmusić do zjedzenia grzanki, gdy wszedł Evan.

—Cześć, jak się dziś czujesz? — zapytał i pochylił się, żeby ją pocałować.

—Chyba lepiej, dziękuję — odparła. — Wczoraj myślałam, że mi głowa pęknie, ale jakoś przeszło.

—Powietrze jest czystsze po burzy. — Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. — Jakie masz plany?

—Nie wiem, czy w ogóle jakieś mam. Pewnie dziś po południu wrócę do Londynu, do normalnych zajęć. Nie chcę tu dłużej siedzieć, bo jestem przekonana, że skończyłoby się na awanturze z Lizą. Wiesz oczywiście o tym, co było wczoraj?

—Wszystkie wiadomości Liza nadaje jak radiostacja dalekiego zasięgu.

— Czy to nie okropne? Żal mi jej, że została bez grosza przy duszy, podczas gdy ja jestem tak zawstydzająco hojnie wyposażona, sądzę jednak, że tatuś nie zmieniłby testamentu, gdyby nie miał po temu ważnych powodów.

—Założę się, że ona zabawiała się z tym Poole'em.

—Też tak myślę. — Nicola z niesmakiem przypomniała sobie scenę w letnim domku. — Chociaż nie wiem, co ona w nim widzi. Wydaje mi się taki zwyczajny.

—Mnie wcale nie wydał się zwyczajny — mruknął Evan. — Wygląda na wyjątkowo sprytnego gościa, który coś knuje. Jak tylko wrócę do Colwyn Court, to dopilnuję, żeby on i jego ekipa zostali wyeksmitowani przy najbliższej okazji. A skoro mówimy o Colwyn... może wzięłabyś tydzień urlopu i przyjechała do nas? Dobrze by ci zrobiło oderwanie się od tego wszystkiego jeszcze na parę dni. Wcale mi się nie podoba pomysł, żebyś teraz sama wracała do Londynu.

—To bardzo miłe z twojej strony, Evan, ale naprawdę nie mogę wziąć jeszcze jednego tygodnia urlopu, a poza tym chcę wrócić do pracy... Praca daje mi jakieś poczucie bezpieczeństwa, jest czymś stałym, niezmiennym... Gdybym pojechała do Colwyn, na pewno pograżałabym się w

rozmyślaniach, a jeśli wrócę do pracy, nie będę miała czasu myśleć o czymkolwiek... A ty wrócisz niedługo do Londynu?

— Nie jestem pewien. Muszę uporządkować swoje sprawy w domu. — Tknięty jakąś myślą, nachylił się do niej. — Nicki, może jednak pomyślisz nad moim zaproszeniem do Colwyn? Zastanawiałem się nad tym przez cały ubiegły tydzień i doszedłem do wniosku...

Nagle otworzyły się drzwi i do jadalni zajrzała zaniepokojona Jane.

— Ach, przepraszam, szukałam Benedykta — wymamrotała z zakłopotaniem. — Nie widzieliście go przypadkiem?

— Poszedł gdzieś z moim ojcem — odparł Evan. — I o ile znam upodobania ojca, to proponuję, żebyś najpierw poszukała ich w szklarniach. Jak tam Liza? Nie widziałem jej dziś rano.

Jane zawahała się.

— Jest wciąż okropnie przybita — powiedziała. — Dlatego... — wzięła głęboki oddech — wymogłam na niej, żeby pobyła jeszcze z nami w Colwyn, dopóki nie dojdzie do siebie. Właściwie to ona zapytała, czy może z nami tam wrócić, a ja nie miałam serca jej odmówić. Mam nadzieję, że Benedykt to zrozumie. To znaczy wiem, że zrozumie, chociaż...

— Zrozumie z pewnością — uspokoił ją Evan — ale czy ten domek nie kojarzy jej się ze smutnymi wspomnieniami?

— No tak, jednak Matt nie zginął przecież w domu... — Jane niepewnie zawiesiła głos i zaczerwieniła się z zakłopotania. — Tak mi przykro, Nicola.

— Nie przejmuj się, Jane, rzeczywiście nie tam zginął — powiedziała. Wyglądało na to, że słowa Nicoli przyniosły Jane ulgę.

— Przepraszam, ale naprawdę muszę znaleźć Benedykta. — Niezgrabnie wycofała się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Zapadła cisza. Nalewając sobie trzecią filiżankę kawy, Nicola stwierdziła po chwili:

—I to załatwia sprawę. Nie pojedę do Colwyn, jeżeli będzie tam Liza...

—Och, Nicki, na litość boską...

—Nic na to nie poradzę. Po prostu nie mogę jej znieść — oświadczyła Nicola. — Nie będę obłudna. Przykro mi, Evanie.

—Nicki, przecież Liza będzie w małym domku, a ty ze mną w Colwyn Court...

—Tego też się obawiam — rzekła Nicola.

—Słuchaj — powiedział Evan — jeżeli chcesz robić trudności mnie, to niewątpliwie na nie zasłużyłem, ale po co masz utrudniać życie sobie samej? Nie bądź taka diabelnie dumna!

—Nie mogę przestać być dumna, po prostu taka jestem — odparła Nicola.

—Ależ, Nicki, ja cię kocham! Jak tylko uporządkuję swoje sprawy domowe...

—Cały czas czekam, aż uporządkujesz jakieś sprawy — powiedziała Nicola. — Pojechałeś do Afryki, żeby dojść do ładu z samym sobą. Teraz jedziesz do Walii, żeby uporządkować sprawy rodzinne. Zawsze znajdzie się coś, co trzeba uporządkować, zanim zajmiesz się mną.

—Przecież staram się tobą zająć, nie widzisz tego? Po co bym cię zapraszał do Colwyn?

—Bo chcesz mieć wszystko naraz — odparła Nicola.

—Chryste! — wykrzyknął z wściekłością Evan i wypadł z pokoju.

— W drzwiach zderzył się z pokojówką, która właśnie wchodziła, żeby sprzątnąć ze stołu. Dziewczyna rzuciła mu spojrzenie pełne nagany, kiedy minął ją bez słowa przeproszenia, a gdy ochłonęła, zwróciła się do Nicola:

—Czy panienka skończyła już śniadanie?

—Tak. Przepraszam, że dzisiaj tak późno. — Nicola odstawiła filiżankę i wyszła do holu. Dom wydawał się przygnębiająco wielki. Wiedziona nagłym impulsem otworzyła na oścież frontowe drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Dostrzegła czarnego jaguara, który mrucząc cicho podjeżdżał właśnie pod schody, na których stała.

Kochanek Lizy, pomyślała. Jak on śmie przyjeżdżać tu znowu! Gniew dławił ją w gardle, ale udało jej się nad nim zapanować i lekko zbiegła po schodach. Mężczyzna wysiadał właśnie z samochodu.

—Dzień dobry, panno Morrison — powiedział i uśmiechnął się do niej.

Wyglądał jakoś inaczej. Nicola, wpatrzona w niego, zupełnie zapomniała, co chciała powiedzieć. Miał na sobie sportową koszulę ogniście czerwonego koloru, tak dopasowaną, że widziała wyraźnie jego umięśnioną klatkę piersiową i mocne ramiona. Stroju dopełniały czarne, nienagannie wyprasowane spodnie i buty równie czarne jak spodnie. Nicola pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny ubranego tak zwyczajnie, a jednak tak eleganckiego.

—Dzień dobry — usłyszała swój własny głos dochodzący jakby z daleka.

Wyciągnął do niej rękę, a ona ją ujęła. Po raz pierwszy dostrzegła, że ma ciemne, głęboko osadzone, błyszczące oczy, ciemne włosy i cerę ogorzalą od letniego słońca półwyspu Gower.

—Wygląda pan inaczej — powiedziała.

— Nie, to tylko pani jest dzisiaj bardziej spostrzegawcza.

Wciąż trzymał ją za rękę i nagle Nicola uświadomiła sobie dotyk jego palców. Wyrwała dłoń i cofnęła się o krok.

—Może pan wejdzie? — zapytała zmieszana, wskazując drogę do holu.

—Dziękuję — odparł i podążył za nią do domu, którego wewnątrz po słońcu na zewnątrz wydawało się mroczne.

—Przypuszczam, że chciałby pan zobaczyć się z Lizą. Chyba jeszcze jest w łóżku, ale mogę pójść i powiedzieć jej, że pan przyjechał.

—Jeżeli idzie o ścisłość, to właśnie z panią chciałem się zobaczyć, nie z Lizą — oświadczył stając tuż za nią.

Odwróciła się zaskoczona.

—Ze mną? Dlaczego ze mną?

— Może moglibyśmy gdzieś porozmawiać spokojnie w cztery oczy — zaproponował.

—Ach... tak, oczywiście... wejdźmy do salonu. Otworzył przed nią drzwi.

—Napije się pan kawy? — zapytała z zakłopotaniem, wciąż niepewna, jak powinna go traktować.

—Piję tylko kawę z ekspresu i naturalnie bez tego koszmarne mleka, które tak uwielbiają Anglicy — powiedział Poole.

Nicola roześmiała się.

—Kucharka dostałaby chyba apopleksji! A zresztą ona i tak ma w kuchni tylko kawę rozpuszczalną. W takim razie może herbaty?

—Nie, dziękuję bardzo — odparł Poole — ale niech pani nie sądzi, że nie doceniam pani gościnności, panno Morrison. Po prostu w tej dziedzinie trudno mnie zadowolić. Może usiądziemy?

—Tak, oczywiście... — Usiadła niezgrabnie na skraju sofy, a Poole opadł na fotel naprzeciwko niej i splótł swoje długie giętkie palce.

—Winien jestem pani przeprosiny — powiedział w końcu.

—Przeprosiny? — zdziwiła się Nicola. — Za co, na miłość boską?

—Za to, że wtargnąłem wczoraj jak intruz na waszą rodzinną uroczystość.

—Ach... — Nicola poczuła się zakłopotana.

—Jestem zaskoczony tak uprzejmym przyjęciem. Kiedy widziałem, jak pani obserwuje mój przyjazd, miałem bardzo nieprzyjemne podejrzenie, że jest pani o krok od wezwania wszystkich służących, jacy tylko są w domu, żeby wyrzucili mnie stąd w najlepszym dziewiętnastowiecznym stylu. Czyż nie tak postępowano z włóczęgami, łobuzami i niepożądanymi konkurentami?

—Przypuszczam, że tak — odparła Nicola rozbawiona. — A do której kategorii nieproszonych gości pan się zalicza?

—Do wszystkich, oczywiście — oświadczył Poole ze swym szerokim, czarującym uśmiechem. — Nie słyszała pani o mnie? Zgodnie z rozposzechnioną pogłoską wygryzłem Waltera Colwyna z jego rodzinnej siedziby, urządziłem w Colwyn Court obozowisko nudystów, a poza tym

zabawiałem się z pani macochą. Jestem w tej okolicy bardzo sławny! Nicola rozes'miała się.

—Potrafi pan tak przedstawić plotkę, że wydaje się zupełnie absurdalna!

—Bo plotka często jest absurdalna. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy Walter Colwyn nie podpisał ze mną aktu wynajmu. Nikt też nie chce wierzyć, że słowo „natura” w nazwie naszego towarzystwa odnosi się do pokarmów, a nie do braku godziwego ubrania. Każdy woli wierzyć w najgorsze, bo najgorsze jest zawsze o wiele bardziej podniecające, prawda? A ludzie uwielbiają być podnieceni. Jeśli nie ma powodu do emocji, to go wymyślają. W tej sytuacji plotka, nawet absurdalna, jest lepsza niż nic.

—A Liza? — spytała Nicola po chwili.

—Nie jestem odpowiedzialny za Lizę. To był problem pani ojca, nie mój — odparł Poole.

—Pod koniec podejrzewał, że Liza go zdradza.

—Oczywiście, mężowie zawsze są przekonani, że ich żonom nikt się nie oprze. Gdyby myśleli inaczej, obrażałoby to ich ego.

—Hm... — Nicola zmarszczyła brwi zastanawiając się nad jego słowami.

—Niech pani posłucha — Poole nachylił się w jej stronę — wiem, że pani myśli, że wczoraj pojawiłem się tu po to, żeby zobaczyć się z Lizą, ale tak naprawdę to ona zażądała widzenia się ze mną. Wyglądało na to, że jest bliska hysterii, więc wbrew sobie musiałem się zgodzić i byłem z nią trochę po pogrzebie, usiłując ją uspokoić... Mam pewne doświad-

czenie w psychologii klinicznej. Wydawało mi się, że będę mógł jej pomóc.

—Rozumiem — powiedziała Nicola.

—Kiedy poznałem ją parę dni temu, zauważyłem od razu, że ma kłopoty, i w pierwszym porywie popełniłem błąd starając się jej pomóc. Błyskawicznie uzależniła się ode mnie, o wiele szybciej, niż mógłbym się spodziewać, i wtedy sprawy wymknęły się spod kontroli. Kiedy próbowałem się z tego wyplątać, wpadała w histerię... może pani sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Nie będę się wdawał w szczegóły. Dodam tylko, że w związku z jej problemami emocjonalnymi usiłowałem ją wczoraj namówić, żeby skorzystała z pomocy jakiegoś dobrego specjalisty w Londynie. Wydaje mi się, że zdołałem przywołać ją trochę do porządku.

—Nie sądzę. Ona chce jechać z powrotem do Col-wyn Court, żeby w towarzystwie Jane i Benedykta dojść do siebie — oświadczyła Nicola.

Jego oczy pociemniały nagle tak bardzo, że wydawały się czarne. Ruchliwe usta były zaciśnięte.

—Ach tak? — mruknął po chwili milczenia. — To niedobrze. Wkrótce będzie musiała zrozumieć, że cokolwiek było między nami, już się skończyło. Nic więcej nie mogę dla niej zrobić.

—Bardzo mnie to cieszy — powiedziała Nicola, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Poole uśmiechnął się, jego oczy pojaśniały.

—A co będzie z panią? — zapytał. — Chyba nie zostanie pani sama w tym olbrzymim domu, prawda?

—Nie, ja... w poniedziałek rano muszę być w pracy. Poza tym i tak tu nie mieszkam. Mam mieszkanie w Hampstead.

—Niech mi pani wybaczy, że to powiem, ale myślę, że nie powinna pani wracać tak od razu do pracy — zauważył Poole.

—Ale chcę — odparła Nicola. — Jeśli nie zajmę się pracą, to pograżę się w rozmyślaniach i zupełnie się rozkleję. Chcę nie mieć czasu na myślenie o sobie.

—No właśnie. Takie sublimowanie bólu jest niewskazane. O wiele lepiej, jeśli wstrząs i uczucie smutku przemijają w sposób naturalny.

—Ach... — Nicola znów poczuła się zakłopotana. Zapytała szybko: — Pan naprawdę jest psychologiem? Czy tylko amatorem?

—Mam dyplom z psychologii i pewne doświadczenie w leczeniu. Myślę, że trudno byłoby nazwać mnie amatorem.

—Na jakim uniwersytecie pan studiował?

—Byłem w college'u w Kalifornii.

—To wszystko tłumaczy!

—Co tłumaczy?

—Pański akcent. Wydawał mi się trochę dziwny. Czy jest pan Amerykaninem?

—Nie, jestem obywatelem brytyjskim. Jednak najważniejsze lata mojego życia spędziłem w Stanach. Może przypadkiem była pani w Kalifornii?

— Nie, ale bardzo bym chciała kiedyś tam pojechać.

—Powinna pani. To niezwykle miejsce, współczesny Eden... po grzechu pierwotnym oczywiście. — Uśmiechnął się do niej. — Ale mniej-

sza teraz o Kalifornię. Myślałem o jakimś bliższym mi miejscu, na przykład Colwyn. Gdybym miał pani coś doradzić, chociaż rozumiem, że to nie moja sprawa, proponowałbym, żeby wzięła pani jeszcze co najmniej tydzień urlopu i przyjechała do Colwyn odpocząć trochę i pooddychać morskim powietrzem. Moje towarzystwo zajęło wschodnie i zachodnie skrzydło, ale jest wolny mały pokój w głównej części domu i wiem, że będzie pani mile widzianym gościem. Mogę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością, bo wczoraj po pogrzebie rozmawiałem z Walterem Colwynem, który sam o tym wspomniał.

—Cóż...

—Jeśli martwi się pani o Lizę, to nie ma powodu. Nie będziecie musiały się widywać.

—Skąd pan wie, że ja...

—Droga panno Morrison, nie trzeba być psychologiem, żeby się domyślić, jaki ma pani stosunek do swojej macochy.

—Ja... — Nicola była oszołomiona.

—Zajmę się panią, jeśli przyjedzie pani do Colwyn. Jeżeli obawia się pani własnych myśli, to sądzę, że będę w stanie pani pomóc.

—Dam sobie radę — powiedziała Nicola.

—Więc przyjedzie pani?

—No, ja...

—Przyjedzie pani, prawda?

—Ja...

—Przyjedzie pani.

—Cóż, czemu nie? — odparła nieoczekiwanie Nico-la. — To dowód słabości, bać się własnych myśli, prawda? Czemu nie miałabym spędzić paru dni nad morzem?

—Świetnie! Taka postawa jest znacznie zdrowsza — stwierdził Poole, podniósł się i dodał uprzejmie:

— A może mógłbym panią zabrać jadąc do Walii? Wyjeżdżam w poniedziałek rano i bez kłopotu mógłbym podjechać tu po panią do Wickerfield.

— Ale ja będę w Londynie... — zawahała się Nicola. — Chciałam wyjechać jutro rano, kiedy już wszyscy odjadą do Walii.

—Jeszcze lepiej! Proszę mi podać swój londyński adres, podjadę pod pani mieszkanie.

—Chciał pan chyba powiedzieć: pod dom — poprawiła go Nicola i oboje się roześmieli.

—Kiedy jestem podekscytowany, zapominam, po której stronie Atlantyku się znajduję — odparł Poole z rozbrajającym uśmiechem.

Nicola poczuła jakieś dziwne uniesienie.

—Może zostanie pan na lunchu? — zaproponowała spontanicznie.

—Bardzo dziękuję, niestety muszę wracać do miasta. Ale, ale zanim zapomnę, jaki jest pani adres w Hampstead?

Podowała mu adres i numer telefonu, zapytała też, gdzie sam się zatrzymał.

—W Salisbury Hotel koło British Museum. Przyjadę po panią w poniedziałek rano o wpół do dziesiątej. A może to za wcześnie?

—Nie, bardzo dobrze.

Weszli do holu. W pobliżu nikogo nie było.

—Na pani miejscu nie wspominałbym Lizie o mojej wizycie. Lepiej unikać niepotrzebnych komplikacji. Jestem pewien, że pani to rozumie — powiedział Poole otwierając drzwi wyjściowe.

—Oczywiście — odparła Nicola.

—Wobec tego do poniedziałku — rzucił Poole odwracając się. W ostrym słonecznym blasku jego włosy nabrały rudawego połysku.

—Do poniedziałku. — Nicola stała patrząc, jak wsiada do swego czarnego jaguara i znika sprzed jej zahipnotyzowanych oczu.

—Zmieniłam zdanie co do przyjazdu do Colwyn Court — oświadczyła Nicola Evanowi, kiedy przypadkiem spotkali się przed lunchem. — Chcę przyjechać w poniedziałek i zostać przez tydzień.

—Skąd wiesz, że zaproszenie jest aktualne? — zapytał Evan, jeszcze ciągle rozżalony po ich nieszczęsnej rozmowie przy śniadaniu. — A w ogóle co spowodowało, że zmieniłaś zdanie? Czyżbyś zdecydowała, że jednak mogę mieć wszystko naraz?

—Co? Ach... Evanie, tak mi przykro! Byłam bardzo przygnębiona i nie wiedziałam, co mówię... Naprawdę wolałbyś, żebym nie przyjeżdżała?

—Nie bądź głuptasem — mruknął z zakłopotaniem i chciał ją pocałować, ale odwróciła twarz.

—Chyba się trochę zagalopowałam. Masz pełne prawo być na mnie zły
— powiedziała Nicola.

—Zapomnijmy o tym. Nicki, może zawiózłbym cię do Walii w poniedziałek? Jutro rano, tak jak planowaliśmy, Jane i Benedykt zabiorą ojca, a ja mogę tu zostać...

—Nie trzeba, Evanie. Ładnie z twojej strony, że mi to proponujesz, ale mam już inne plany.

—Zdecydowałaś się jechać pociągiem?

—Nie, samochodem — odparła Nicola. — Pan Poole będzie jechał w poniedziałek do Colwyn i obiecał, że mnie zabierze.

—Poole! — Evan wytrzeszczył oczy. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar spędzić Bóg wie ile godzin w samochodzie z tym... z tym...

—Szz! — uciszyła go Nicola. — Nie musisz tego wywrzaskiwać na wszystkie strony świata! Nie chcę, żeby Liza o tym wiedziała, bo zaraz znowu zrobi jakąś okropną scenę.

—Kiedy, na litość boską, rozmawiałaś z Poole'em?

—Dziś rano. Podobnie jak ty uważa, że byłoby dla mnie dużo lepiej, gdybym spędziła ten tydzień spokojnie w Colwyn, zamiast wracać do pracy, pomyślałam więc, że nie mogę być na tyle głupia, żeby odrzucać rady dwóch lekarzy...

—On nie jest żadnym lekarzem! — wykrzyknął Evan.

—No, jest psychologiem...

—Jest oszustem! Nicki, nie wierz nawet w połowę tego, co ten człowiek mówi. Co tam w połowę, nie wierz w ani jedno słowo.

—Evanie, on dał mi tylko dokładnie taką samą radę jak ty!

—Ale...

—Dlaczego tak bardzo go nie lubisz?

—Bo to kłamca i oszust — odrzekł z oburzeniem Evan. — Jak robak wpełzł do mojego domu.

—Mówi, że podpisał z twoim ojcem umowę dzierżawną.

—Nie wierzę w to!

—Ma też dyplom z psychologii, z jakiegoś college'u w Kalifornii...

—W Kalifornii! — warknął Evan.

—...i ma również pewne doświadczenie w leczeniu...

—Czy wymienił może nazwę tego college'u, który mu przyznał dyplom?

—Nie, tego nie mówił, ale...

—Nie wierz ani jednemu jego słowu. To blagier

— stwierdził Evan.

— Właśnie że nie. — Nicola była już wyraźnie zła.

— Zupełnie straciłeś rozsądek, Evanie.

—To ty jesteś zupełnie pozbawiona rozsądku, skoro wierzysz w te wszystkie bzdury, które ten Poole ci opowiada! Posłuchaj, Nicki, zadzwoń do niego, odwołaj te poniedziałkowe plany i jedź jutro do Colwyn razem z nami wszystkimi.

—Nie mogę. Muszę najpierw pojechać do siebie, coś uprać, uprasować, przepakować rzeczy.

—No to pozwól, że zabiorę cię w poniedziałek. Pojedziemy sami we dwoje.

—Nie ma potrzeby, Evan. Pan Poole...

—Do cholery z tym Poole'em! — wrzasnął Evan.

—Na litość boską, Evan! Co się z tobą dzieje? — zawołała rozgoryczona Nicola.

I po raz kolejny rozstali się w gniewie.

3

—Ojcie, chcę z tobą porozmawiać — powiedział Evan, odszukawszy Waltera w jednej ze szklarni Matta, gdzie w samotności podziwiał jakiś rzadki gatunek storczyka.

—Och... — Walter zastanawiał się, czy to właśnie ma być ta rozmowa, którą starał się odwlec, jak tylko mógł. — Oczywiście... ale... ale, czy widziałeś kiedyś takie storczyki? Są absolutnie wyjątkowe. Ten kolor... kształt...

—Ojcie — powtórzył Evan z naciskiem — chcę wiedzieć, jak się mają sprawy między nami a Tristanem Poole'em i jego towarzystwem.

—Ach, tak... — wymamrotał Walter.

—Proponuję, żebyśmy stąd wyszli i usiedli na ławce, tam po drugiej stronie trawnika. Tu jest zdecydowanie za gorąco na to, żeby prowadzić poważne rozmowy.

—Gorąco, prawda? Ale to bardzo dobre dla storczyków. — Przeszedł dalej, aby się przyjrzeć następnemu gatunkowi.

—Ojcie...

—Nie musisz się tym niepokoić, Evan. Ja za to wszystko odpowiadam.

—Nieprawda, bo za ciebie ja się czuję odpowiedzialny — odparł Evan.

—Jestem w wystarczająco dobrej formie, żeby samemu sobie radzić, drogi chłopcze! Doceniam twoją troskę, ale zamartwiasz się zupełnie niepotrzebnie.

—O co chodzi z tą rzekomą umową dzierżawną Poole'a?

—To tylko dżentelmeńska umowa — powiedział Walter, pragnąc w ciichości ducha, żeby storczyki ruszyły się i ukryły go przed inkwizytor-
skim wzrokiem syna. — Wynająłem Poole'owi na rok wschodnie i za-
chodnie skrzydło. I tak nie używaliśmy tych pokoi, więc pomyślałem, że
trochę pieniędzy ekstra bardzo by się przydało.

—A ile on płaci?

—No cóż... — zaczął Walter, rozpaczliwie grając na zwłokę. — Dobre
pytanie. Cieszę się, że je zadałeś. Rozumiesz...

—Tak? — podchwycił Evan.

—Chodźmy na tę ławkę, tak jak mówiłeś — mruknął Walter w nadziei,
że zyska w ten sposób jeszcze dwie minuty, podczas których znajdzie
może jakąś sensowną odpowiedź. Kiedy jednak siedzieli już obaj na ław-
ce, patrząc na trawnik i rozciągający się za nim ogród różany, stwierdził,
że nadal nie wie, co powiedzieć.

—No, ojczy? — naciskał bezlitośnie i po inkwizytor-
sku Evan.

—Prawda wygląda w ten sposób — rzekł w końcu Walter — że póki
co, jest to raczej transakcja bezgotówkowa. Towarzystwo ma tu siedzibę
w zamian za to, że panna Miller zajmuje się domem, a Poole opiekuje się
Gwyneth.

Zaległa cisza. Walter, cały spięty, z przerażeniem oczekiwał wybuchu, który jednak nie nastąpił.

—Tego się właśnie obawiałem — odezwał się w końcu Evan. — No cóż, może to i lepiej. Jeżeli nie brałeś żadnych pieniędzy, to ta tak zwana dzierżawa jest najprawdopodobniej nieważna.

—Cóż, faktycznie...

—Czy on ci dawał jakiegokolwiek pieniądze?

—Tylko symbolicznego szylinga tytułem czynszu...

—O Boże — westchnął Evan. — Ojczy, nie chcę, żeby to wyglądało na brak szacunku, ale jak doszło do tego, że uwikłałeś się w interesy z tym człowiekiem? Jak go poznałeś?

—Wiesz przecież, że raz w miesiącu mam obowiązek udostępniać Colwyn Court zwiedzającym zamek i ruiny kaplicy. Poole pojawił się tu w marcu. Powiedział, że jest turystą i szczególnie interesuje się zabytkowymi budowlami, więc Gwyneth, która akurat tego dnia lepiej się czuła, oprowadziła go po ogrodzie i pokazała mu zamek. Poole był nadzwyczaj zainteresowany i zadawał tak dociekliwe pytania, że zaprosiłem go na lunch. Zaproponował wtedy, że na rok wydzierżawi ode mnie całą posiadłość, ale na to nie mogłem się oczywiście zgodzić, więc sobie poszedł. Następnego dnia Gwyneth zachorowała... miała jeden z tych swoich ataków. Już zacząłem się o nią niepokoić, bo doktor zastanawiał się, czyby jej nie wysłać do szpitala, i wtedy Poole pojawił się znowu pytając, czy przypadkiem nie zmieniłem zdania w sprawie tej dzierżawy. Kiedy usłyszał, że Gwyneth jest chora, powiedział, że jest zielarzem i zapytał, czy może zaordynować jej ziołowe lekarstwo. Zgodziłem się bez wahania, bo

pomyślałem, że to jej na pewno nie zaszkodzi, a lekarz nie bardzo potrafił jej pomóc. Sam zresztą jestem zdecydowanym zwolennikiem ziół. W końcu w dawnych czasach...

—Więc pan Poole sporządził swoją miksturę i Gwyneth natychmiast ozdrowiała — powiedział Evan. — Tylko że to nie zioła, ojczy. To siła sugestii.

—Być może — odparł Walter, nie mając odwagi dalej się sprzeczać. — W każdym razie byłem Poole'owi bardzo wdzięczny, więc kiedy zaproponował kompromis w sprawie tej dzierżawy... tylko dwa skrzydła zamiast całego domu... musiałem się zgodzić.

—Rozumiem.

—On wygląda na tak sympatycznego młodego człowieka, a poza tym oszczędzam teraz nie musząc płacić gospodyni, całe sprzątanie też należy już do członkiń tego towarzystwa, no i Gwyneth ma się znacznie lepiej... — mówił szybko Walter, jakby chciał odeprzeć kolejne zarzuty.

—Kto płaci rachunki?

—Rachunki? — zapytał Walter, mając nadzieję, że źle zrozumiał pytanie.

—Tak, rachunki — powtórzył Evan. — Na czyich barkach spoczywa ciężar wykarmienia i utrzymania trzynastu dodatkowych osób w Colwyn Court?

—No więc, jeżeli idzie o ścisłość... to ja je płacę, jednak Poole ma mi to zwrócić po pierwszym sierpnia. Najwyraźniej towarzystwo jest teraz w trudnej sytuacji finansowej, ale zaraz po pierwszym sierpnia...

—Rozumiem — powiedział Evan tak cicho i spokojnie, że przerażyło to Waltera o wiele bardziej, niż gdyby po prostu wybuchnął wściekłością. — Jak w takim razie, ojczy, wyglądają twoje finanse? Jeżeli rozważałeś wynajęcie części Colwyn Court, to musiałeś mieć naprawdę nóż na gardle, ale z tego, co słyszę, ta dzierżawa jak dotąd przynosi ci raczej straty. Czy zadłużyłeś się w banku? A może musiałeś sprzedać jakieś udziały?

—No, mam trochę pieniędzy — odparł z ociąganiem Walter. — Pieniądze twojej matki, które macie odziedziczyć po mojej śmierci, dają pewien stały, niewielki procent. Musiałem sprzedać parę akcji i udziałów, ale...

—Ile?

—No... chyba sporo, jednak częściowo odciążylem w ten sposób hipotekę domu...

—Rozumiem — mruknał znowu Evan.

—Nie wygląda to aż tak źle — powiedział niepewnie Walter.

—Ojczy, nie chcę się z tobą sprzeczać, ale przy całym należnym ci szacunku muszę stwierdzić, że nie może być już wiele gorzej. Jedno tylko wydaje mi się jasne jak słońce: w twojej sytuacji finansowej nie jesteś w stanie utrzymywać w Colwyn Court trzynastu osób. Towarzystwo będzie musiało się stąd zabierać.

—Ale dzierżawa... zdrowie Gwyneth... No i obiecałem Poole'owi...

—Byłbym zdziwiony, gdyby ta dzierżawa miała jakkolwiek moc prawną, ale jeżeli nawet ma, może będę mógł tego Poole'a jakoś spłacić — oświadczył Evan. — Na dłuższą metę to się pewnie bardziej opłaci. A co do Gwyneth, potrzebny jej po prostu dobry psychiatra. Wcale mi się

nie podoba, że jakiś tam pseudozielarz eksperymentuje na mojej siostrze, i nie zamierzam się na to zgadzać. Przyznaję że Gwyneth ma kłopoty ze sobą, ale potrzebuje fachowej pomocy, a nie jakiejś ludowej amatorszczyzny.

—Gwyneth jest bardzo delikatnego zdrowia — zauważył nieśmiało Walter.

—Ojczy, żyjemy w dwudziestym wieku. Wcale nie musi tak być.

—Bo ty nie wierzysz, że Gwyneth jest naprawdę chora...

—Wierzę. Ale podłoże jej choroby jest psychiczne, nie fizyczne.

—Ona jest przecież taka inteligentna. Całkiem w porządku pod względem umysłowym — powiedział nieco niepewnie Walter.

—Ojczy, to nie ma nic wspólnego z inteligencją.

—Ale... Gwyneth na pewno będzie chciała, żeby Poole został. Wiem, że będzie chciała. Czy nie byłoby prościej, Evanie... mniej kłopotliwie i w ogóle... gdyby został?

—Nie stać cię na to, ojczy. Nie możesz także dopuścić, żeby Gwyneth cały czas się na nim wspierała. On jej nie wyleczy i na dłuższą metę jego „pomoc” może się dla niej okazać większą krzywdą niż pożytkiem.

—Nie wiem nawet, jak miałbym mu powiedzieć, żeby się wyprowadził. — Walter westchnął ciężko. — To taki sympatyczny młody człowiek, uprzejmy i troskliwy...

—Ja to z nim załatwię — uciał Evan.

—Nie chcę cię obarczać swoimi kłopotami, bo możesz pożałować, że w ogóle wróciłeś do domu, albo zaczniesz myśleć o tym, żeby znowu wyjechać...

—Już teraz nie, ojciec — odparł Evan.

Zapadła cisza. Walter pomyślał, że chyba się przesłyszał.

—Oczywiście w Ameryce jest wiele możliwości dla lekarzy, bez wątpienia — powiedział po chwili.

—Owszem, są możliwości różnego rodzaju, ale pieniądze to jeszcze nie wszystko — oświadczył Evan. — Dopiero w Afryce zrozumiałem, że wcale nie chcę na stałe wyjeżdżać z Walii ani z Anglii.

Walter nic już na to nie odrzekł, wziął tylko Evana za rękę i długo trzymał ją w swojej. I dopiero kiedy odzyskał głos, powiedział:

—Jak pięknie wygląda teraz ogród różany. Ten rok jest szczególnie dobry dla róż.

Siedzieli tak przez jakiś czas, przyglądając się różom. Wreszcie Evan wstał i z roztargnieniem przeczesał ręką włosy.

—Więc wyrażasz zgodę na to, żebym porozmawiał poważnie z Pool-
e'em? — zapytał.

—Rób, co uważasz za słuszne. Pozostawiam to całkowicie do twojej decyzji — odparł Walter, czując niebywałą ulgę, że rozmowę, której obawiał się od tak dawna, ma już za sobą, i wdzięczność, że jego najskrytsze życzenie zostało wysłuchane.

— Załatwię to z nim w poniedziałek, jak tylko się spotkamy — oświadczył Evan i zaczął sobie wyobrażać, co by to było, gdyby właśnie on, nie Walter, był panem w Colwyn Court, a Poole zapraszałyby tam Nicole.

Była już późna pora, kiedy w niedzielę Evan i Walter dotarli do Colwyn Court, a Jane, Benedykt, Liza i bliźniaki wrócili do domku. W sprawie towarzystwa do powrotu Poole'a i tak nic się nie dało zrobić, więc w poniedziałek rano Evan, uzbroiwszy się w cierpliwość, poszedł zobaczyć się z siostrą. Zajrzał do pokoju i stwierdził, że przy pomocy „magicznych” markerów projektuje właśnie olbrzymich rozmiarów plakat.

—Przepraszam, Gwyneth, można na momencik? — zapytał grzecznie, jednak na tyle głośno, żeby być słyszany przez hałaśliwie brzmiącą muzykę z adaptera. Wchodząc, rzucił okiem na plakat. Gwyneth narysowała na nim szereg kręgów ponad nakreślonym grubą kreską czarnym pięciokątem, który wspierał się na jednym wierzchołku, podczas gdy dwa z pozostałych wierzchołków wskazywały ku górze arkusza kartonu.

—Co to jest? — zapytał Evan, starając się jednocześnie przypomnieć sobie, co kiedyś czytał na temat terapii zajęciowej.

—To moja wizja piątego wymiaru — oznajmiła Gwyneth, wyłączając adapter.

—Rozumiem — mruknął Evan. Przypominał sobie mgliście testy Rorschacha. — Słuchaj, chciałbym porozmawiać z tobą o ojcu.

—Jeśli to ma prowadzić do jakichś nieprzyjemnych konkluzji na temat Tristana, idź porozmawiać z kim innym — rzuciła Gwyneth ostro.

—W tej chwili interesuje mnie głównie ojciec. — Usiadł obok niej na dywanie, starając się stworzyć jakieś poczucie bliskości. — Gwyneth, oj-

ciec jest w trudnej sytuacji finansowej. Wygląda na to, że towarzystwo żyje na jego koszt i jest to wydatek, na który go zdecydowanie nie stać.

—Jestem pewna, że Tristan w końcu mu to zwróci — oświadczyła Gwyneth obojętnie, obrysowując kołem pięciokąt.

—Możliwe — odparł Evan — ale póki co, nie wydaje mi się, żeby ojciec był w stanie utrzymywać w Col-wyn Court to jego towarzystwo. Jeśli idzie o ścisłość, sam z trudem może się utrzymać, a co tu mówić o towarzystwie.

—Co ja mogę na to poradzić? — zapytała agresywnie Gwyneth. — Nie spodziewaj się po mnie, że znajdę sobie pracę i będę zarabiać.

—Nie, wiem, że na razie nie bardzo byś mogła, ale jestem przekonany, że któryś z wybitnych specjalistów z Harley Street potrafiłby...

—Nigdy nie będę w stanie zarabiać na swoje utrzymanie — stwierdziła Gwyneth.

—Może i nie, ale czy nie chciałabyś" przynajmniej żyć bez lęku, że w każdej chwili przytrafi ci się jeden z tych twoich ataków?

—To jest nieuleczalne, i tata to rozumie, nawet jeżeli ty nie zdajesz sobie z tego sprawy — oświadczyła z godnością Gwyneth.

—Jestem pewien, że ojcu również zależałoby na tym, żebyś mnie posłuchała i zasięgnęła opinii któregoś ze specjalistów z Harley Street. Może jednak jakoś dałoby ci się pomóc?

—Tatuś zrobi wszystko, co tylko mu powiesz. To o niczym nie świadczy — odparła Gwyneth.

—Ale...

—Och, może byś wyjechał i zostawił nas w spokoju! — wybuchnęła.
— Było tu tak spokojnie, kiedy siedziałeś w Afryce. Czuliśmy się z tatusiem całkiem dobrze bez twojego wściubiania nosa w nasze sprawy i robienia bałaganu. Dlaczego zawsze musisz się wtrącać i wszystko psuć?

Evanowi przeleciały przez głowę fragmenty z co najmniej tuzina książek na temat Freuda.

—Próbuję ci tylko pomóc — powiedział w końcu.

—Nie, to nieprawda — odparła Gwyneth — próbujesz tylko wbić klin między mnie a tatę.

Zapadła cisza.

—A także pomiędzy mnie, tatę i Tristana — dodała po chwili.

—Gwyneth, przecież zdajesz sobie sprawę, że towarzystwo nie będzie tutaj wiecznie. Prędzej czy później Poole wyjedzie.

—I wtedy ja się rozchoruję na dobre — powiedziała Gwyneth, zakreślając fioletowym markerem kolejne koło.

—Jeżeli się rozchorujesz, to może zmienisz zdanie na temat wizyty u prawdziwego lekarza z Harley Street.

—Jeżeli się rozchoruję, to prawdopodobnie umrę.

—Bardzo w to wątpię — mruknął Evan i wyszedł z pokoju.

W chwilę potem znowu rozległy się grzmiące dźwięki z adaptera.

Pod wpływem nagłego impulsu Evan wszedł do wschodniego skrzydła domu, zajmowanego przez połowę członków towarzystwa. Pukał, a potem otwierał kolejno drzwi i zaglądał do środka. Wszystkie pokoje zarzucone były różnymi kobiecymi drobiazgami i wszystkie były puste. Evan wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, i udał się do zachodniego skrzydła, gdzie

zakwaterowano pozostałe członkinie towarzystwa. Tutaj także nikogo nie było, a ostatnie drzwi były zamknięte na klucz.

Evan otworzył drzwi od szafy gospodyni, ale nie znalazł tego, o co mu chodziło. Poszukał Agnes Miller.

—Panno Miller, gdzie jest zapasowy klucz od dużego pokoju na samym końcu zachodniego skrzydła, który jest połączony z garderobą?

—Zapasowy klucz? — powtórzyła pulchna i dobrotliwa Agnes.

—Tak. Nie ma go w szafie gospodarczej.

—To dlatego, że ten pokój należy do pana Poole'a i on ma obydwa klucze — powiedziała Agnes. — Nasz przewodniczący ma bardzo silne poczucie prywatności. Jestem pewna, że pan to zrozumie.

—Uważam, że zapasowy klucz powinien być zawsze pod ręką, na przykład na wypadek pożaru — stwierdził Evan.

—Słusznie. Wcale o tym nie pomyślałam! — wykrzyknęła Agnes z podziwem. — Porozmawiam o tym z panem Poole'em dziś po południu, jak tylko wróci, i jestem pewna, że zaproponuje jakieś dobre rozwiązanie.

—Wobec tego poczekam — Evan odwrócił się, chcąc wyjść.

—Chwileczkę! — zawołała za nim Agnes. — Czy potrzebuje pan czegoś z pokoju pana Poole'a?

—Nic ważnego. Po prostu przydałoby mi się parę rzeczy, które miałem w szafie w garderobie, ale żeby dostać się do garderoby, trzeba przejść przez ten pokój.

—Tak, rozumiem. A czy szukał pan na strychu? Wiem, że teraz pan Poole zajmuje tę szafę, więc jeżeli miał pan tam jakieś rzeczy, to na pewno zostały gdzieś przeniesione.

—W takim razie zajrzę na strych. Dziękuję pani, panno Miller — odparł Evan.

Nie podjął jednak żadnych poszukiwań na strychu, ale wziął samochód i spędził popołudnie napawając się bliskimi sercu widokami półwyspu Gower i planując czekające go spotkanie z Poole'em. Odwiedził kościół przy plaży w Oxwieh i stamtąd krętymi wiejskimi drogami pojechał do Port Eynon. Z Port Eynon skierował się do Rhossili, gdzie spędził jakiś czas siedząc na skałach, patrząc na owce spokojnie pasące się w pobliżu i na fale rozbijające się o pustą plażę, która ciągnęła się aż po piaszczyste wydmy Llangenith. Kiedy wrócił do Colwyn, było już po szóstej, ale Poole i Nicola nie przyjechali jeszcze z Londynu.

Evan poczuł, że naprawdę musi wziąć się w *garść*. Wszystko gotowało się w nim z wściekłości. Wiedział, że za chwilę wybuchnie, jeśli nie zacznie działać. Dlaczego Nicola przyjęła propozycję Poole'a? Jak udało mu się nakłonić ją do przyjazdu do Colwyn, podczas gdy jemu odmówiła? Poole... kim właściwie jest ten człowiek?

Wśliznął się do sąsiadującej ze szklarnią komórki na narzędzia. Znalazł tam kawałek drutu i śrubokręt, który schował do kieszeni. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wrócił do zachodniego skrzydła i jeszcze raz sprawdził, czy nikogo tam nie ma.

W pokojach nikogo nie zastał. Członkinie towarzystwa albo były w tej chwili zajęte przygotowywaniem wieczornego posiłku, albo znajdowały się w pokoju dziennym na dole. Evan był sam na całym piętrze. Wygiął drut i ostrożnie włożył go do dziurki od klucza zamkniętych drzwi pokoju Poole'a. Zamek jednak okazał się stary i nie wyrobiony, i trudno go było

otworzyć tak prymitywnym wytrychem. Evan spróbował więc twardej okładki swojego prawa jazdy, a kiedy i to zawiodło, zabrał się do podważania śrubokrętem okucia zamka przy klamce.

Mijały sekundy. Evan słyszał jakieś przytłumione dźwięki, więc co chwila oglądał się przez ramię — hałasy te jednak dochodziły z pokoju na dole, korytarz nadal pozostawał pusty. Udało mu się zdjąć osłonę zamka; teraz miał przed sobą sam mechanizm. Poradził sobie z nim bez trudu, nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

W odróżnieniu od innych pokoi, panował tu idealny porządek. Wszystko było na swoim miejscu. Żadnych drobiazgów porozrzucanych po pokoju, żadnych ubrań, żadnych porozstawianych fotografii w ramkach. Tylko nad łóżkiem wisiał jeden obraz: surowe, nowoczesne malarstwo — czarny pięciokąt na jaskrawoczerwonym tle, Pięciokąt wspierał się na jednym ze swych pięciu wierzchołków, podczas gdy dwa inne wskazywały w górę. Evan doznał wstrząsu — przypomniał sobie rysunek siostry i pomyślał, że być może Gwyneth była w pokoju Poole'a. Być może nawet...

Evan znowu był bliski wybuchu, zdołał jednak nad sobą zapanować. Może to Gwyneth namalowała ten obraz i ofiarowała go Poole'owi w dowód sympatii? — pomyślał. W takim razie byłoby całkiem naturalne, że powiesił go na ścianie w swoim pokoju.

Pokój był duży, ale meble ustawiono w ten sposób, że środek pozostawał wolny. Pojedyncze, wąskie łóżko zepchnięto pod ścianę, komodę pod drugą, a stół i krzesło ustawiono pod oknem. Szary, czarno nakrapiany dywan wyglądał dziwnie pusto na środku pokoju. Kojarzyło się to Eva-

nowi z pomieszczeniem przygotowanym do tańców. Przeszedł do sąsiadującej z pokojem Poole'a garderoby i otworzył drzwi wielkiej, zajmującej całą ścianę szafy wnękowej, znalazł tam jednak tylko dziesięć garniturów czarnych lub szarych i zestaw dopasowanych do nich czarnych butów. Kiedy wychodził z garderoby, rzuciła mu się w oczy ciemna plama na podłodze sypialni, w miejscu, gdzie nie sięgał czarno upstrzony dywan.

Plama ta wyglądała na krew. Evan odwinął dywan i zobaczył, że na deskach podłogi nakreślono kredą pięciokąt obrysowany kołem. Odwijając dywan dalej, poczuł jakiś dziwny, nieprzyjemny i trudny do określenia zapach. Rozprostował dywan i jeszcze raz wszedł do garderoby, żeby sprawdzić, czy któreś z ubrań wiszących w szafie nie jest poplamione, nie znalazł jednak na nich ani śladu krwi. Już miał się odwrócić, gdy nagle zobaczył skrzynkę.

Szafa była głęboka, a skrzynka wepchnięta pod samą ścianę, nic więc dziwnego, że za pierwszym razem jej nie zauważył. Chciał ją wyciągnąć, żeby przyjrzeć jej się w świetle dziennym, jednak była zbyt ciężka. Chwycił za uchwyt i przewrócił ją na bok. Usłyszał brzęk przesypującej się zawartości. Chciał ją otworzyć, ale nie udało mu się. Skrzynka była zamknięta na klucz i z pewnością miał go Poole.

Evan cofnął się, oglądając swoje znalezisko. Zamknięta czarna drewniana skrzynka. Kilka desek w podłodze pokrytych jakimiś dziecinnymi bągrolami schowanymi pod nowiutkim dywanem. Plama, która mogła, ale nie musiała być krwią i którą ktoś niedbale i tylko częściowo zakrył

tymże dywanem. Dziwny, niewiadomego pochodzenia zapach i zastanawiająco wiele pięciokątów.

Pan Poole ma niewątpliwie szczególny gust, jeżeli idzie o wystrój wnętrza, pomyślał Evan.

Wciąż jeszcze zastanawiał się nad swoimi odkryciami, kiedy całkiem niespodziewanie usłyszał ciche kasznięcie, a potem odchrząkiwanie.

— Czym mogę panu służyć, doktorze Colwyn? — zapytał stojący w drzwiach mężczyzna. Był to Tristan Poole.

RS

ROZDZIAŁ 6

1

Poole miał na sobie jeszcze jeden ze swych ciemnych garniturów, białą koszulę i krawat. Wyglądał jak wysoki urzędnik dużej korporacji, nawykły do codziennych zebrań w sali konferencyjnej. Oprócz tego, że miał nieznacznie wygniecione spodnie, nic nie wskazywało na to, że spędził wiele godzin za kierownicą.

—Może panu pomóc? — zaproponował grzecznie. Ciemne oczy patrzyły uważnie, twarz pozostawała bez wyrazu. — Czy pan czegoś szuka?

—Tak — odparł Evan chłodno, starając się cały czas panować nad swoim głosem. — Trzymałem w tej szafie różne papiery i nie wiem, co się z nimi stało.

—Są na strychu, tam gdzie stoi stare pianino. Pudełka z pańskimi papierami stoją na podłodze, obok nieczynnej maszyny do szycia.

—Dziękuję — mruknął Evan.

— Bardzo proszę. Szkoda tylko, że pańska potrzeba odnalezienia tych papierów była aż tak silna, że musiał pan wyważyć zamek w drzwiach i włamać się do mojego pokoju.

— Tak, istotnie szkoda — zgodził się spokojnie Evan. — Zaraz zmontuję go z powrotem.

— Bardzo dziękuję. A przy okazji, czy mogę spytać, oczywiście już tylko z ciekawości, jako przyjaciel panny Miller, dlaczego uznał ją pan za kłamczynię?

— Słucham...? — zapytał Evan.

— O ile wiem, panna Miller już parę godzin temu poinformowała pana, że pańskie rzeczy są na strychu.

— Nie powiedziała mi, na którym strychu. Nie mogłem ich znaleźć i pomyślałem, że się pomyliła. Proszę mi wybaczyć — powiedział Evan. Wyminął Poole'a przechodząc przez pokój i zaczął składać zdemontowany zamek.

— Umowa dzierżawna z pańskim ojcem zapewnia towarzystwu wyłączne użytkowanie zarówno wschodniego, jak i zachodniego skrzydła domu, wobec czego nie ma pan prawa wchodzić do żadnego z nich — oznajmił Poole.

— Właściciel ma zwykle prawo wchodzenia na teren swojej własności dla dokonania różnych prac — odparł Evan wkręcając śrubki.

— Nie ma jednak prawa włamywać się do zamkniętych pomieszczeń i przeszukiwać ich.

Evan nic na to nie odpowiedział, nadal zajęty montowaniem zamka.

— Może chciałby pan zobaczyć tę umowę? — zapytał po chwili Poole.

—Z przyjemnością. — Evan dokręcił ostatnią śrubkę. — To właśnie jedna ze spraw, o których zamierzałem z panem porozmawiać.

—Doprawdy? — Poole otwierał właśnie szufladę stojącego pod oknem stołu. Kiedy się odwrócił, Evan zobaczył, że trzyma w ręku arkusz papieru.

—Proszę, może się pan zapoznać z tą umową — powiedział, podając ją Evanowi.

Evan sprawdził, czy drzwi dobrze się zamykają, i schował śrubokręt do kieszeni. Dopiero wtedy wziął dokument do ręki i spojrzał na niego.

—Czy mój ojciec ma kopię?

—Jestem pewien, że jego adwokat mu ją wręczył.

—Adwokat...?

—Pana ojciec nic panu nie powiedział? To jego adwokat sporządził umowę.

—Rozumiem... — Evan wpatrywał się w dokument i nie mógł zrozumieć ani słowa z drobno zadrukowanego arkusza, który miał przed oczami.

—Mam nadzieję, że uzna pan umowę za całkowicie prawomocną — powiedział Poole.

—Chyba będę musiał — stwierdził Evan i oddał mu dokument.

—Czy chciał pan ze mną porozmawiać jeszcze o czymś?

—Tak, wydaje mi się, że jest pan winien mojemu ojcu sporą sumę pieniędzy.

—Nie mam nic wspólnego z wydatkami domowymi. W tego rodzaju przyziemnych sprawach wyręcza mnie panna Miller. Zapewniam pana

jednak, że wszystkie nasze długi zostaną uregulowane w sierpniu. Jeśli pan sobie tego życzy, mogę polecić pannie Miller, żeby zrobiła zestawienie wydatków, jakie w ostatnich czasach poniósł pański ojciec w związku z towarzystwem, i przedstawię panu kopię, a wtedy przekona się pan, jak minimalne jest to zadłużenie. Określenie „duża suma” wydaje mi się mocno przesadzone. Jednak jeżeli ta sprawa nadal pana niepokoi, dam panu stosowny rewers.

—Nie ma w tym żadnej przesady — oświadczył Evan. — Biorąc pod uwagę aktualną sytuację finansową mojego ojca, nadal utrzymuję, że jest mu pan winien dużą sumę pieniędzy. I obawiam się, że nie jest możliwe, by w dalszym ciągu utrzymywał pańskie towarzystwo w Colwyn Court.

—Do początku sierpnia pozostały już tylko cztery tygodnie.

—To w niczym nie zmienia sytuacji. Ojca nie stać na to, żeby wynajmować dom za darmo.

—Oszczędza nie musząc płacić gospodyni.

—Cóż z tego, skoro wydatki znacznie przewyższają te oszczędności. A jeśli już mówimy o gospodyni, to jest jeszcze coś, o czym chciałem z panem porozmawiać... Nie przypadła mi do gustu kuchnia będąca specjalnością pańskiego towarzystwa. Dlaczego musimy jeść to samo co wy, jeżeli nie mamy na to ochoty?

—Państwa posiłki to zupełnie zwyczajne jedzenie przygotowywane specjalnie dla was.

—Ale nie smakuje nam. Czy wasza kucharka w ogóle nie używa soli? Wszystkie potrawy są mdłe, bez smaku i prawie niejadalne.

—Nadmiar soli może być szkodliwy dla tych, którzy cierpią na nadciśnienie — stwierdził Poole.

—A zupełny brak soli może być przyczyną bolesnych kurczy w pewnych grupach mięśni — odparował Evan.

— Chce mnie pan uczyć mojego zawodu, panie Poole?

—Czy zamierza mi pan powiedzieć, żebym się wynosił z Colwyn Court, doktorze Colwyn?

—Przykro mi, ale rozważywszy wszystkie „za i przeciw” uważam, że byłoby najlepiej, gdyby towarzystwo znalazło sobie inną siedzibę. Jeżeli umowa o dzierżawie jest rzeczywiście ważna, mógłbym oczywiście wypłacić panu jakąś rekompensatę...

—Umowa jest ważna i odrzucam jakąkolwiek propozycję rekompensaty — odrzekł Poole.

Zapadła cisza. Obaj mężczyźni stali naprzeciw siebie, spoglądając jeden na drugiego: Evan wysoki, z rozczochranymi, sterczącymi nieposłusznie włosami, i Poole

— średniego wzrostu, o nieskazitelnym wyglądzie i ciemnych oczach, patrzących z uprzejmym, lecz pełnym rezerwy zainteresowaniem.

Niech go szlag, pomyślał Evan ze złością. Zaczyna panować nad sytuacją.

—Doktorze Colwyn — odezwał się Poole. — Porozmawiajmy rozsądnie. Nie ma potrzeby się denerwować. Rozumiem, że niepokoi pana dług, jaki zaciągnęliśmy u pańskiego ojca. Osobiście dopilnuję, żeby panna Miller dokładnie wyliczyła, ile mu jesteśmy winni, i wtedy dam panu moje pisemne zobowiązanie spłaty, z którego z pewnością wywiążę się

przed upływem dwóch miesięcy. Rozumiem też, że może być pan niezadowolony zjedzenia. Przekażę pańskie skargi pannie Miller. Proszę jednak nie oczekiwać, że wyprowadzimy się z Colwyn Court przed upływem terminu wynajmu. Mamy pełne prawo tu być, bez względu na to, jak bardzo się to panu nie podoba.

—Przynajmniej jasno wyraził pan swoje zamiary — mruknął Evan.

—Przykro mi, że tak wrogo się pan do nas odnosi. Gdyby pogodził się pan z naszą obecnością, moglibyśmy przecież całkiem pokojowo współistnieć w Colwyn Court.

—Skoro już rozmawiamy tak szczerze — odparł Evan — to mogę pana poinformować, że użyję wszelkiej dostępnej mi pomocy prawnej, by unieważnić tę dzierżawę. A dopóki pan tu przebywa, życzyłbym sobie, żeby zostawił pan w spokoju moją siostrę. Wiem, że jest chora, ale uważam, że w tym stadium choroby wszelkie amatorskie próby leczenia mogą jej bardziej zaszkodzić niż pomóc.

—Nie jestem amatorem — oświadczył Poole.

—Słyszałem, że kształcił się pan w Ameryce. Czy jest pan upoważniony do używania tytułu lekarza medycyny?

—Doktorze Colwyn, proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że pana sądy są skażone tradycyjną niechęcią, jaką Anglicy żywią wobec Ameryki i wszystkiego co amerykańskie.

—Nic podobnego — zaprzeczył Evan. — Czy ma pan ukończone studia medyczne?

—A czy ja się przedstawiam jako „doktor Poole”?

—To nie jest odpowiedź.

—Ale to powinno pana przekonać, że nie popieram zakorzenionego w ignoranckim, tradycyjnym społeczeństwie kultu tytułów.

—Nie jest pan więc lekarzem. Dziękuję panu. A teraz proszę uprzejmie o pozostawienie leczenia Gwyneth tym, którzy mają odpowiednie kwalifikacje.

—Do czasu, kiedy się tu pojawiłem, ci, co mają odpowiednie kwalifikacje, jakoś' nie bardzo umieli pomóc pańskiej siostrze — zauważył Poole.

—Niemniej...

— Posiadam dyplom z psychologii, doktorze Colwyn. I naprawdę wiem na temat problemów Gwyneth o wiele więcej niż ten konował, który się nią opiekował, zanim tu przyjechałem, a także więcej niż pan, z pańską z pewnością bardzo dogłębną, choć w tym przypadku zupełnie nieprzydatną znajomością medycyny tropikalnej.

—Ja...

—To, co dolega Gwyneth, nie jest chorobą tropikalną — przerwał Evanowi Poole. — Chciałby pan, żebym dokładnie określił, na co cierpi pańska siostra?

—Nie interesuje mnie jakaś pseudopsychologiczna diagnoza — oświadczył Evan. — Trzymaj się z daleka od mojej siostry, albo...

—Drogi doktorze Colwyn, można by pomyśleć, że z nią sypiam, sądząc z tego, jaką wagę przywiązuje pan do naszej znajomości!

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było! — wrzasnął Evan, nie panując już zupełnie nad sobą.

—Nie zdziwiłbym się, gdyby pan sypiał ze wszystkimi tymi dwunastoma kobietami, które tu mieszkają! Nie zdziwiłbym się, gdyby...

— Cóż za uznanie dla moich możliwości seksualnych. Dziękuję panu bardzo — odparł szyderczo Poole.

—Jest jeszcze jedna osoba, o której chcę z panem porozmawiać. Mam na myśli Nicole Morrison — warknął Evan, prawie nie słuchając swojego rozmówcy.

— Trzymaj się pan od niej z daleka, rozumiesz? Żebyś nie ważył się tknąć mojej dziewczyny! Jeśli wydaje ci się, że możesz...

— Od pańskiej dziewczyny! — podchwycił Poole. — Moje gratulacje! Nie wiedziałem, że jesteście zaręczeni.

—Nie byliśmy zaręczeni! Ale teraz już jesteśmy, więc odczep się od niej! — warknął Evan.

—W porządku — odparł Poole. — Jednak na pana miejscu sprawdziłbym, czy Nicola również tak uważa. Jadąc z nią tutaj odniosłem wrażenie, że nie uważa się za zaręczoną. A teraz pan wybaczy, ale muszę wziąć kąpiel i przebrać się. Dobranoc, doktorze Colwyn i... — Poole uśmiechnął się — proszę mieć więcej wiary w siebie. Wtedy wszelkie nieoczekiwane zwroty sytuacji, z jakimi się pan zetknie, nie będą wydawały się takie groźne.

Zanim Evan zdążył podnieść pięść i zamachnąć się, drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem, a w zamku zazgrzytał przekręcany przez Poole'a klucz.

— Nicki? Nicki, czy mogę z tobą porozmawiać? — pytał Evan pukając do drzwi małego gościnnego pokoju w głównej części domu.

—Poczekaj. — Chwilę trwało, zanim uchyliła drzwi. Była w białym szlafroku, który, jak się domyślał, narzuciła na siebie w pośpiechu, i bosy. — Cześć, właśnie się przebieram. Nie możesz z tym poczekać pół godziny?

—Raczej nie. Czy mogę wejść? — Zastanawiał się, czy Nicola ma na sobie coś jeszcze poza szlafrokiem. Głowę wypełniły mu splątane myśli i pragnienia, rozchodząc się gorącym strumieniem po całym ciele.

—No dobrze, wejdź. O co chodzi? — zapytała Nicola ze znużeniem i owinęła się szlafrokiem tak ciasno, jakby to była kamizelka ratunkowa.

—Nicki... — Evan wszedł do pokoju i zamknął drzwi. — Nicki, byłem beznadziejnie głupi, kiedy wydawało mi się, że wiem, o co mi naprawdę chodzi, kiedy starałem się nie dopuścić do żadnego głębszego zaangażowania, kiedy... kiedy byłem taki niezdecydowany. Nicki, przepraszam za to wszystko, co było w przeszłości. Kocham cię i chcę się z tobą ożenić. Jedźmy razem do Swansea jutro z samego rana i może uda nam się kupić jakiś przyzwoity pierścionek zaręczynowy...

Zapadła cisza. Evan oddychał nierówno, ale czuł się tak, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar.

—Zaręczynowy? — powtórzyła Nicola w osłupieniu.

—Zaręczynowy! — Uśmiechnął się do niej i podszedł chcąc ją objąć, ale cofnęła się, zanim zdążył jej dotknąć.

—Czy to nie zbyt nagle? — zapytała z rezerwą.

—Nagle! Po tylu miesiącach? — roześmiał się. — Kochanie, byłem ślamazarny jak żółw, i dobrze o tym wiesz. Jak możesz teraz mówić, że cokolwiek jest nagle?

Poły szlafroka Nicoli odrobinę się rozsunęły i zanim Evan zdążył się powstrzymać, już znów się do niej zbliżał mówiąc:

—Pobierzmy się jak najszybciej: jeszcze w tym miesiącu, w przyszłym, kiedy tylko będziesz chciała. — Nicola opierała się już plecami o toaletkę, więc wziął ją w objęcia i zaczął całować. Był tak rozradowany, że dopiero po chwili dotarło do niego, że Nicola nawet nie stara się odwzajemnić czułości. — Nicki! — zawołał z wyrzutem.

Jej szare oczy pociemniały. Było w nich coś, czego nie mógł zrozumieć. Wreszcie Nicola rzekła:

—Powinnam się nad tym zastanowić. Nie mogę tak od razu dać ci odpowiedzi. Musisz mi dać trochę czasu do namysłu.

Słyszał, co mówi, ale nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

—Miałaś przecież całe miesiące, żeby się nad tym zastanowić.

—Proszę cię, Evan, proszę cię... — usłyszał tylko w odpowiedzi.

—W porządku — mruknął stropiony. — Jeżeli w ten sposób chcesz to rozegrać... Każda dziewczyna ma prawo zastanowić się nad oświadczeniami, bez względu na to, jak oczywista miałyby być odpowiedź. Ale tymczasem... Nicki, tak bardzo cię pragnę! Czy mogę... pozwól mi...

—Nie dotykaj mnie — warknęła.

Zamilkł. Choć do tej pory było mu gorąco, poczuł nagle, jak przenika go zimny dreszcz. Spojrzał na Nicole niepewnie.

—Mam szczerzy zamiar się z tobą ożenić — powiedział w końcu. — Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że...

—Nie zamierzam iść teraz z tobą do łóżka.

—Czy to nie jest przypadkiem hipokryzja? Przecież nie powiesz, że między nami nigdy nic nie było. A ponieważ się kochamy i planujemy małżeństwo...

—Planujemy? — podchwyciła Nicola. — Wcale nie jestem tego pewna. Muszę to przemyśleć. Proszę cię, Evan, zostawmy tę sprawę na razie w spokoju.

Evan czuł napięcie we wszystkich mięśniach. Uraza i gniew chwyciły go za gardło.

— Czy to chodzi o Poole'a? — zapytał nagle. — O niego chodzi, prawda?

— Nie bądź śmieszny — obruszyła się Nicola. — Prawie go nie znam. Proszę cię, Evan, daj mi spokój. Nie chcę już dzisiaj więcej rozmawiać na ten temat.

Stał jeszcze przez chwilę nic nie mówiąc, po czym ruszył do wyjścia. Nicola widziała, jak jego palce niezgrabnie ześlizgują się z klamki, kiedy otwierał drzwi i wychodził na korytarz.

Została sama.

Przesiedziała w oszołomieniu na skraju łóżka z dziesięć minut, starając się uporządkować myśli. Uświadomiła sobie nagle, że absolutnie nic nie

czuje — ani ulgi czy radości, ani smutku czy niepokoju. Była jakby w le-targu, wszystkie jej uczucia zawisły nagle w próżni.

—Przecież ja szaleję za Evanem — powiedziała na głos. — Zupełnie wariuję na jego punkcie.

Jej słowa odbiły się echem w pustym pokoju. Wstała, podeszła do okna i oparła się rękami o parapet.

—Spędziłam piętnaście miesięcy pragnąc aż do bólu, żeby się ze mną ożenił — przypominała samej sobie z niedowierzaniem. — W ciągu tych piętnastu miesięcy co chwila płakałam, wciąż miałam nawroty depresji i z nikim nie chciałam iść na randkę, bo żaden mężczyzna nie dorastał Evanowi do pięt.

Teraz jednak odczuwała tylko zdziwienie, nic poza tym. Ale lepiej czuć cokolwiek, niż nie czuć zupełnie nic.

—Być może zwariowałam — powiedziała do siebie i z powrotem usiadła na brzegu łóżka, pochłonięta rozważaniem tej możliwości. — A może się upiłam. A może umarłam, tylko jeszcze o tym nie wiem.

Wciąż jeszcze rozmyślała na ten temat, kiedy znowu rozległo się pukanie do drzwi.

—Proszę! — zawołała, zbyt zajęta analizą swojego otepienia uczucio-wego, żeby zainteresować się, kto przyszedł.

Drzwi się otworzyły. Spojrzała i nagle jej uczucia wybuchły jak płomień. Zupełnie jakby na wielkiej tablicy rozdzielczej ktoś włączył wszystkie włączniki naraz, jednym zamachem ręki. Nagle spłynęło na nią światło i ciepło tysiąca ogni, a w głowie zawirowały i rozjarzyły się całe snopy najjaskrawszych kolorów.

— Tristan! — krzyknęła. Skoczyła na równe nogi i podbiegła do niego. — Wiesz, przed chwilą czułam się tak dziwnie, że nawet nie potrafię ci tego opowiedzieć.

Uśmiechnął się do niej. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę, ale ona widziała tysiące kolorów. Mogła je smakować i pić, dopóki źródło nie wyschło.

—Chyba zaraz zemdleję — stwierdziła.

—Nie, nie zemdlejesz.

Czas zaczął płynąć w odwrotnym kierunku. Wydawało jej się, że Tristan ujmuje zegar w ręce i cofa czas. O miesiąc. O dwa miesiące. O trzy... o cztery... Czas stał się czymś, co można skrecać, zginać i odwracać. Rok. Dwa. Trzy...

I nagle znowu znalazła się w czasie, kiedy nie знаła jeszcze wcale Evana Colwyna, była młoda, wolna i pełna radości życia.

—Jestem pod wpływem narkotyku — powiedziała.

— Nie, po prostu postrzegasz rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

—Popadam w obłąd.

—Po raz pierwszy od trzech lat jesteś całkowicie przy zdrowych zmysłach.

—O Boże — wyszeptała Nicola — zaczynam wierzyć, że to prawda.

Dotknął jej i rozszalałe emocje jakby opadły. Kiedy się do niego przytuliła, malutki pokój zaczął znów wyglądać tak samo jak przedtem. Garnitur Poole'a znowu był czarny, koszula biała, a jego ciemne oczy dzieliło od jej oczu tylko kilka centymetrów.

Pocałował ją. Najpierw był to zwykły pocałunek, jakim mógłby ją obdarzyć każdy mężczyzna, potem jednak przerodził się w coś, co nie przypominało już nic z tego, czego doświadczyła do tej pory. Obudziły się w niej zmysły, otaczająca ją rzeczywistość jakby zyskała nowy, niemal mistyczny wymiar.

Kiedy przestał ją całować, wszystko gwałtownie powróciło do normalności. Pokój okręcił się dookoła na jej spotkanie. Promienie wieczornego światła wpadały ukośnie przez okno i kładły się na zamkniętych drzwiach.

—Zabierz mnie z powrotem tam, gdzie byliśmy przed chwilą — prosiła Nicola. — Zabierz mnie z powrotem. — Przyciągnęła jego twarz do swojej i znów dotknęła ustami jego ust.

Poczuła na ciele jego palce i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest naga, a jej szlafrok leży na podłodze. On jednak zamknął jej usta pocałunkiem i wszelkie konwenanse przestały obowiązywać. Nicola zatraciła się w aksamitnych ciemnościach stu układów słonecznych, spłynęło na nią ciepło niewidzialnego, lecz potężnego źródła energii.

—O Boże — wyszeptała — chyba jestem w niebie. Roześmiał się. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła jego

twarz tuż nad swoją, tak blisko, że widziała tylko niewyraźną linię jego ust i biel nieregularnych zębów.

—Z czego się śmiejesz? — zapytała.

—Rozbawiło mnie to, co właśnie powiedziałaś — odparł. Był to głos ciemności witający ją w blasku gorejącej, płomiennej nocy.

Słońce zdążyło już zająć, kiedy Poole wyszedł z pokoju Nicoli i udał się na dół w poszukiwaniu Agnes. Znalazł ją w jadalni, gdzie wciąż czekało na niego nakrycie przygotowane do obiadu; kiedy tylko wszedł, z okrzykiem ulgi zerwała się na równe nogi.

—Nareszcie! — zawołała, jakby już straciła wszelką nadzieję ujżenia go jeszcze tego wieczora. — Wiedziałam, że nie wolno ci przeszkadzać, więc ostatnie pół godziny spędziłam marząc, żebyś jak najszybciej się pojawił! Słuchaj, Tristanie, jest tu Liza. Czeka w pokoju gościnnym i zapowiedziała, że nie odejdzie, dopóki się z tobą nie zobaczy. Co z nią zrobimy?

—Jesteś nieuleczalną pesymistką — odparł Poole. — Gdzie mój obiad?

—Ale co z...

—Agnes, jestem cholernie głodny. Jeśli jeszcze zostało coś do jedzenia, to daj mi natychmiast, bardzo cię proszę.

—Tak, Tristanie. Zaraz ci przyniosę.

—Dzięki. — Poole opadł na stojące u szczytu stołu krzesło z wysokim oparciem i myśląc o Nicoli kreślił widelcem na obrusie kształt pięciokąta.

Kiedy Agnes wróciła niosąc parujący talerz z jedzeniem, zapytała krótko:

—No jak?

Poole miał usta pełne faszerowanych brokułów.

—Sama rozkosz — mruknął.

— Nie miałam na myśli jedzenia.

— Ja też nie — odparł Poole.

Przez uchylone drzwi wetknęła głowę siostra Agnes.

—Agnes, Liza znowu przyszła... Mówi, że ani chwili dłużej nie będzie czekać i upiera się, że musi natychmiast zobaczyć się z Tristanem. Co mam robić?

—Ach, co za babsko! — krzyknęła rozzłoszczona Agnes. — Zaraz pójdę i ją uspokoję.

—Szkoda czasu — oświadczył Poole. — Przyrowadź ją tu, Harriet.

—A przy okazji — powiedziała Agnes, kiedy jej siostra zniknęła — zanim zapomnę... Evan mówił, że jutro wraca z powrotem do Londynu. Chce podobno poszukać lekarza dla Gwyneth i skontaktować się z jakimś prywatnym detektywem. Masz już w nim wroga, Tristianie.

—Czy możesz wreszcie przestać się martwić? — zapytał Poole. — W ten sposób dorobisz się tylko wrzodu żołądka.

—W porządku — odparła Agnes. — W takim razie zostawiam cię sam na sam z twoją przyjaciółką i spróbuję pomyśleć o czymś innym.

—Możesz obliczyć nasze zadłużenie wobec Waltera Colwyna. Obiecałem Evanowi rewers na tę sumę.

—Ty potworze — powiedziała Agnes. — Jeśli coś miałoby mnie przyprowadzić o wrzody, to właśnie te okropne rachunki. Ale dobrze, zrobię, co będę mogła. Powodzenia w rozmowie z Lizą.

—Powodzenia w dodawaniu i odejmowaniu — mruknął Poole, nabierając sobie następną porcję brokułów. Przeżuwał je w zamyśleniu, kiedy do pokoju wsunęła się Liza. — Cześć, jak się masz? — odezwał się nie wstając z miejsca. — Siadaj — powiedział tylko, wskazując jej krzesło obok siebie przy stole.

— Dzięki za supereleganckie przyjęcie — odparła Liza. — Gdzie u diabła byłeś?

—W Londynie.

— Mówiłeś, że w sobotę zadzwonisz! Czekałam cały dzień...

—Przepraszam cię — uciął Poole. Zauważył, że jest bardzo zdenerwowana.

— Wydaje mi się, że mogłeś dotrzymać słowa — powiedziała niezdecydowanie.

— Przepraszam — powtórzył. Zapadła cisza, Poole jadł w dalszym ciągu.

—O co chodzi? — zapytała Liza zbита z tropu. — Co się dzieje?

—Nic.

— Tristanie, koniecznie muszę z tobą porozmawiać!

—Słucham.

—Ja... jestem w okropnej sytuacji... ale przecież to nie jest wyłącznie moja wina, prawda? To znaczy, gdyby Matt nie zobaczył nas razem na plaży...

—Moja droga, nie możesz mnie winić o to, że twój mąż w napadzie złości zmienił testament i wjechał na mur, zanim zdążył ochłonąć na tyle, żeby z powrotem zmienić testament!

—Oczywiście, że mogę cię o to winić! — wybuchnęła Liza. — Gdybym cię nie spotkała, Matt nie zmieniłby testamentu!

—Gdybym to nie był ja, byłby kto inny.

—Jak śmiesz! — Liza z wściekłością skoczyła na równe nogi.

—Och, Lizo, bądźmy szczerzy. Ten twój mąż znudził cię już całkowicie i byłaś gotowa oddać się pierwszemu mężczyźnie, który by tylko miał na to ochotę!

Usiłowała go uderzyć, ale zdążył złapać ją za nadgarstek. Zapadła cisza. Liza chciała się wyrwać, jednak to spowodowało tylko, że wzmocnił uścisk. Ogarnęła ją panika.

—Tristanie, przepraszam... ja... ja nie chciałam, ja...

—Lizo — Poole mówił teraz spokojnym, opanowanym głosem — nie kochałaś mnie, nie kochasz i nigdy nie będziesz kochać. Wybacz mi, jeżeli wydaje ci się, że traktuję cię bezwzględnie, ale oboje musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nasza znajomość miała bardzo pechowe skutki, które pozostawiły we mnie niesmak — i nie wątpię, że w tobie też — myślę więc, że najlepiej będzie, gdy każde z nas pójdzie swoją drogą. Jeżeli ludzie się dowiedzą, co robiliśmy przed śmiercią twój męża, może się okazać, że nawet najbardziej współczujący sędzia przestanie ci sprzyjać, kiedy będziesz chciała podważyć testament.

Zapadła cisza.

—Tak — powiedziała w końcu Liza. — Chyba masz rację. Ale...

—Ale co?

—Kocham cię, Tristanie. Nic na to nie poradzę.

—Nie kochasz mnie, Lizo.

—Ale...

—Nie kochasz mnie.

Liza milczała.

— Dobrze wiesz, że mam rację. Znacznie lepiej będzie rozstać się teraz, zanim poniesiemy jeszcze większe straty.

— Tak... przypuszczam, że tak.

— Oczywiście, że tak.

— Tak. — Liza odwróciła się, on jednak wciąż trzymał ją za nadgarstek.

— Moja droga...

— Słucham?

— Chciałbym cię pocałować ostatni raz ze względu na to, co między nami było...

Uśmiechnęła się niepewnie i podała mu usta do pocałunku, on jednak pocałował ją w czoło. Głaszcząc jej włosy, zaczął rozwiązywać apaszkę, którą ściągnęła je na karku.

— Czy dasz mi ją na pamiątkę? — zapytał cicho. — Będzie mi ciebie przypominała...

Skinęła głową. Jej włosy rozsypały się swobodnie, kiedy zdjął apaszkę. Jeszcze raz z niejasnym uczuciem żalu stwierdził, że jest bardzo ładna.

— Powodzenia, Lizo. Przykro mi, ale sama wiesz, że tak będzie najlepiej.

— Tak... Masz rację. — Niemal po omacku skierowała się do drzwi. — Tylko że to bardzo trudne.

Kiedy wyszła, Poole'owi wydało się, że poprzez echo jej kroków słyszy płacz.

W chwilę później do jadalni wśliznęła się Agnes.

— Nic na to nie poradzę — oświadczyła — ale muszę wiedzieć, jak ci poszło.

RS

Poole powrócił do jedzenia.

—Obiad jest znakomity, Agnes.

—Ale co z Lizą? Wszystko w porządku?

—Nie jestem pewien. Siadaj, Agnes. — Poczekał, aż usiadła na krześle, na którym przed chwilą siedziała Liza, i dodał: — Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Czy myślisz, że udałoby ci się wygasić raz wzburzoną ślepą namiętność?

—Niby dlaczego nie? — odparła Agnes i popatrzyła na leżącą na stole apaszkę Lizy. — Czy na tej apaszcze są jakieś jej włosy?

—Nie wiem. Ale to przecież jej apaszka.

—Wolałabym włosy. To coś bardziej osobistego.

—Tak, to prawda. Jesteś pewna, że wiesz dokładnie, co trzeba zrobić?

—Dla pewności mogę sprawdzić — odpowiedziała Agnes.

—Będziesz tak miła? Agnes, naprawdę bardzo sobie cenię to, że mnie uwalniasz od tych wszystkich przyziemnych spraw... Skorzystaj z mojego pokoju i doberz sobie na asystentkę tę z dziewcząt, która będzie ci najbardziej odpowiadała. Sam bym się tym zajął, nie chcę jednak spędzić całego przedpołudnia bawiąc się w czarownika, podczas kiedy Nicola oczekiwać będzie ode mnie zupełnie innego rodzaju zabawy... z pewnością to rozumiesz...

—Oczywiście — odparła Agnes. — Nie martw się o Lizę, zajmę się nią. Ale czy nie mógłbyś jej po prostu zahipnotyzować? Czy nie byłoby to równie skuteczne?

—Może tak, może nie. Hipnoza nie zawsze jest pewnym środkiem, i w przypadku Lizy wolę na niej nie polegać, zwłaszcza kiedy mamy do dys-

pozycji znacznie skuteczniejsze metody. W tej chwili użyłem hipnozy, ale wolałbym, żebyś użyła czegoś innego, trwalszego.

—Tak, Tristanie.

—Aha, Agnes...

—Słucham, Tristanie?

—Proszę cię, postaraj się nie zabić Lizy. Jej śmierć tuż po śmierci męża mogłaby wywołać całkiem niepotrzebne komentarze.

—Tak, Tristanie — powtórzyła posłusznie Agnes i już zaczęła myśleć o siłach, które przywoła dla ujarznienia nieokiełznanej namiętności Lizy.



Minął tydzień. Evan, wciąż zdeprimowany brakiem entuzjazmu, z jakim spotkały się jego długo odwlekane oświadczenia, zdążył już porozmawiać z wybitnym londyńskim psychiatrą o swojej siostrze, zasięgnąć fachowej opinii na temat nieszczęsnej dzierżawy i wynająć prywatnego detektywa dla zbadania przeszłości Poole'a. Po czterech dniach namysłu adwokat orzekł, że akt dzierżawny ma moc prawną; psychiatra oświadczył, że zbada Gwyneth, jeśli uda się ją nakłonić do przyjazdu do Londynu, a detektywi zapowiedzieli, że jeśli tylko w przeszłości pana Tristana Poole'a jest coś podejrzanego, z pewnością zostanie to ujawnione. W tej

chwili Evan nie mógł nic więcej zrobić, postanowił więc wrócić do Colwyn Court i sprawdzić, czy Nicola przypadkiem nie odzyskała do tej pory rozsądku i równowagi ducha.

Był już naprawdę zły na nią. Z każdym mijającym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że Nicola źle go traktuje, i miał wielką ochotę zadzwonić do Colwyn Court. Nie zadzwonił jednak. Zdecydował, że musi dać jej dość czasu, żeby mogła przemyśleć jego oświadczenia. Żeby kiedy znowu się zobaczą, nie zarzuciła mu, że ją molestuje i zmusza do pochopnych decyzji.

Tymczasem w Colwyn Cottage Benedykt nadal siedział nad swoją pracą, a Jane cieszyła się każdą chwilą, którą mogła spędzić z bliźniętami. Poświęcała im znacznie więcej czasu niż Liza. Liza była milcząca, zamknięta w sobie i większość czasu spędzała w swoim pokoju. Jane doszła w końcu do wniosku, że siostra wciąż jeszcze jest w szoku po śmierci Matta, i postanowiła okazywać jej więcej ciepła i współczucia.

Liza nigdy przedtem nie czuła się tak znużona, ale kiedy Jane orzekła, że to skutek wstrząsu, jaki przeżyła, przestała się martwić swoim stanem. Chciałaby znowu zobaczyć się z Tristanem, ale nie potrafiła zdobyć się nawet na to, by pójść do Colwyn Court, żeby się z nim spotkać. Leżała na łóżku i rozmyślała o swoim romansie, aż w końcu wspomnienie o Poole'u rozmyło się i rozplynęło, a gwałtowne podniecenie, jakie wywoływała jego obecność, zastąpiła zadziwiająca obojętność, którą Jane uznała za skutek szoku. Jednak po tygodniu całkowitego odrętwienia poczuła się lepiej i w dniu, kiedy Evan wyjechał z Londynu do Colwyn Court, po lunchu zdecydowała się wstać i pójść na przechadzkę po plaży.

Było piękne popołudnie. Kiedy Liza ubierała się powoli w swoim pokoju, Jane wyrabiała właśnie w kuchni ciasto na bułeczki, a bliźniaki wylegiwały się na trawie w ruinach zamku. Ich od dawna snuta opowieść o zaginionym ojcu doszła właśnie do przełomowego i fascynującego punktu.

—Więc stoi twarzą w twarz z tygrysem bengalskim — mówił Timothy.

— A Gwiazda Indii pobłyскуje mu złowieszczco w kieszeni na biodrze.

—Czy rubiny błyszczą?

—Gwiazda Indii to nie rubin, ty głupku! To jest... — Lucy przerwała.

—Co? — zapytał Timothy.

— Coś słyszę, jakieś głosy. — Lucy nasłuchiwała w napięciu.

—Zupełnie jak Joanna d'Arc!

—Ćśśś! Nie słyszysz? Timothy słyszał.

—Schowajmy się!

Oboje przyłgnęli do muru i zerkali przez jedną ze szczelin, służącą za okno.

—Czyżby to była panna Miller? — zapytał szeptem Timothy.

—Panna Miller i jej siostra. Ciekawe, po co przyszły do zamku.

— Idą do kaplicy.

—Jak będą w środku, to...

—...wślizgniemy się za nimi i zobaczymy, co robią — dokończył Timothy, trochę zły, że Lucy pierwsza to wymyśliła.

Agnes i jej siostra znikły za murami kaplicy.

—Idziemy za nimi — powiedział Timothy.

Zgięci wpół przebiegli po trawie parę metrów, dzielących ruiny zamku od kaplicy. Dwa pasące się nieopodal dzikie konie uniosły głowy. Jedna z owieczek też podniosła głowę i zabeczała z wyraźną dezaprobatą.

—Głupia owca — mruknęła Lucy.

—Ćśśś!

Podpełzli do wyrwy w murze i zajrzeli przez nią w głąb ruin. Głosy dobiegały teraz wyraźniej; można już było rozróżnić każde słowo.

—Cóż za piękne miejsce — mówiła Agnes. — Tristan miał rację. Tu jest naprawdę wielkie bogactwo możliwości.

—Znakomite na Lammas! Czuję się zaszczycona mogąc być jedną z gospodyń w takim miejscu!

—To zaszczyt dla nas wszystkich — oświadczyła Agnes, badając kamienną płytę, która stanowiła jedyną pozostałość ołtarza.

—Chyba nie ma wątpliwości, że ta płyta uległa desa-kralizacji — powiedziała Harriet.

—Och, nie, oczywiście. Była to pierwsza rzecz, o którą Tristan wypytał Waltera Colwyna.

—To doskonale! — zawołała Harriet. A po chwili zapytała: — Masz już wyobrażenie, jak będą wyglądały obrzędy?

— Nie rozmawiałam jeszcze o tym szczegółowo z Tristanem. Wiem, że jak zwykle będzie oczywiście ceremonia składania ofiary, potem msza...

—Czy Tristan myślał już o tym, skąd wziąć dziewicę?

—Wymyśli coś, żeby jakoś ominąć ten problem. Ale za to odbędzie się chrzest. Dziewictwo ofiarowane zostanie ciemnym mocom w ceremonii chrztu.

—Chyba nigdy nie byłam jeszcze na chrzcie. Czy msza będzie miała także charakter zaślubin?

—Tak. Musimy zacząć przygotowywać suknię. Myślałam o czarnej satynie z dużą ilością czarnej koronki... Może w przyszłym tygodniu pojedziemy do Swansea i wybierzemy jakiś wzór?

—Dobrze — odparła Harriet. — A jaka będzie ofiara? — zapytała.

—Oczywiście baranek. Heroiczny symbol Drugiego Kościoła.

—A co z heroicznym symbolem naszego Kościoła? Będzie kozioł?

—Myślisz o uciechach po mszy i po chrzcie? Chyba nie, skoro Tristan sam będzie obecny. Po co zawracać sobie głowę jakąś namiastką?

—Rzeczywiście, po co — zgodziła się Harriet. Opuściły kaplicę i powoli zaczęły schodzić zboczem w dół.

Ich czarne spódnice łopotały na wietrze.

Nisko w dole fale rozbijały się o skały i rozpryskiwały w powietrzu. Gdzieś w oddali znowu zabeczała owca, konie w skupieniu skubały krótką trawę.

Bliźniaki spojrzały po sobie.

—Zrozumiałeś coś z tego? — zapytała w końcu Lucy. — Wydawało mi się, że mówią po angielsku, ale potem to już nie byłam pewna.

—Oczywiście, że zrozumiałem — odparł Timothy z dumą. Lucy rzadko przyznawała się, że czegoś nie wie.

— To towarzystwo wyznaje jakąś swoją własną religię, która jest podobna do rzymskokatolickiej, ale trochę inna, i będą tu mieć ślub i chrzest.

— A może oni są katolikami?

—Niemożliwe, bo kaplica nie jest konsekrowana. Konsekrowana to znaczy poświęcona, a jeżeli już nie jest, to katolicy nie mogą z niej korzystać. Protestanci pewnie też by nie mogli.

—Więc jeśli nie są ani katolikami, ani protestantami, to kim są? Co one mówiły o baranku i o koźle?

—To musi należeć do ich religii. Jak u Rzymian. Rzymianie zawsze składali ofiarę z kóz, baranów i innych zwierząt.

— Koziół nie miał być na ofiarę — powiedziała Lucy.

— Koziół miał być dla uciechy. Jak myślisz, co to może znaczyć?

— To chyba tak jak u katolików, pewnie mają coś, co się nazywa odpust, może o to chodzi.

— A co to znaczy?

—To należy do religii — odparł Timothy, nie mając najmniejszego pojęcia, o co z tym odpustem chodzi.

—Ale to wszystko wygląda bardzo dziwnie — oświadczyła z niezadowolaniem Lucy.

— Całe to towarzystwo jest dziwne i każdy o tym wie — stwierdził Timothy ziewając.

—Opowiemy komuś o tym?

—No... może cioci Jane. To chyba jedyna osoba, którą mogłoby to interesować.

—Dobry pomysł — stwierdziła Lucy. — Opowiemy o tym cioci Jane.

Zacząli schodzić z boczem w dół i po piętnastu minutach wchodzili już do domku od strony kuchni.

—Cześć, dzieciaki — powitała ich Jane. — Dobrze trafiliście, za chwilę będą bułeczki prosto z pieca.

—Ciociu Jane, nigdy byś nie zgadła... — zaczęła Lucy. — W ruinach kaplicy będzie ślub. Towarzystwo to organizuje i...

—Ludzie zjadą się z daleka, żeby wziąć w tym udział, bo towarzystwo będzie pełnić tam rolę gospodarzy, jak na przyjęciu. I odbędzie się też chrzest — dodał Timothy.

—Ale nie będzie kozła, tylko baranek—dodała Lucy wyczuwając, że kozioł odgrywa tu jakąś ważną rolę.

—I złożą ofiarę z baranka. Tak jak Rzymianie — dodał Timothy.

—Pięknie! I co jeszcze wymyślicie? — Jane wybuchnęła śmiechem. — Czy waszemu ojcu udało się uciec od sułtana z szablą z Tadż Mahal?

—Oczywiście — odparł Timothy i zapytał grzecznie: — Można prosić o bułeczkę?

—Dobrze, tylko umyćcie najpierw ręce.

Skryci bezpiecznie w łazience, wymienili znaczące spojrzenia.

— Ciocia Jane jest dobra jak mało kto, ale czasami nawet najlepsi ludzie nie potrafią spełnić pokładanych w nich oczekiwań — powiedziała w końcu z mądrą miną Lucy. — To nie jej wina. Nic na to nie poradzi.

—Co za różnica — mruknął Timothy. — Mogłem się spodziewać, że tym razem nawet ciocia Jane nam nie uwierzy. Zapomnijmy o tym.

—Zgoda — odparła Lucy i sięgnęła szybko po mydło, jakby chciała zmyć z rąk całe to wydarzenie.

5

Liza wyszła z domu jeszcze przed powrotem bliźniaków i pomaszerowała na plażę. Znikła gdzieś cała jej ospałość. Apatia ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu otoczeniem; kiedy wdrapywała się na skałki, czuła, że rozpiera ją energia.

Dostrzegła ich w pięć minut później. Opalali się pod skałą, na małym skrawku piasku półkolistym otoczonym kamieniami. Nicola wyciągnęła się na brzuchu, zrzuciwszy stanik od bikini, żeby równomiernie opalić plecy. Poole leżał na wznak z rękami splecionymi pod głową i długimi nogami skierowanymi w stronę morza. Liza zobaczyła, jak przewraca się na bok i przejeżdża palcem wzdłuż kręgosłupa Nicoli, po jej nagich plecach.

— Cóż za rozkoszny obrazek! — wycedziła z pogardą.

Poole odwrócił się. Zauważyła, że jego ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej i pękły w niej wszelkie zapory.

—Ty gnojku! — krzyknęła trzęsąc się z wściekłości. — Ty nędzny, zdradziecki, kłamliwy...

Poole zerwał się na równe nogi.

—Lizo — powiedział z naciskiem. — Lizo, uspokój się.

—Właśnie że się nie uspokoję! — wrzasnęła Liza z pasją. — Nie uspokoję się, dopóki ci nie powiem, jak bardzo cię nienawidzę! I dopóki nie powiem Nicoli, jaka jest głupia, że zadaje się z kimś takim jak ty!

—Nicki, kochanie, nie ma potrzeby, żebyś tego słuchała — zwrócił się Poole do Nicoli, która zmieszana gme-rała przy swoim staniku. — Poczekaj na mnie w domu.

—Dobrze, Tristanie. — Nicola włożyła płaszcz kąpielowy i wstała, biorąc słomkową torbę plażową.

—Czekaj! — zawołała Liza. — Posłuchaj! Mogłabym opowiedzieć ci o nim takie rzeczy, że nawet byś nie uwierzyła! Mogłabym ci opowiedzieć...

Nicola rzuciła się do ucieczki.

—Uspokój się, Lizo. Uspokój się, słyszysz? Uspokój się. — Poole chwycił ją mocno za ramiona.

—Nienawidzę cię! — krzyczała Liza, zupełnie już nie panując nad sobą, niepomna na nic. — Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę...

Poole spróbował starego francuskiego zaklęcia, mającego zmusić kobietę do posłuszeństwa.

— Lizo... — chwycił ją mocno za nadgarstek, żeby jego siła w połączeniu ze słowami odniosła większy skutek, i wyrecytował: — *Bestarberto corrumpit viscera ejus midieris.*

Nic z tego. Zwykle zakłęcie nie miało na nią wpływu. Próbował jeszcze dokonać projekcji swego umysłu, aby zagarnąć weń umysł Lizy i w ten sposób zmusić ją do uległości, robiła jednak tyle hałasu, że nie mógł się skupić. Doprowadzony do rozpacz, uderzył ją w twarz.

Natychmiast mu oddała.

—Morderco! — krzyknęła. — Czy uważasz, że jestem aż taka głupia, że nie rozumiem, o co ci chodzi? Uwiodłeś mnie po to, żeby móc się dostać do pieniędzy Matta, a kiedy zostawił wszystko Nicoli...

Poole uznał że najwyższy czas wezwać pomoc. Upokarzało go, że musi odwołać się do powszedniejszych mocy, jednak zajadłość Lizy trzeba było opanować; sytuacja była zbyt niebezpieczna, żeby myśleć o własnej dumie.

W imię Baala, w imię Astarte, w imię Lucyfera — mówił w myślach, wkładając w to wezwanie całą siłę swej woli — błagam, pomóżcie mi zapanować nad tą kobietą i uczynicie ją posłuszną moim rozkazom.

—...rzuciłeś mnie i zająłeś się Nicola, nie mrugnawszy nawet okiem!
— Liza łkając usiadła na pobliskiej skałce.

—Lizo — zwrócił się do niej Poole — jesteś teraz zbyt roztrzęsiona, by móc normalnie rozmawiać. Może spotkajmy się tu jutro wczesnie rano i wtedy omówimy to w sposób bardziej zrównoważony.

—Żebyś mógł mnie zabić tak, jak zabiłeś Matta? Dziękuję bardzo! — zawołała Liza, już nie tak głośno wprawdzie, jednak daleko jej było jeszcze do spokoju.

—Droga Lizo, kiedy zginął Matt, byłem w Colwyn Court, wśród członkiń mojego towarzystwa. Jeżeli jednak rzeczywiście obawiasz się o

swoje bezpieczeństwo, możemy spotkać się w miejscu, gdzie ścieżka na plażę dochodzi do skały... stamtąd będziesz świetnie widoczna z domku i możesz nawet poprosić siostrę, żeby patrzyła z okna. Jesteś zadowolona? Spotkamy się tam o ósmej rano?

—Spotkamy się, spotkamy! — odpowiedziała Liza z pogrózką w głosie. — I niech ci się nie wydaje, że to będzie przyjacielska pogawędka!

—Czy możesz dać mi słowo, że do jutrzejszego spotkania nie będziesz z nikim o tym rozmawiała?

— Dobrze, ale...

— Dziękuję ci. Więc jutro o ósmej rano — uciał Poole i odszedł pośpiesznie.

Przez całą drogę do domu prawie biegł. Ani w jednej, ani w drugiej kuchni nikogo nie było, natomiast na tarasie przylegającym do pokoju gościnnego cztery członkinie towarzystwa spokojnie grały w brydża.

— Gdzie Agnes?! — wrzasnął.

— Odpoczywa w swoim pokoju — odparła jedna z kobiet. Wszystkie wpatrywały się w niego z szeroko otwartymi ustami.

Poole pobiegł na górę i wpadł do pokoju Agnes nie zadając sobie nawet trudu, żeby zapukać. Agnes, która właśnie lakierowała sobie paznokcie, słuchając jednocześnie radiowej audycji „Godzina dla pań”, była tak zdumiona, że przewróciła buteleczkę z lakierem.

—Tristan! Co się stało?

—Co jest u diabła z tym zaklęciem?

—Zaklęciem...? — powtórzyła niepewnie Agnes.

—Tak, zaklęciem! Wiem, że kazałem ci zniechęcić Lizę do mnie, ale...

—O Boże! To znaczy, że nie zadziało? — zapytała oszołomiona Agnes. — Byłam przekonana, że mi się udało...

—Udało ci się aż za dobrze! Udało ci się tak cholernie dobrze, że ona mnie teraz nienawidzi! Agnes, posłuchaj mnie, nieźleśmy się wrobili. Teraz trzeba działać, i to szybko...

6

Evan dotarł do Colwyn Court dziesięć minut przed burzliwą sceną na plaży. Dowiedziawszy się, że Nicola i Poole poszli się opalać, wybiegł z domu i szybko skierował się na ścieżkę w stronę zatoki. Był już na plaży, kiedy dostrzegł Nicole. Biegła w jego kierunku w rozwiewającym się płaszczu kąpielowym; kostium bikini tworzył na jej ciele dwa żółte, kontrastujące z opalenizną paski.

— Nicki! —zawołał.

Wyglądała na bardzo wzburzoną. Może to Poole ją zdenerwował? Jeżeli właśnie on jest przyczyną zdenerwowania Nicoli, wkrótce bardzo tego pożałuje, pomyślał z zawziętością Evan.

—Nicki! — zawołał znowu.

Ale ona zachowywała się, jakby go w ogóle nie zauważyła, choć biegła w jego stronę. Teraz była na tyle blisko, że widział jej półotwarte usta, potargane przez wiatr włosy i mroczne, jakby nieobecne spojrzenie.

— Nicki — powiedział wyciągając do niej ręce — co się stało?

Nicola należała jednak teraz do pejzażu ze swego snu: przebywała w milczącym świecie i biegła przez piaski pustej plaży. Nie słyszała go. Evan patrzył, nie wierząc własnym oczom, jak bez słowa przebiega obok niego, po czym nie odwracając się wchodzi po skałkach na ścieżkę.

— Nicki! Nicki, dokąd biegniesz? — krzyknął jeszcze raz, jednocześnie rozgniewany i oszołomiony.

Ale Nicola wypełniała teraz przepowiednię Maris i Evan jakby przestał dla niej istnieć.

Następnego dnia Nicola jadła obiad w jadalni towarzystwa, więc Evan jej nie widział. Nie było też odpowiedzi, kiedy pukał później do jej pokoju, a gdy nacisnął klamkę, przekonał się, że drzwi są zamknięte. Położył się do łóżka rozgorączkowany; poczucie zranionej dumy i bolesnego zakłopotania sprawiły, że kręcąc się i przewracając z boku na bok bezsennie spędził noc.

Poole także nie spał tej nocy. Agnes dosypała Nicoli do kawy nieco łagodnego narkotyku i kiedy tylko dziewczyna usnęła, Poole zamknął na klucz drzwi jej pokoju i wrócił do zachodniego skrzydła domu, aby rozpocząć przygotowania. Przeglądał różne księgi i medytował, a tuż przed świtem przystąpił do działania. Od śniadania pościł, aby oczyścić organizm. Teraz wziął kąpiel, oczyszczając ciało również zewnątrz, zanim ubierze się w czarną, przyniesioną przez Agnes lnianą szatę. Trzeci warunek — wstrzemięźliwości seksualnej — nie mógł już być dopełniony, ale Poole wiedział, że nie ma to zbyt wielkiego znaczenia w tym przypadku. Zapytał Agnes, czy wszystko gotowe. Wszystko było gotowe. Zaraz po wschodzie słońca udali się razem do zamku; Agnes roznieciła w ruinach mały ogień, aby spalić w nim trochę liści laurowych, kamfory, białej żywicy, siarki i soli, co miało oczyścić okolicę i przygotować ją do nakreślenia kręgu. Kiedy tylko zakończył się obrzęd oczyszczenia, Poole zaczął malować krąg, posuwając się w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Używał do tego cynobru, zawierającego w swym składzie rtęć i siarkę. Gdy skończył, nakreślił wewnątrz drugi krąg o średnicy trzydziestu centymetrów, nie zamykając go jednak — podobnie jak uczynił to z pierwszym — aby on i Agnes mogli swobodnie wchodzić i wychodzić z zakreślonych pól podczas przygotowań. Potem, pozostawiając Agnes wypisującą odpowiednie imiona i znaki w przestrzeni między dwoma kręgami, wziął świeżą witkę leszczynową, która miała służyć jako różdżka, i podszedł do pasących się nieopodal dzikich koni. Miewał już do czynienia z końmi ale od tego czasu upłynęło dobrych parę lat i

teraz trudno mu było stłumić w sobie uczucie niepewności, kiedy zbliżał się do wielkiego czarnego ogiera pasącego się na skraju stada. Przemógł się jednak, podszedł do zwierzęcia i podniósł różdżkę. Ogier nastawił uszu, ale nie ruszył się z miejsca, gdy inne konie odchodziły. Poole dotknął go różdżką, powiedział coś cicho do niego i włożył mu przez głowę sznurową pętlę. Kiedy wracał w ruiny, koń potulnie szedł za nim.

—Wszystko gotowe, Agnes? — zapytał.

—Tak, chyba tak.

—W porządku. — Poole przywiązał linkę do rogu zwałonego muru, na wypadek gdyby koń chciał się wyrwać, ale zwierzę wcale nie zamierzało uciekać i spoglądało na niego ufnie swoimi ciemnymi, rozumnymi oczami.

—Rozpal ogień, Agnes — polecił Poole.

Agnes zapaliła w mosiężnym tygielku węgiel drzewny. Poole stanął obok niej w środku wewnętrznego kręgu i przyglądał się temu, co robiła.

— Podsyc ogień — rozkazał.

Agnes dołała kamfory i brandy do ognia, z którego unosił się czarny jak atrament dym.

— W porządku — powiedział po chwili Poole. — Zamknij krąg.

Agnes wzięła pędzel i puszkę cynobru, po czym szybko domalowała obwody obydwu kręgów — wewnętrznego i zewnętrznego.

— Doskonale, Agnes. A teraz zapachy... Kiedy wypowiem nazwę zieleń, rzuć je w płomienie. Jesteś gotowa?

—Tak, Mistrzu.

—Kolendra... — zaczął Poole i przerwał, po czym wymieniał dalej: — Blekot... pietruszka... wywar z maku... koper... ziele lulka czarnego... drzewo sandałowe.

Agnes wrzuciła do ognia ostatnie składniki i przez chwilę stali przyglądając się płomieniom. Z tygielka zaczęła się rozchodzić mocna, przenikliwa woń. Poole pochylił się nad przykrytym koszykiem, postawionym przez Agnes w środku kręgu, i wyciągnął z niego czarnego koguta.

—Moim druhom, moim poddanym, moim zastępom, moim legionom składam tę ofiarę! — zawołał donośnym głosem.

Opary unoszące się z tygla były coraz intensywniejsze, głos Poole'a coraz bardziej bełkotliwy, a jego ręka drżała, kiedy brał nóż od Agnes.

Kogut zginął krwawą śmiercią.

Agnes upadła na kolana w pokłonie, Poole zaś stał wyprostowany, pozwalając, by uwolniona siła wzięła go w posiadanie. Stał tak przez kilka sekund sztywno i nieruchomo, aż nagle wstrząsnął się gwałtownie; Agnes patrząca na niego rozmodlonym wzrokiem widziała, jak wzniosł do ciemnego, porannego nieba splamione krwią ręce i głębokim, wibrującym głosem przywołał demony, aby wyszły mu na spotkanie na brzeg kręgu.

Kiedy o siódmej rano zadzwonił budzik, Liza spała jeszcze mocno, wyczerpana wczorajszym wybuchem. Ciężko jej było wygrzebać się z łóżka, jednak myśl o spotkaniu z Poole'em stanowiła pokusę zbyt wielką, żeby mogła jej się oprzeć. Gdy zeszła na dół, była już całkowicie rozbudzona.

Jane w kuchni parzyła dla Benedykta poranną herbatę.

— Wielkie nieba! Już wstałaś! — wykrzyknęła ze zdumieniem na widok siostry.

— Idę spotkać się z Tristanem.

— Ach, Lizo!

— Nie, to zupełnie nie tak, jak myślisz. Wszystko już skończone. Chcę mu tylko uświadomić, jak bardzo nim pogardzam... Jane, obserwuj mnie, patrz, co się będzie działo, dobrze? Mam się z nim spotkać przy skale nad plażą. Jeśli będzie wiedział, że ktoś patrzy, nie odważy się mnie tknąć.

— Lizo, czy nie lepiej byłoby, gdybyś...

— Muszę iść, bo się spóźnię — przerwała jej Liza i przez tylne drzwi wyśliznęła się na dwór.

Jane zrobiła herbatę, zaniosiła ją Benedyktowi, po czym zeszła do living-roomu, którego okna wychodziły na morze.

Liza czekała na Poole'a w miejscu, gdzie ścieżka dochodziła do skał, sześć metrów powyżej plaży. Poranek był jasny, czysty, a morze u stóp skały spokojne, ciemno-niebieskie. Jane klęcząc przy oknie spoglądała na

zegarek. Pięc po ósmej. Liza spacerowała tam i z powrotem zniecierpliwiona i rozgorączkowana. Dziesięć po ósmej. Ani śladu Poole'a.

Nie przyjdzie, pomyślała Jane. Podeszła do drzwi frontowych i otworzyła je.

—Lizo! — zawołała. — Proszę cię, wracaj! Zobaczyła, że Liza odwraca głowę, i w tym samym momencie kątem oka zauważyła biegnącego od strony zamku wielkiego ogiera. Wyglądało na to, że ktoś go spłoszył. Widziała, jak stado znajdujących się na jego drodze owiec uciekało w przerażeniu przed rozszalałymi, dudniącymi kopytami.

Patrzyła jak zahipnotyzowana. Owce, zbite w ciasną gromadkę, zbiegały na oślep ze wzgórza w kierunku domku. Nagle Jane zobaczyła, że koń skręca, gnając przed sobą owce ku miejscu, gdzie nad skałami stała Liza.

— Lizo! — krzyknęła z przerażeniem. — Lizo! Uważaj!

Ale było już za późno. Owce wpadły na Lizę, zanim zdążyła uciec, i zepchnęły ją poprzez poszarpane skałki na rozciągającą się pod nimi plażę.

ROZDZIAŁ 7

1

—Wychodzę za mąż za Tristana. Drugiego sierpnia bierzemy ślub — powiedziała Nicola do Evana.

Było to wieczorem, po pogrzebie Lizy. Znajdowali się w domu Matta w Surrey. Od śmierci Lizy minął już tydzień, wypełniony nalotami dziennikarzy i policji. Kolejne śledztwo i kolejne orzeczenie o śmierci na skutek wypadku. Zwykły tryb życia został całkowicie zakłócony i Benedykt zastanawiał się nad powrotem do Cambridge. Jane bez reszty poświęciła się opiece nad bliźniakami, co pomagało jej stłumić tysiące rodzących się w niej lęków i wątpliwości. Bliźniaki natomiast z uporem większym niż kiedykolwiek oczekiwały, że ich ojciec wróci wreszcie ze swych podróży i sprawi, że wszystko znowu będzie jak dawniej. Poole zawiózł Nicole na pogrzeb do Surrey, sam jednak nie brał udziału w nabożeństwie. Zanim się znów pojawił, Evan miał pierwszą od wielu dni

okazję, aby porozmawiać w cztery oczy z Nicolą i zażądać od niej wyjaśnień na temat Poole'a.

—Kocham go — oznajmiła. W jej szarych oczach płonął bunt. — Oświadczył mi się i przyjąłem jego oświadczenia. Pobierzemy się tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

—Oszalałaś — stwierdził Evan. — Oszalałaś zupełnie. Sama nie wiesz, co mówisz.

—Och, na litość boską, daj mi spokój i idź stąd! — wykrzyknęła Nicola i chciała wybiec z pokoju, ale jej nie puścił.

—Jak mogę odejść, skoro ty masz zamiar wrócić do Colwyn Court?

—Będę mieszkać w zachodnim skrzydle razem z Tristanem! Nie możesz mi tego zabronić!

Evan wiedział, że nie może. Czuł się tak zraniony, że najchętniej wsiadłby do pierwszego samolotu lecącego do Ameryki, ale tego także nie mógł zrobić. Nie mógł opuścić rodziny, i w dodatku odkrył, że nie może też opuścić Nicoli. Był głęboko przekonany, że dziewczyna nie odpowiada za siebie.

— To chyba dobrze, że Nicola się zaręczyła — powiedziała do niego niepewnie Jane następnego ranka po pogrzebie Lizy. — Pozostaje tylko mieć nadzieję, że wie, co robi. Prawie nie zna Tristana i... Och, Evanie, nie mogę pozbyć się uczucia, że coś tu jest nie tak! Przepraszam, może nie powinnam była tego mówić, ale...

Pomimo całej swej rozpaczycy Evan poczuł, że ma w niej sprzymierzeńca, i nabrał otuchy. Zwierzył jej się ze wszystkich wątpliwości i lęków, a Jane z kolei powiedziała o swoim intuicyjnym przekonaniu, że to właśnie

Poole jest przyczyną wszystkich ostatnich tragicznych wydarzeń w Colwyn Court.

Rozmawiali ze sobą ponad godzinę.

— Czy twoi detektywi wpadli już na jakiś trop? — zapytała w końcu Jane.

— Na razie nie. Dziś po południu jadę do Londynu i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

— Jestem pewna, że nie znajdą nic obciążającego — powiedziała Jane. — Evanie, wiem, że będziesz się ze mnie śmiał, ale on jest zupełnie nie po ludzku sprytny... Czasami zastanawiam się, czy w ogóle jest w nim coś ludzkiego. Sposób, w jaki przyciągnął do siebie Lizę... a teraz Nicole... zupełnie jakby je zaczarował. Zdaję sobie sprawę, że to głupio brzmi, kiedy w dzisiejszych czasach mówi się o czarach i czarnej magii, ale...

— Poole jest całkowicie ludzki — oświadczył Evan.

— Jest po prostu gładkim lalusem z pewną znajomością psychologii i darem hipnotyzerskim. Zgadza się z tobą, że Nicola dostała bzika na punkcie tego Poole'a, ale nie wydaje mi się, żeby ten człowiek rzucił na nią czar. Udało mu się po prostu tak bez reszty zawładnąć jej umysłem, że stała się całkowicie inną osobą.

— To muszą być czary — rzekła Jane.

— Nie — odparł Evan — to tylko forma hipnotycznej władzy, wykorzystywana dla zdobycia majątku Nicoli. Poole jest człowiekiem, ale i oszustem, i zrobię wszystko, co tylko będę mógł, żeby go zdemaskować, zanim jeszcze ożeni się z Nicolą, zrujnuje jej życie i zniknie gdzieś w siwej mgle z jej pieniędzmi... Jane, mam do ciebie wielką prośbę, wiem, że

po tym, co stało się z Lizą, nie chcesz już wracać do Colwyn, ale byłoby mi lżej, gdybym wiedział, że tam jesteś... gdybym wiedział, że jest w pobliżu ktoś, kto docenia wagę sytuacji i do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc, jeśliby zaistniała taka potrzeba. Nie masz pojęcia, jak ważne jest dla mnie, że znalazłem kogoś, kto mnie rozumie.

—Dla mnie to też ważne — wyznała Jane. — Zaczynałam już wpadać w nerwicę myśląc o Tristanie. Wydawało mi się, że jestem jedyną osobą, która go nie lubi.

—Więc wrócisz do Colwyn?

—No... nie bardzo chcę znowu tam jechać, ale chyba nie mogłabym teraz wrócić do Cambridge i zostawić Nicoli... i ciebie. Jeśli w Colwyn mogłabym coś pomóc wam obojgu...

—Wyrwę Nicole z rąk tego człowieka, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu!

—Ach, Evanie, nawet nie mów takich rzeczy! Teraz, po tych wszystkich okropnych zdarzeniach! — wykrzyknęła z przerażeniem Jane.

—To były wypadki.

—Nie jestem tego taka pewna — odparła Jane.

—Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

—Nie, tylko tak się zastanawiam... Evanie, skoro jedziesz dzisiaj do Londynu spotkać się z tymi detektywami, to czy mógłbyś coś tam dla mnie załatwić?

—Oczywiście. A co?

—Idź do Foylesa i kup mi jakąś naprawdę dobrą książkę na temat magii.

Kiedy nazajutrz rano Poole wstąpił do domu Matta po Nicole, żeby ją zabrać do Walii, natknął się na bliźniaki. Właśnie pożegnały się ze swoją *au pair*, która wracała do Hiszpanii, uciekając przed atmosferą nagłych śmierci, jaka zawisła nad całą rodziną — napawały się teraz nieograniczoną swobodą. Chociaż lubili Konstancję, zmęczyło je opiekowanie się nią i uczenie jej angielskiego. Podjeżdżając pod dom swoim czarnym jaguarem, Poole zobaczył, że siedzą na progu i obserwują go uważnie.

—Dzień dobry — odezwała się Lucy, kiedy tylko wysiadł z auta. — Chcieliśmy panu pogratulować z powodu zaręczyn.

—Dzięki! — Poole uśmiechnął się do dziewczynki i spojrzał na chłopca, ale Timothy przyglądał się swoim palcom u nóg.

—Gdzie odbędzie się ślub? W kaplicy? — spytała z ożywieniem Lucy, porzuciwszy drętwo uprzejmy ton, w jakim go powitała.

Poole popatrzył na nią uważnie. Lucy przeszedł rozkoszny dreszczyk. Kiedy tak na nią patrzył, czuła się mądra i ważna.

— Słyszeliśmy, jak Agnes o tym opowiadała, ale nikomu o tym nie mówiliśmy, bo myśleliśmy, że to tajemnica — dodała.

Poole uśmiechnął się znowu.

— Bo to była tajemnica — powiedział. — I do pewnego stopnia jeszcze jest. Wieczorem pierwszego sierpnia nasze towarzystwo wydaje przyjęcie, które ma się odbyć w ruinach kaplicy. Chcemy tam również wystawić widowisko związane z historią towarzystwa, to należy do tradycji. Ponieważ Nicola i ja mamy się pobrać, tym razem widowisko będzie

miało formę ślubu, ale to nie będzie właściwy ślub, bo kaplica nie jest poświęcona. Ślub cywilny odbędzie się następnego dnia w odpowiednim urzędzie w Swansea.

— A czy możemy zobaczyć to widowisko? — zapytała natychmiast Lucy.

— Myślałem, że jedziecie do Cambridge z ciocią Jane.

— Och, ciocia Jane się rozmyśliła. Wracamy wszyscy do Colwyn — oznajmiła Lucy. — I bardzo się z tego cieszymy, prawda, Timmy? Przyjemniej jest nad morzem niż w środku dużego miasta.

— Wolałbym jechać do Cambridge — mruknął Timothy. — Nie myślałbym tam tak dużo o mamie.

— Tam jeszcze więcej byś o niej myślał — stwierdziła Lucy i powtórnie zwróciła się do Poole'a: — Będziemy mogli przyjść na to widowisko? — Poole znów rzucił jej to swoje szczególne spojrzenie. Podbiegła do niego i wsunęła mu ręce w dłonie. — Proszę! — błagała, otwierając szeroko swoje niebieskie oczy. — Proszę cię, Tristanie! Chyba mogę się tak do ciebie zwracać, skoro masz zostać moim przybranym szwagrem?

— Czemu nie? — odparł Poole i po raz kolejny pomyślał, jakim pięknym dzieckiem jest Lucy. Wymarzonym na ofiarę... — Czy chciałabyś być druzną w tym widowisku? — zapytał z uśmiechem.

— Ooooch! Mogłabym? — zapiszczała Lucy.

— Oczywiście, że mogłabyś, ale nikomu o tym nie mów, dobrze? Organizujemy to widowisko tylko dla grupki przyjaciół i nie chcemy tam tłumu gapiów.

—Nie powiem nikomuśieńku — obiecała gorliwie dziewczynka. — A czy Timmy też może być drużbą?

Poole przyjrzał się chłopcu, jego jasnym jak słońca włosom, spuszczo-
nym oczom i wrogo zaciśniętym ustom i zdecydował, że Timothy zupeł-
nie się do tej roli nie nadaje.

— Ty nie chcesz być drużbą, prawda, Tim? — zapytał lekko. — Jesteś
już na coś takiego za duży, co? Wiem, że chłopcy w twoim wieku tak
uważają.

W Timothy jednak obudził się duch przekory. Nie czuł się dobrze w
obecności Poole'a i uważał, że Lucy strasznie się ośmiesza.

—Jeżeli Lucy ma być drużną, to ja chcę być drużbą — powiedział ze
wzrokiem wbitym w ziemię.

—Dobrze — zgodził się Poole, nie mając najmniejszego zamiaru dopu-
ścić Timothy'ego do udziału w obrzędach. — Porozmawiamy o tym, jak
wrócimy do Colwyn, a teraz pamiętajcie: nikomu ani słowa. Jasne?

—Mamy pieczęć na ustach — oświadczyła Lucy z godnością.

Timothy nie odezwał się słowem. — Tim? — zapytał Po-
ole.

— W porządku, jeśli pan sobie tego życzy. Ale ja mam na imię Ti-
mothy, a nie Tim. Lucy jest jedyną osobą, której wolno mówić do mnie
zdrobniale.

—No wiesz, Timmy! — wykrzyknęła rozzłoszczona Lucy, kiedy Poole
zniknął w głębi domu. — On był dla ciebie miły, więc dlaczego go tak
potraktowałeś?

—Nie podoba mi się, że przymilasz się do niego jak piesek, który chce, żeby go wyprowadzić na spacer.

—Jeszcze nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził! — powiedziała Lucy i odeszła nadąsana, zostawiając Timothy'ego siedzącego na schodach.

Bliźniakom bardzo rzadko zdarzało się pokłócić, i Timothy poczuł, że jego nieufność wobec Poole'a zamienia się w jawną niechęć.

3

Kiedy w dzień później Evan przyjechał do Colwyn Court, wyszedł z domu pod pierwszym lepszym pretekstem i pobiegł do domku nad plażą. Został Jane samą w kuchni. Dzieci wybrały się do jaskiń, a Benedykt pojechał do Swansea uzupełnić zapasy papieru i innych artykułów piśmiennych.

—O, jak to dobrze! — powitała go Jane, zostawiając bicie śmietany i wprowadzając go do living-roomu. — Właśnie o tobie myślałam. Masz jakieś wiadomości?

—Tak, mam. — Evan wyglądał teraz dużo lepiej. Jego oczy nie były już tak nabiegłe krwią, a twarz ściągnięta ze zmęczenia. — Ale, proszę, oto twoja książka na temat magii. Przypuszczam, że będzie się dobrze

czytać, a poza tym zawiera wiele wiadomości. Mam nadzieję, że pochwalisz mój wybór.

—Czytałeś ją?

—Przejrzałem fragmenty dotyczące magii w Afryce i wydało mi się to dość rzetelnie przedstawione. Nie zwracałem już sobie głowy tymi bredniami o czarownicach, czarnych kotach i orgiach w Halloween. — Evan opadł na fotel i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął jakieś poskładane kartki papieru. — Otrzymałem też trochę danych na temat Poole'a, a moi detektywi wciąż jeszcze poszukują dalszych informacji, więc mam nadzieję, że będzie coś więcej. A póki co, posłuchaj: Poole ma trzydzieści pięć lat, urodzony jako Tristan Robert Poole w Cheltenham, w Gloucestershire...

—Proszę, jak przyzwicie — zauważyła Jane.

—...jedynak, ojciec inżynier, uczęszczał do przedszkola w Cheltenham, a potem do szkoły elementarnej w Wyndham Hall koło Salisbury...

—Przyzwiciej, niż można by przypuszczać.

—...w wieku dwunastu lat razem z rodzicami wyemigrował do Ameryki i uczył się w szkole średniej w San Francisco, a po jej ukończeniu zapisał się na kursy z psychologii i antropologii w Berkeley.

—Musi tu być jakiś haczyk — powiedziała podejrzliwie Jane.

—...po roku odpadł ze studiów w Berkeley, ale kontynuował naukę na mniejszej uczelni, w Las Corridas niedaleko Sacramento, gdzie specjalizował się w psychologii. Po uzyskaniu absolutorium przystąpił do pracy magisterskiej, a tematem tej pracy była... — Evan wziął głęboki oddech: — „Rola psychologii we współczesnych praktykach okultystycznych”.

—A nie mówiłam! — wykrzyknęła Jane z triumfem.

—Poczekaj! Posłuchaj jeszcze tego. W tym okresie „obiekt”, jak nazywają go detektywi, związał się z kilkoma grupami, niezbyt precyzyjnie określanymi jako ekscentryczne sekty religijne. Nie figuruje w rejestrach policyjnych, brał jednak udział w obrzędach magicznych, które dwanaście lat temu odbywały się pierwszego sierpnia w gaju pomarańczowym, kilka kilometrów na północny zachód od Los Angeles. Wydaje się, że pierwszy dzień sierpnia jest dla osób oddających się praktykom magicznym jednym z czterech najważniejszych dni w roku... nazywają go dniem Lammas. Jest to nazwa nadana przez wczesny Kościół anglikański świętu plonów, obchodzonemu właśnie tego dnia. Wówczas w Kalifornii ceremonia została przerwana przez policję, która aresztowała kilkoro jej uczestników pod zarzutem zakłócania porządku publicznego, dopuszczania się czynów lubieżnych i tak dalej, Poole jednak do nich nie należał. Znalaziono go nieprzytomnego i odwieziono do szpitala. Przez dziesięć dni pozostawał nieprzytomny i nie wiadomo było, co mu właściwie jest, w końcu jednak wyzdrowiał. Potem zaczął jeździć po całej Ameryce i zakładać filie tego cholernego towarzystwa. A że szło mu to doskonale, postanowił rozszerzyć swoją działalność na Anglię. W ciągu ostatnich trzech lat założył tu wiele takich grup. Najmłodszą z nich jest grupa w Colwyn Court. Wygląda na to, że ma jakieś własne dochody — moi detektywi nie znają jeszcze ich źródła, ale wkrótce to ustalą. Filie towarzystwa są finansowane ze składek członkowskich i różnych zapisów. Wszystko to jest legalne i poza wszelkimi podejrzeniami... — Evan przerwał i dodał po chwili: — Rodzice „obiektu” nie żyją, nie ma krewnych i

nadal pozostaje w stanie wolnym. — Spojrzał na Jane. — No i co o tym sądzisz?

— Uważam, że on wcale nie jest prawdziwym Tristanem Poole'em — bez namysłu odparła Jane. — Myślę, że w czasie obrzędów Lammas w tym gaju pomarańczowym dwanaście lat temu udało im się przywołać diabła, który wziął w posiadanie jednego ze swoich najbardziej obiecujących wyznawców.

—Nie żartuj, Jane!

—Mówię zupełnie poważnie.

— No cóż... — powiedział Evan z zakłopotaniem. — Przyznaję, że miałaś rację, kiedy podejrzewałaś Poole'a o uprawianie magii. Ja też myślę, że to jego towarzystwo jest tylko przykrywką dla jakiejś wydumanej religii, i na pewno uda się znaleźć na niego jakiegoś haka. Jeżeli rzeczywiście zajmują się magią, to niewątpliwie będą chcieli uroczyście obejść Lammas, a jeśli ich ceremonie wyglądają tak, jak podejrzewam, będę mógł wezwać policję, żeby ich złapała na gorącym uczynku, w trakcie orgii. Gdy tylko stąd wyjdę, zamierzam zobaczyć się z Poole'em, ostrzec go, że wiem, w co się bawi, i poradzić mu, żeby zostawił Nicole w spokoju, jeśli nie chce mieć kłopotów. Wydaje mi się, że mam wystarczające argumenty, aby nim potrząsnąć i podważyć jego prawa do Colwyn Court. I do Nicoli też.

—Och, Evan, bądź ostrożny!

—To Poole musi być ostrożny! Nie martw się, Jane, Poole jeszcze się dobrze zastanowi nad małżeństwem z Nicolą i pozostaniem w Colwyn Court! Sądzę, że znam jego słabe miejsce...

Poole wyliczał na podstawie wykresów różne konfiguracje astralne i badał, jakie siły będą mu sprzyjać pierwszego sierpnia. Był tak tym pochłonięty, że kiedy Evan zapukał do drzwi, nie raczył nawet zapytać „kto tam”, zawołał tylko:

—Proszę!

Drzwi otworzyły się.

—Chciałbym z tobą porozmawiać, Poole — usłyszał za plecami głos Evana.

Odwrócił się natychmiast. Zamknął książkę i wstał, zasłaniając sobą przed Evanem swoje wyliczenia.

—Może zejdziemy na dół? — zaproponował.

—Nie, wolę porozmawiać tutaj. Chciałbym ci tylko powiedzieć, że co się tyczy Colwyn Court, zabawa się skończyła. Wiem dokładnie, czym w wolnych chwilach zajmuje się twoje towarzystwo i jeżeli nie wyniesiesz się stąd jak najszybciej, to pożałujesz. Aha, i wyprowadzając się zostaw tu Nicole, bo ona nie wyjdzie za ciebie za mąż. Z pomocą policji dopilnuję, aby w tej części Walii zrobiło się dla ciebie za ciasno, zanim jeszcze zdążysz zahipnotyzować Nicole na tyle skutecznie, żeby poszła z tobą do

najbliższego urzędu stanu cywilnego. Mam nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno.

Zapadła cisza. Poole trzymał ręce w kieszeniach, żeby nie było widać jego zaciśniętych pięści.

—Doktorze Colwyn, przypuszczam, że zaszła jakaś pomyłka. Nie zrobiłem nic, co nie byłoby zgodne z prawem. Nie jestem notowany przez policję, a towarzystwo zachowuje się w sposób wzorowy i policja z pewnością to przyzna. I bardzo proszę, nie mówmy o mojej narzeczonej, bo nie sądzę, żeby taka rozmowa mogła przynieść komukolwiek korzyść.

—„Korzyść” to chyba pana ulubione słowo, szczególnie w odniesieniu do Nicoli — stwierdził Evan.

—Odmawiam rozmowy z panem na temat Nicoli.

—A na temat okultyzmu?

—Temat fascynujący, ale nie wydaje mi się pan osobą, do której by szczególnie trafiał — odpowiedział Poole.

—Słuchaj, Poole, sytuacja jest poważna. Wystarczy, że udowodnię, iż wykorzystujesz swoje hobby jako pretekst dla szerzenia dewiacji seksualnych...

—Doktorze Colwyn, dlaczego zawsze wyciąga pan problem mojej seksualności? — zapytał Poole. — Jako psycholog muszę stwierdzić, że pańska obsesja na temat moich związków z kobietami jest co najmniej niezdrowa. Czy aż tak bardzo jest pan niepewny siebie w tym względzie, że musi pan wciąż czepiać się człowieka, który nie ma z seksem kłopotów?

Osiągnął skutek dokładnie taki, jak zamierzał.

— Ach, ty... — parsknął Evan i z wściekłością zamachnął się pięścią.

Poole uchylił się przed spodziewanym ciosem i kiedy Evan stracił równowagę, uderzył go w szczękę. Evan nieprzytomny osunął się na podłogę.

— Agnes! — zawołał Poole, ale ona stała już w drzwiach.

—Nożyczki — zażądał.

— Proszę — podała mu trzymane w pogotowiu nożyczki, jakby była siostrą instrumentariuszką asystującą przy operacji.

Poole ukląkł, obciął Evanowi kosmyk rudych włosów i nie podnosząc głowy rzucił:

—Koperta.

Agnes podała mu otwartą kopertę. Włożył do środka obcięte włosy i oddał jej nożyczki.

—Będziemy działać od razu? — zapytała Agnes.

— Nie. Nic nam nie może zrobić przed Lammas, bo tylko sam by się wygłupił.

—A w wieczór Lammas?

—Jak ty lubisz się martwić — mruknął Poole. Uśmiechnęła się do niego. Leżący na podłodze Evan poruszył się i jęknął.

—Wraca do przytomności. Przynieś szklanekę wody

—polecił Poole swojej asystentce i ukląkł przy Evanie, który potrząsnął głową i ostrożnie uniósł się na łokciu.

—Jak tam z panem, doktorze Colwyn?

—Zostaw nas w spokoju, ty łobuzie — warknął Evan, usiłując wstać.

— Proszę, doktorze Colwyn, niech pan to wypije — powiedziała Agnes podając mu szklanekę wody.

— Muszę pana ostrzec, doktorze Colwyn — oświadczył Poole — że panna Miller była świadkiem całego zajścia i gdyby miał pan zamiar oskarżyć mnie o pobicie, bez wahania zezna na policji, że to pan zadał pierwszy cios.

Evan nie odpowiedział. Wypił wodę, podniósł się i skierował ku drzwiom.

—Dopadnę cię jeszcze — syknął przez zęby. — Zobaczysz. Jeszcze będziesz żałował.

—Doktorze Colwyn, pańska wrogość wobec mnie działa na pańską niekorzyść. Może się nawet odbić na pana najbliższych. Jeśli będzie pan starał się przysporzyć mi kłopotów, może być pan pewny, że ja również nie zawaham się przysporzyć ich panu.

—Co to znaczy? — zapytał Evan, odwracając się do niego.

—Cóż... pańska siostra jest osobą o bardzo kruchym zdrowiu — powiedział Poole. — Naprawdę bardzo kruchym.

Evan z trudem panował nad sobą.

— Próbuje pan...

—Ja tylko stwierdzam, doktorze Colwyn. Tylko stwierdzam, to wszystko.

—Nie jest pan powołany, żeby wypowiadać tego rodzaju stwierdzenia na temat zdrowia mojej siostry — warknął Evan. — Jeśli nadal będzie mi pan w ten sposób groził...

— Ja panu nie grożę, doktorze Colwyn, ja tylko stwierdzam — powtórzył Poole. — A przy okazji, czy będąc w Afryce słyszał pan może, że szamani potrafią uśmiercić człowieka posługując się jedynie siłą sugestii?

Zawsze wydawało mi się to wyjątkowo makabrycznym osiągnięciem. — Zamilkł na chwilę. — Pewni ludzie są szczególnie podatni na siłę sugestii, doktorze Colwyn — dodał.

Evan przełknął ślinę. Nagle zabrakło mu słów.

— Niech pan da nam spokój — powiedział Poole. — Jeśli pan będzie sprawiał trudności nam, to my będziemy sprawiać trudności panu. Jeśli da nam pan spokój, nikomu nic się nie stanie. Zrozumiał pan, co powiedziałem?

Evan kiwnął głową. Znowu zapadła cisza. Przerwał ją w końcu Poole.

—Może pan iść — oświadczył.

Evan wyszedł bez słowa. Bolała go głowa, oczy miał załzawione i czuł się tak, jakby wszystkie jego nerwy zostały zmiażdżone przez jakąś nieznaną siłę. Cały jego system obronny legł w gruzach. Mechanicznie, nie zatrzymując się nawet, żeby pomyśleć, wyszedł z domu i potykając się jak ślepiec powędrował ścieżką prowadzącą do domku nad plażą.

U Jane od razu poczuł się lepiej. Miała w sobie coś kojącego, mimo całego bałaganu, jaki wokół siebie stwarzała; może było to współczucie, chęć zrozumienia i emanujące z niej ciepło. Poczuł się nawet na tyle do-

brze, że zaczął zazdrościć Benedyktowi, iż ma przy sobie taką kobietę. Po tym, jak został potraktowany przez Nicole i Poole'a, odczuwał głęboką potrzebę kobiecej uwagi i zainteresowania swoją osobą i doszedł do wniosku, że towarzystwo Jane może uzdrowić jego mocno zachwianą miłość własną.

—Wcale nie jestem zaskoczona, że Tristan ci w ten sposób groził — powiedziała Jane. — To dowód wielkiej odwagi, że stanąłeś z nim twarzą w twarz. Ja zemdlałabym z przerażenia.

Evanowi nie przyszłoby do głowy, że zachował się odważnie, niemniej miło mu było, kiedy kobieta traktowała jego lekkomyślne zachowanie z tak wielkim podziwem. Uśmiechnął się do Jane.

—Tak o nim mówisz, jakby był diabłem wcielonym.

—Myślę, że jest — odparła Jane i sięgnęła po książkę na temat magii.

—Przecież chyba w to nie wierzysz!

—Owszem, wierzę. Naprawdę. Posłuchaj tylko: „Czarownice i czarownice tworzą grupy zwane zgromadzeniami, składające się z trzynastu osób, albo z dwunastu osób oraz kogoś uosabiającego diabła lub też samego diabła...”

—Och, nie ma wątpliwości, że bawią się w magię — powiedział Evan — jednak nie można traktować tego poważnie, Jane!

Ale ty potraktowałaś poważnie groźby Tristana co do Gwyneth, prawda? Posłuchaj zresztą dalej: „Jedną z dobrze znanych cech czarownicy lub czarownika jest obecność w ich pobliżu zaprzyjaźnionego zwierzęcia, demona towarzyszącego im pod postacią kota, psa, kreta, zająca, ropuchy... — Jane opuściła parę gatunków zwierząt i czytała dalej: — Czarny

kot jest najbardziej znanym symbolem magicznym, choć mogą to być koty najprzeróżniejszej maści — zdarzało się, że nie pogardzano nawet kotem białym..."

—W Colwyn Court nie ma teraz żadnych kotów — mruknął Evan. — Ale jest parę zajęcy w klatkach...

Mniejsza o zajęcy! — wykrzyknęła Jane, zbyt wzburzona, aby pozwolić mu skończyć. — A co z moim biednym Marble'em? Stracił na wadze i prawie już mnie nie poznaje. Każdego ranka wędruje do Colwyn Court i siedzi tam przez cały dzień... Evan, który uważał, że w sprawie swojego kota Jane jest raczej przewrażliwiona, zdecydował, że lepiej byłoby skierować rozmowę na inne tory.

—Przekaz na temat zaprzyjaźnionego zwierzęcia jest pewnie tylko czymś w rodzaju ludowej baśni — powiedział. — Na twoim miejscu po prostu zabrałbym Marble'a do weterynarza, jeżeli nadal będzie chudł. A co wyczytałaś tu na temat Lammas? Może nie doszłaś jeszcze do tego miejsca?

—Lammas... — wymamrotała Jane, pośpiesznie kartkując książkę, -
r— Ach tak, tutaj, proszę bardzo: „Każde zgromadzenie co pewien określony czas urządza sabat przez cały rok, jednak podczas najważniejszych dla okultystycznego kalendarza dni — a są nimi: drugiego lutego(Candlemas) — Święto Oczyszczenia, wigilia pierwszego maja (Noc Walpurgii), pierwszego sierpnia (Lammas) i trzydziestego pierwszego października, wigilia Wszystkich Świętych (Halloween) — zdarza się, że kilka zgromadzeń łączy się, by wspólnie celebrować obrzędy Kościoła Satanistycznego".

— Będą świętować Lammas, jestem tego pewien — powiedział Evan.
— Gdybym się nie bał, że Poole zaszkodzi Gwyneth, natychmiast pojechałbym do Swansea, żeby dać cynk policji.

— „Kościół Szatana przypomina Kościół Boży — czytała Jane, ledwie słuchając, co Evan mówi. — Jednak w Kościele Szatana wszystko stanowi dokładne przeciwieństwo tego, co znajdujemy w Kościele Bożym. Tak więc cnota staje się grzechem, a grzech cnotą”...

— I tak wezwę policję — mamrotał do siebie Evan.

— Złapię ich na gorącym uczynku.

— „Chrześcijańska msza porównywana jest do czarnej mszy, a chrzest do aktu nadania dziecku Znamienia Szatana, gdy przyjmowane jest do diabelskiej owczarni, natomiast ślubowi z panną młodą ubraną na biało odpowiada ceremonia z panną młodą w sukni czarnej”. Eva-nie, myślałam o tym całe rano... Jeszcze zanim zginęła Liza, bliźniaki opowiadały mi, że towarzystwo ma urządzić ślub w ruinach kaplicy na skałach, ale ja nie zwróciłam na to uwagi, bo sądziłam, że to jakieś ich fantazje. Teraz jednak jestem pewna, że to wcale nie były fantazje. Wydaje mi się, że musieli podsłuchać coś, co mówiła panna Miller albo może nawet sam Tristan. Jestem pewna, że zanim drugiego sierpnia Tristan weźmie ślub w urzędzie stanu cywilnego, pobiorą się zgodnie z obrządkiem Kościoła Szatana, w czasie ceremonii Lammas, pierwszego sierpnia po zachodzie słońca.

— Nie dopuszczę do tego! — krzyknął Evan. — Boże, jeżeli Poole spróbuje zrobić coś takiego...

Ale Jane znowu zaczęła czytać:

—„Przebieg sabatu bywa różny i wydaje się, że nie ma żadnej ustalonej formuły, choć jedna czy dwie cechy są znamienne. Należy do nich akt hołdu, kiedy każdy uczestnik zgromadzenia poprzez sprośny pocałunek składa hołd diabłu lub jego przedstawicielowi...” Może raczej opuszczę ten fragment, zanim zacznę się czerwienić... — wymamrotała Jane. — „Po zakończeniu obrzędów religijnych czarownice nacierają się tojadem, narkotykiem używanym w dawnych czasach i dającym złudzenie latania w powietrzu, stąd też pochodzi przekazywane w baśniach i w tradycji wyobrażenie czarownicy latającej na miotle, będącej z kolei symbolem fal-licznym...”

—Cholerni zboczeńcy! — warknął Evan. — Jane, musimy coś wymyślić. Musimy ich powstrzymać.

—„...po czym następują tańce i grupowa kopulacja” — ciągnęła Jane, nie słuchając, co Evan mówi. Wyglądała na zdziwioną. — Ale jak to może być, skoro zgromadzenie składa się z samych kobiet? — zapytała.

—Z pewnością zapraszają bratnie zgromadzenie męskie — stwierdził sucho Evan. — Najlepiej byłoby przyłapać ich w trakcie orgii i zgarnąć wtedy wszystkich pod zarzutem obrazy moralności czy czegoś w tym rodzaju. Musimy jakoś dać znać policji i zastawić na nich pułapkę.

—Jestem pewna, że Tristan by się o tym dowiedział — oświadczyła Jane czując, jak przechodzi ją dreszcz.

—Na pewno by się dowiedział.

—Mógłbym to zostawić na ostatnią chwilę, na pierwszego sierpnia rano.

—Ale co mógłbyś wtedy zrobić? Gdybyś pojechał do Swansea na policję i powiedział, że w Colwyn odbywają się jakieś magiczne obrzędy, to by ci po prostu nie uwierzyli!

—Uwierzyliby. Powiedziałbym im, że grupa hipisów zamierza urządzić tu orgię. Albo nie, mam lepszy pomysł... Mój ojciec zna emerytowanego głównego komendanta, a jak wiesz, głównemu komendantowi podlega policja w całym okręgu. Jestem pewien, że każdy taki komendant, nawet emerytowany, zawsze ma jakieś znajomości i może wpłynąć na kogo trzeba. Rano w dzień Lammas przejadę się do Milford Haven, żeby się z nim zobaczyć, i zmuszę go do podjęcia odpowiednich działań. Nawet gdyby Poole mnie śledził, to nie dopatrzy się niczego podejrzanego w fakcie, że odwiedzam starego przyjaciela mojego ojca.

— Znakomity pomysł — zgodziła się z nim Jane.

— Ja... Marble! Marble, nie drap farby, ty niedobry kocie! — Zerwała się na nogi. Kot stał pod zamkniętymi drzwiami wejściowymi i z irytacją uderzał w nie łapą, miaucząc głośno. — Chciałabym, żeby Marble'owi się polepszyło — powiedziała niespokojnie, wypuszczając kota na dwór. — Nie powinnam go tu zostawiać, kiedy jeździliśmy na pogrzeby do Surrey, ale obawiałam się, że mógłby uciec, gdybym go zabrała w jeszcze jedno obce miejsce, więc kiedy panna Miller zaofiarowała się, że się nim zajmie... Och, Evanie, czy myślisz, że kiedy nas nie było, panna Miller mogła go zamienić w takie zwierzę towarzyszące? Jest ostatnio dziwny, jakiś zmęczony, zupełnie nie ten sam kot...

— Jestem pewien, że to nie dotyczy Marble'a — stwierdził Evan. — Może trochę się przeziębził albo dolega mu wątroba. Zabierz go jutro do tutejszego weterynarza, to się uspokoisz.

Za drzwiami Marble przystanął nasłuchując, po czym, odebrawszy sygnał, zmobilizował całą swoją wyczerpującą się energię i zaczął powoli oddalać się w kierunku Colwyn Court.

6

Reszta lipca mijała leniwie, kolejne dni odpływały w przeszłość jak opadłe liście dryfujące z prądem wolno płynącej rzeki. Czas jednak niewiele znaczył teraz dla Nicoli. Wydawało jej się, że śni i że tylko przez Poole'a ma kontakt z rzeczywistością. Pomógł jej napisać listy z wymówieniem pracy i mieszkania, pojechał do Londynu, żeby zabrać jej rzeczy i załatwić sprawy z jej współlokatorką, tak aby nie była pokrzywdzona finansowo przez jej nagłą rezygnację z mieszkania. Również za namową Poole'a napisała do kilkorga krewnych i przyjaciół zawiadamiając ich o swoim zbliżającym się cichym ślubie, nie czuła jednak żalu, że nikt z nich na tym ślubie nie będzie obecny.

—Uważam, że ślub to sprawa osobista — oświadczył Poole — więc powinien być skromny i kameralny.

—No a to widowisko? — zapytała Nicola. — Przecież nie da się tak zrobić, żeby było małe i kameralne.

—Sądzę, że to widowisko powinno cię mile zaskoczyć — odparł z uśmiechem Poole. — Zobaczysz, że okaże się bardzo kameralne i osobiste.

Nicola przez cały czas zastanawiała się nad tą sprawą. Sam pomysł wydawał się fascynujący, ale jej wiedza o mającej się odbyć ceremonii była, mówiąc oględnie, niejasna.

—Tristanie — powiedziała rankiem trzydziestego pierwszego lipca — powiedz mi coś więcej o tym widowisku. Im częściej o nim myślę, tym bardziej wydaje mi się podniecające. To takie romantyczne, ślub w ruinach kaplicy, o zachodzie słońca! Jak mądrze to wymyśliłeś.

—Na pewno nie wydaje ci się to w złym guście?

—Nie, wcale nie! Podoba mi się tradycja ślubnego nabożeństwa, ale ponieważ nie jestem wierząca, więc naprawdę mnie nie obchodzi, czy kaplica jest konsekrowana czy też nie. A skoro i tak następnego dnia weźmiemy normalny ślub w urzędzie stanu cywilnego, to co za różnica?

— Znowu opalali się na plaży i kiedy mówiła, Poole rysował na piasku jakieś dziwne wzory, ona zaś przyglądała im się wsparta na łokciu. — Mam nadzieję, że nie będzie padać — powiedziała po chwili.

—Nie będzie — odparł i popatrzył na nią. — Wiesz, naprawdę powinnaś w coś wierzyć.

—Nic na to nie poradzę, że nie wierzę, a nie jestem na tyle obłudna, żeby udawać osobę religijną, którą nie jestem — oświadczyła Nicola. Odwróciła się na plecy i sięgnęła po okulary słoneczne. — Opowiedz mi

coś więcej o jutrzejszej ceremonii. Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak to naprawdę ma wyglądać. Czy nie powinniśmy zrobić jakiejś próby albo czegoś w tym rodzaju?

—Nie musisz się o to martwić.

—Dobrze, więc zdradź mi tylko jedno: dlaczego Ti-mothy nie może być drużbą? Lucy mówi prawdę, kiedy grozi, że nie będzie drużną, jeśli Timothy też nie będzie brał udziału w widowisku. Oni są wobec siebie bardzo lojalni.

—Lucy będzie drużną — powiedział Poole. — O to też nie musisz się martwić... Ale Nicki, kochanie, myślę, że powinniśmy porozmawiać na temat twojej wiary. Nie sądzę, abym mógł pogodzić się z faktem, że moja żona jest ateistką.

—Trochę już na to za późno — stwierdziła Nicola z rozbawieniem.

—Nicki, mówię poważnie. Świat to bezustanna walka pomiędzy siłami dobra i zła.

—Och, Tristianie! Czy to, co mówisz, nie jest przypadkiem trochę staroświeckie? — zapytała.

—Wątpisz w istnienie zła?

—No, przypuszczam, że w abstrakcyjnym sensie...

—Wątpisz w obecność zła jako wszechpotężnej siły metafizycznej?

—Nie wierzę w diabła, jeżeli to masz na myśli — odparła Nicola.

Zanim straciła świadomość, usłyszała jeszcze słowa Poole'a:

— Podczas jutrzejszej uroczystości nie życzę sobie ani takiej politowania godnej ignorancji, ani takiego żalostnego sceptycyzmu, moja droga. Oddaj mi swoją niewiarę i swoją wolę niewiary, i swoją pamięć niewiary, niechaj oczyszcze twoją duszę z najmniejszego śladu herezji...

I nagle słońce zagasło, gwiazdy zaczęły blednąć jedna po drugiej, a Nicola powędrowała skrajem czarnej, nie kończącej się nocy.

7

Nadszedł dzień Lammas.

Bezchmurne niebo odbijało się w połyskliwym błękicie morza. Ziemia lśniła jeszcze wilgocią po nocnym deszczu, ale już wstawało słońce i zalało świat migotliwym światłem.

„Wszystkie koty za płoty” — wymamrotała Lucy, gdy tylko się ocknęła. Ktoś ją kiedyś nauczył, że powiedzenie czegoś takiego zaraz po obudzeniu w pierwszym dniu nowego miesiąca przynosi szczęście. Spojrzała na zegarek przy łóżku. Dopiero szósta! Była zła, bo wiedziała już na pewno, że nie uśnie. Wstała z łóżka, poczłapała do okna i wyjrzała przez nie.

Przypomniała sobie, że to dzień ślubu Nicoli, tego tajemniczego ślubu. Żałowała, że nie weźmie udziału w tej ceremonii. Zastanawiała się, dla-

czego Timothy'emu nie pozwolono być drużbą. Wprawdzie nikt nie powiedział, że wobec tego ona sama nie może być druhną, ale po długiej walce wewnętrznej zdecydowała, że nie ma wyboru. Nie czułaby się w porządku, gdyby opuściła Timothy'ego w takiej sytuacji.

—Do licha z Timmym — powiedziała nagle głośno, przechylając się przez parapet.

W tym momencie usłyszała kota. Miauczał gdzieś na dole pod drzwiami. Wydawał się biedny i opuszczony.

—Poczekaj, Marble! — zawołała i cofnęła się do pokoju. Założenie szortów i wciągnięcie przez głowę swetra zajęło jej mniej niż minutę. Zasznurowała tenisówki i zbiegła na dół.

Marble jednak wcale nie chciał wejść do środka. Miauczał, spoglądał na nią, a potem odbiegł kawałek ścieżką, przystanął, by się obejrzeć, i znowu zamiauczał.

—Głupi kocie — powiedziała Lucy. — O co ci chodzi? Chodź tu!

Marble odsunął się.

Pewnie mnie zachęca, żebym za nim poszła, może chce mi coś pokazać, pomyślała zaciekawiona Lucy.

—Chodź do mnie, Marble — próbowała przywołać go, kot jednak znowu jej się wymknął i w długich susach pobiegł ścieżką. Poszła za nim.

Prowadził ją cały czas pod górę, w stronę zamku. Ucieszyła się widząc, jak jego białe futerko znika wśród szarych murów zamku. Teraz go złapie. Zagoni go w róg i...

Nagle przystanęła.

Marble nie był w zamku sam. Mościł się już w objęciach tego, któremu zaprzedał ciało i duszę, i mruczał tak głośno, że Lucy, stojąca o cztery metry od nich w jakiejś wyrwie w murze, słyszała to doskonale. Kiedy później usiłowała uprzytomnić sobie, co się wtedy działo, przypomniła sobie tylko Tristana Poole'a patrzącego na nią w ten swój szczególny sposób i mówiącego spokojnym głosem:

— Witaj, Lucy! Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jaki to dziś dla ciebie ważny dzień...

Kiedy po śniadaniu Evan przyszedł do domku, zastał tam zmartwioną Jane; posłała właśnie Timothy'ego, żeby przeszukał plażę.

—Cześć — powitał ją Evan. — Co się stało?

—Gdzieś nam zniknęła Lucy — powiedziała Jane. — Benedykt uważa, że po prostu wybrała się sama na jakąś wyprawę, więc nie powinnam się martwić, chyba że nie wróci też i na lunch, ale mimo to trochę się martwię. Nie przyszła na śniadanie, a to do niej zupełnie niepodobne.

—Nie mogła odejść daleko. Prawdopodobnie Timothy znajdzie ją na plaży — rzekł pocieszająco Evan.

—To samo mówił Benedykt... A jak tam w Colwyn Court?

—Wszystko w porządku. Ojciec w dobrym nastroju, czuje się nieźle, Gwyneth zaś słucha swojej nowej płyty, którą dostała z dzisiejszą pocztą.

—Dzięki Bogu i za to. Jedziesz teraz do tego komendanta?

—Tak. Tu masz jego nazwisko, adres i telefon na wypadek, gdyby coś się stało. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a nie przypuszczam, żeby miałyby nie pójść, kaplica zostanie otoczona przez policję, jak tylko zapadnie zmrok i ceremonie się rozpoczną.

—Doskonale — odparła Jane z ulgą. — Jeżeli będziesz w pobliżu jakiegoś telefonu, to proszę cię, zadzwoń do mnie w ciągu dnia i powiedz mi, jak idzie. Będę trzymała kciuki.

—Czy to mnie ustrzeże przed szatańskimi sztuczkami? — zapytał Evan ze śmiechem i w tym momencie drgnął z bólu.

—Co się stało? — zapytała przerażona Jane. Przyłożył rękę do głowy.

—Poczułem się, jakby ktoś walnął mnie młotkiem. — Zachwiał się na nogach. — Czuję... Boże, co za okropny ból głowy! Czuję się, jakbym... jakbym...

—Ewanie! — krzyknęła Jane. — Ewanie!

—...jakbym miał zemdleć — dokończył Evan z niedowierzaniem w głosie i Jane ledwie zdążyła go podtrzymać, kiedy nieprzytomny padał na dywan.

ROZDZIAŁ 8

1

W Colwyn Court Agnes konferowała właśnie z Poole'em w przylegającej do jego pokoju garderobie. Drzwi do szafy były otwarte, czarna skrzynka Poole'a także, a jej zawartość porozkładana była na długim stole.

—Sprawdźmy wszystko. Szaty? — odezwał się Poole.

—Są na dole, w prasowaniu.

—Kadzidło?

—Ruta, mirt, belladona, ziele lulka i owoc głogu. Wszystko przygotowane.

—Dobrze. Obrus na ołtarz jest, krucyfiks też... czy ktoś ofiaruje kiełich?

—Tak, Tristanie. Świece też już przygotowałam i upiekłyśmy chleb. Jeżeli chodzi o mszę, to z całkowitą pewnością mogę stwierdzić, że wszystko jest gotowe.

—A sukienka Lucy?

—Harriet właśnie ją wykańcza. Suknia panny młodej już gotowa. Nicola i Lucy śpią teraz w moim pokoju, na wszelki wypadek zamknęłam drzwi na klucz, ale obudzą się dopiero za parę godzin.

—Wspaniale. A co z jedzeniem i winem na zabawę po nabożeństwie?

—Wino jest w piwnicy, jedzenie będzie gotowe o drugiej. Chcemy je zanieść na miejsce w ostatniej chwili, w dwóch koszach, które ukryjemy gdzieś w ruinach. Wino dowieziemy około siódmej w dwóch wózkach do golfa. To wszystko jest już dopięte. A jak będzie z ofiarą, Tristanie? Udało ci się zdobyć baranka?

—Baranka przywiezie Ray. Rozmawiałem z nim przez telefon.

—Ray, ten farmer ze Stockwood? Jak miło będzie spotkać się znów z takim zgromadzeniem! Zapłacisz mu za baranka czekiem, czy mam posłać kogoś do banku?

— Dam mu czek. — Poole odwrócił się w stronę stołu i dotknął obrusa przygotowanego na wieczór. — Po południu pójdziemy do kaplicy i przygotujemy ołtarz. Przed ołtarzem chcę ustawić małe podium, potrzebne do aktu składania hołdu. Może wykorzystamy do tego tę moją czarną skrzynkę, jest mniej więcej dobrej wielkości... Ach, i przypomnij mi, żebyś wziął do kaplicy magnetofon i sprawdź, czy działa. Kupiłaś nowe baterie, prawda?

—Tak, Tristanie. Czy jeszcze coś?

Poole popatrzył na swoje książki i amulety, wziął do ręki nóż o błyszczącej rękojeści i pogładził pieszczotliwie jego ostrze palcami.

—Weź jeden albo dwa ręczniki. Będzie dużo krwi.

—Dobrze, Tristanie.

—A tak przy okazji, została tu plama krwi na podłodze jeszcze z czasu, gdy razem z Jackie pracowałem nad sprawą Morrisona. Trzeba to wyszorować.

— Oczywiście, Tristanie. Każę to zrobić od razu jutro rano.

Poole odłożył nóż na stół.

—Z Evanem Colwynem załatwiłaś? — zapytał.

—Tak. Jakies dziesięć minut temu Sandra zakończyła tę sprawę.

—Gdzie teraz jest?

—Gdzie jest...? A, rozumiem. Przypuszczam, że w jej pokoju. Tam miała pracować.

—Przynies go tutaj. I chcę, żeby drzwi od mojego pokoju były zamknięte. Nie możemy narażać się na ryzyko, że ktoś przez przypadek zacznie tu grzebać. A co zamierzasz zrobić z Walterem Colwynem i z Gwyneth?

—Walter jest teraz w gabinecie, a Gwyneth w swoim pokoju, każde zajęte swoim hobby. Harriet dosypie im po południu narkotyku do herbaty.

—Dobrze, w takim razie wszyscy wiemy, co mamy robić.

Zapadła cisza.

—Tristanie — odezwała się po chwili Agnes nieśmiało. — Wiem, że nie lubisz, kiedy cię pytam o twoje plany, ale...

—Wiedziałem, że nie wytrzymasz i o nie zapytasz! — odparł z uśmiechem Poole.

—Co będzie, kiedy jutro po ślubie cywilnym wyjedziecie w podróż poślubną?

—Pojedziemy na pięć dni do Londynu, a to wystarczy, żeby sporządzić testamenty i żeby Nicola wypisała mi czek na pięćset funtów, które niezwłocznie ci przekażę, żebyś mogła popłacić wszystkie długi i pokryć bieżące wydatki, dopóki nie wrócę.

—No a potem? — dopytywała się Agnes.

—Potem Nicola przekaże mi swoje pieniądze i po jakimś czasie dozna załamania nerwowego, co zmusi mnie do umieszczenia jej w jednym z tych sympatycznych domów opieki dla psychicznie chorych, dobrze sytuowanych osób. Pozostanie tam wystarczająco długo, abym nie musiał płacić podatku spadkowego od przekazanych mi przez nią pieniędzy, po czym dostanie nagłego ataku i pozostawi mnie jako pogrążonego w żałobie wdowca. A w międzyczasie dopilnuję naturalnie, żebyście były dobrze zabezpieczone i urządzone na stałe tu, w Colwyn Court.

—Wspaniale — westchnęła Agnes i dodała z wdzięcznością: — Jesteś dla nas więcej niż dobry, Tristanie.

—Lubię dbać o tych, którzy się na mnie zdają — odparł Poole i lekko przeciągnął palcem po ostrzu swego rzeźnickiego noża.

— Benedyckcie! — mówiła z rozpaczą Jane, gdy karetka z nieprzytomnym Evanem ruszała sprzed domku w stronę szpitala w Swansea. — Benedyckcie, proszę cię! Musisz mi uwierzyć! Evan odkrył, że towarzystwo... że towarzystwo zajmuje się praktykami magicznymi i że dziś wieczór organizują orgię, i że Nicola też będzie brała w tym udział, więc wybierał się do pewnego emerytowanego komendanta, żeby mu pomógł zawiadomić policję, ale wszystko trzeba trzymać w tajemnicy, bo Tristan Poole może zrobić krzywdę Gwyneth, a teraz właśnie dosięgli Evana i to my, Benedyckcie, musimy coś zrobić, nie możemy tu tylko siedzieć i zastanawiać się, jak masz powiedzieć Walterowi, że Evan tak nagle stracił przytomność, bo Walter nie uwierzy, jeśli mu powiesz, że to magia...

—Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nie uwierzył — stwierdził Benedykt. — Kochanie, daj spokój tej szmatławej książce, którą Evan ci przywiózł z Londynu. Od tej pory widzisz czarownice przyczajone w każdym kącie i przy każdej miotle kuchennej.

—Ale to musi być magia! Nie ma innego wytłumaczenia. Tristan z pewnością zrobił z wosku figurkę Evana, wbił jej w głowę szpilkę i...

—Nonsens — oświadczył Benedykt. — Magia zrodziła się z potrzeby wytłumaczenia pewnych zachowań odbiegających od norm ogólnie przyjętych w społeczeństwie. Dziś tego rodzaju zachowania nazywa się zaburzeniami emocjonalnymi, a tych, którzy na nie cierpią, posyła się do psychiatry, zamiast ich palić na stosie.

—Benedykcie, przecież zawsze mówiłeś, że to towarzystwo jest dziwne. No i miałaś rację. Jest dziwne. Używa magii jako pretekstu, aby urządzać orgie i uprawiać wszelkiego rodzaju seksualne... seksualne... — Jane zabrakło słów.

—Ja osobiście nie uznaję cenzury — oznajmił Benedykt — i mam bardzo liberalny pogląd na tego rodzaju rzeczy.

—Ale... chodzi o Nicole. Jest zahipnotyzowana... jest... Benedykcie, proszę cię, zrób to dla mnie... proszę cię... — błagała Jane, czując, że jej oczy napełniają się łzami. — Benedykcie, to nie są niewinne figle. To zupełnie co innego. To jest... to jest...

—No już dobrze, dobrze. Nie płacz — mruknął speszony Benedykt. — Nie zdawałem sobie sprawy, że traktujesz to wszystko tak poważnie! Co chcesz, żebym zrobił?

—Ach! — zawołała Jane i wybuchnęła płaczem, teraz jednak był to płacz ulgi. Kiedy się uspokoiła, zdołała powiedzieć: — Proszę cię, pojedź koniecznie do tego emerytowanego komendanta, tu jest jego nazwisko i adres. Evan dał mi je, zanim zemdleł. Powiedz mu, że zaraz po zachodzie słońca na skałach ma się odbyć orgia. Załatw z nim, żeby zorganizował obławę policyjną, niech otoczą kaplicę i złapią ich wszystkich na gorącym uczynku.

—Dobrze — odparł Benedykt, którego cała ta sprawa zaczęła wciągać. — Może tylko najpierw powiem Walterowi o Evanie.

—Ja powiem o nim Walterowi, ty już jedź, Benedykcie. Masz przed sobą ponad pięćdziesiąt kilometrów jazdy, więc proszę cię, kochanie,

sprawdź, czy masz dość paliwa, żebyś potem nie utknął gdzieś na pustkowiu.

—Sprawdzę — mruknął Benedykt. Otworzył drzwi frontowe i naraz jakby wrósł w ziemię. — O wilku mowa — powiedział. — Spójrz, kto tu idzie.

—O Boże! — krzyknęła cicho Jane.

— Bez paniki, kochanie, nie martw się. Ja... Jane, do licha, co ty robisz?

Jane zdjęła złoty krzyż, który nosiła na łańcuszku jako naszyjnik, i założyła go mężowi na szyję.

—Musisz to mieć — oświadczyła.

—Ale...

— Krzyż uchroni cię przed... och, Benedykcie, mniejsza o to! Jedź już, proszę cię! Jedź!

Benedykt dał za wygraną i wzruszywszy ramionami podszedł do swego austina. W tym samym momencie na ścieżce obok domku pojawił się Poole.

—Dzień dobry, profesorze! — zawołał. — Jakaś mała wycieczka?

—Tak — odparł Benedykt, nagle przejęty tajemniczą misją, która została mu powierzona. — Jadę tylko do Milford Haven, zobaczyć się ze starym przyjacielem Waltera, który był dawniej naczelnym komendantem policji tego okręgu.

To go trochę przestraszy, jeżeli rzeczywiście ma w planie jakieś małe figle, pomyślał zadowolony.

Jane poczuła, że krew odpływa jej z twarzy; zdawało jej się, że za chwilę zemdleje.

— Życzę przyjemnej zabawy — powiedział Poole i stał przyglądając się, jak Benedykt odjeżdża. Gdy samochód znikł mu już z oczu, odwrócił się do Jane. — Pani Shaw — zaczął — czy nie widziała pani przypadkiem doktora Colwyna? Usiłuję go znaleźć, ale jak dotąd bez skutku.

Sprawdza, pomyślała Jane. Mięśnie całego ciała miała napięte aż do bólu. W gardle jej zaschło.

— Kwadrans temu zabrano go do szpitala w Swansea — wykrztusiła. — Kiedy był tutaj, stracił przytomność i nie mogłam go ocucić.

—Stracił przytomność! Dla pani musiał to być okropny wstrząs! Czy pan Walter Colwyn wie już o tym?

—Nie, czekam na jakieś konkretne wiadomości ze szpitala.

—Więc nie martwmy go zbyt wcześnie... Zastanawiam się, co to mogło być. Mam nadzieję, że nic poważnego.

—Też mam taką nadzieję — powiedziała Jane. Sama była zdumiona spokojem, z jakim to mówiła. — Evan ostatnio nie dosypiał i nie dojeżdżał. I bardzo się martwił o pewne sprawy... i myślę, że dzisiaj to napięcie sprawiło, że jego organizm nie wytrzymał i nastąpiło załamanie. Przy najmniej tego zdania był tutejszy lekarz, który wezwał karetkę.

—Och — mruknął Poole z zatroskaną miną. — Tak, wiem, że ciężko przeżył wiadomość o zaręczynach Nicoli ze mną... — dodał. — Pani Shaw, przepraszam za kłopot, ale czy mogę prosić o szklankę wody? Jest tak gorąco...

—Naturalnie — Jane ruszyła do kuchni, dodając przez ramię: — Proszę, niech pan wejdzie.

Poole wszedł do living-roomu i zobaczył sportową marynarkę Benedykta przerzuconą przez poręcz fotela. Błyskawicznie przeszukał jej kieszenie, znalazł chusteczkę do nosa i schował ją, zanim Jane wróciła z wodą.

— Dzięki. — Wziął od niej szklanke i upił spory łyk.

— Teraz dużo lepiej. Pani wybaczy, pani Shaw, ale muszę już iść...

—Oczywiście — odparła Jane i patrzyła z ulgą, jak oddala się ścieżką od domku. Zaraz potem złapała swoją książkę o magii i opadła na najbliższe krzesło.

—„Woskowy wizerunek ofiary wykonuje się zwykle przy użyciu jej włosów albo ścinków paznokci" — czytała. — „Wyobrażenie twarzy powinno być możliwie wierne, a w poprzek piersi należy wyryć imię ofiary. Szpilkę albo drewnianą drzazgę wbija się tam, gdzie chce się wywołać ból; powinna się wówczas palić czarna świeca, a osoba rzucająca zaklęcie musi skupić całą swoją nienawiść na tym, kto ma być ofiarą. Skutki wbicia szpilki lub drzazgi mogą być różne — od nagłej śmierci, kiedy się przekłuje pierś w okolicy serca, do lekkiego bólu głowy przy ukłuciu w czaszkę. Można też spowodować powolną śmierć rozpuszczając model ofiary nad ogniem. Chcąc odwrócić czar przez usunięcie drzazgi, trzeba zachować wielką ostrożność, w przeciwnym razie bowiem może przejść na tego, kto go rzucał. Jedno ze źródeł zaleca, aby czarownik wyciągając drzazgę miał na sobie żelazny krzyż i recytował formułę Sator..."

Jane zamknęła książkę i wstała. Teraz była już pewna, że gdzieś w Colwyn znajduje się figurka Evana z wbitą w głowę drewnianą drzazgą i że jeżeli Evan ma odzyskać przytomność, ktoś musi najpierw znaleźć tę figurkę i usunąć drzazgę. Westchnęła, wyszła z domku i poszła ścieżką prowadzącą do Colwyn Court.

W Colwyn Benedykt zatrzymał samochód i zdjął złoty krzyż, który Jane zawiesiła mu na szyi. Przesady są dobre dla łatwowiernych kobiet, pomyślał ze złością.

Zanim znowu uruchomił silnik, siedział przez chwile" i zastanawiał się. Jane kazała mu coś zrobić, nim ruszy w drogę, jednak zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, co to miało być. Z rozdrażnieniem wpatrywał się w tablicę rozdzielczą samochodu. Miał poczucie, że było to coś całkiem oczywistego, ale całkiem umknęło mu z pamięci. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, wskaźnik paliwa pokazywał prawie zero, lecz chociaż to zauważył, jakaś niewidzialna siła sprawiła, że ta informacja nie doprowadziła ani do wyciągnięcia odpowiednich wniosków, ani do przełożenia ich na konkretne działanie. Wciąż rozdrażniony, wrzucił bieg, puścił sprzęgło i ruszył na zachód, do Milford Haven.

Timothy wciąż szukał Lucy. Był już na plaży, w zamku i w kaplicy, ale nigdzie jej nie znalazł. Wreszcie postanowił zajrzeć też do Colwyn Court. Może Lucy nie potrafiła oprzeć się pokusie wzięcia udziału w widowisku i ukryła się gdzieś w domu, bo czuła się zbyt winna, by móc spojrzeć mu w oczy?

Nie udało się to lato, stwierdził. Najpierw wypadek wujka Matta, potem... — prześlizgnął się myślą nad słowem „mama”, zanim łzy zdążyły napłynąć mu do oczu

— a teraz Lucy porzuciła go dla pana Poole'a. Wiedział, że pan Poole jest złym człowiekiem. Przypominał mu łotrzyków ze starych westernów, które czasem oglądał w telewizji. Można ich było łatwo odróżnić, bo zawsze nosili czarne ubrania. Czarny kolor oznaczał zło i Timothy wiedział, że pan Poole jest równie zły jak czarne charaktery w telewizyjnych westernach.

— Chciałbym, żeby tata tu był — powiedział głośno sam do siebie, wędrując ścieżką do Colwyn Court.

— Boże, proszę Cię, przyprowadź tatę szybko z powrotem. Nawet jeśli utonął wtedy, wskrześ go tak jak w Biblii i szybko sprowadź z powrotem. Lucy i ja polegamy na Tobie. Dziękuję Ci. Amen.

Chwilę stał nasłuchując, czy może Bóg odpowie, lecz jedynym głosem, który usłyszał, był ten dochodzący z najciemniejszego zakamarka jego umysłu, głos, którego nigdy nie chciał słuchać, bo mówił, że już nigdy ojca nie zobaczy.

To lato naprawdę było nieudane.

Kiedy doszedł do Colwyn Court, wślizgnął się do domu przez jedne z bocznych drzwi i za chwilę był już w pokoju Gwyneth, jednak ona też nie widziała Lucy.

— Zapytaj kogoś z towarzystwa — podsunęła — może oni ją widzieli.

Ale Timothy nie ufał towarzystwu. Towarzystwo było Wrogiem, narzędziem zła. Zostawiwszy Gwyneth, wkradł się do zachodniego skrzydła i zaczął zaglądać po kolei do wszystkich pokoi, aż podniecony zatrzymał się przed drzwiami zamkniętymi na klucz.

—Lucy! — syknął przez dziurkę od klucza, nikt się jednak nie odezwał.

Porwali ją! — pomyślał Timothy z wściekłością i przekręciwszy klucz, który Agnes zostawiła w zamku, wpadł do pokoju.

Była tutaj. Leżała po jednej stronie szerokiego łóżka, a Nicola po drugiej. Obie były tak głęboko pogrążone we śnie, że nawet nie drgnęły, kiedy wszedł.

—Lucy! — zawołał Timothy i potrząsnął nią. Ale Lucy oddychała miarowo i nie poruszyła się.

—Lucy, Lucy, obudź się, ty głupia wariatko! — Timothy potrząsnął nią znowu. — Lucy, co się z tobą dzie-je?

W tym momencie poczuł na ramieniu czyjąś rękę, czyjeś palce wbiły mu się w ciało. Jęknął z przerażenia i odwrócił się, żeby zobaczyć, kim jest jego prześladowca.

—No, przyjacielu, przypuszczałem, że będą z tobą kłopoty — powiedział wolno Tristan Poole. — Widzę, że będziemy musieli porozmawiać.

Jane także była w Colwyn Court. Zatrzymała się na chwilę w salonie, w górnej części domu, zastanawiając się, gdzie Poole mógł przeprowadzić swój magiczny eksperyment. W kuchni? Za bardzo na widoku. Zapewne w którymś z pokoi. Albo w piwnicy. Oczywiście, piwnica byłaby do tego celu idealna. Dużo miejsca, ciemno i zacisznie...

Zaczęła skradać się w stronę kuchni, a upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, szybko przebiegła obok zlewów i otworzyła drzwi piwnicy. Zaczęła po omacku szukać wyłącznika chcąc zapalić światło, ale bezskutecznie. W staromodnej piwnicy w Colwyn Court nie było światła elektrycznego. Zawróciła do kuchni, zabrała leżące na piecu zapalki i z powrotem zbiegła po schodkach do piwnicy. Jednak kiedy zaświeciła zapalkę, zobaczyła tylko rząd smukłych butelek z winem domowej roboty. W tym momencie drzwi od piwnicy zatrzasnęły się nagle, a przeciąg zgasił zapalkę. Jane aż podskoczyła. Otoczyła ją nieprzenikniona ciemność. Pośpiesznie zapaliła następną zapalkę, wbiegła po schodach i sięgnęła do klamki.

Przez kilka sekund nie mogła pojąć, co się stało. Drzwi od strony piwnicy nie miały klamki. Była w pułapce.

—Agnes, gdybyś zobaczyła, że pani Shaw daje swemu mężowi złoty krzyżyk, to jakie z tego wyciągnęłabyś wnioski? — zapytał Poole.

—Jak najgorsze. Pani Shaw ma dużo kobiecej intuicji. — stwierdziła Agnes.

—Na samym wierzchu w jej living-roomie leży książka na temat magii... Agnes, wydaje mi się, że coś trzeba będzie zrobić z tą kobietą. O profesora się nie martwię. Nie jest typem człowieka, który nosiłby krzyżyk, żeby sprawić przyjemność żonie, myślę więc, że nie stanowi poważnego problemu. Ale trochę niepokoi mnie pani Shaw. Zastanawiam się, co jeszcze może wymyślić.

—Jak uważasz, co powinniśmy z nią zrobić? Poole pomyślał przez chwilę.

—Nic ostatecznego — odparł wreszcie. — I tak zbyt wiele już tego było. Myślę jednak, że musimy mieć ją na oku.

—Oczywiście, Tristanie.

Znajdowali się w kaplicy i właśnie ustawiali długi, wąski stół, mający służyć jako ołtarz, kiedy przybiegła jedna z kobiet.

—Cały czas obserwowałam domek — mówiła z trudem łapiąc oddech — ale kiedy nikt tam nie dawał znaku życia, weszłam do środka i... no i nie było jej tam. Ani śladu po niej.

—To dziwne — mruknęła Agnes. — Gdzie mogła pójść?

—Prawdopodobnie szuka bliźniaków. — Poole doszedł do wniosku, że nie warto zajmować się takimi głupstwami, podczas gdy jest tyle ważniejszych spraw. — Zostawmy ją, mniejsza o to. I tak jest raczej nieszkodliwa i nie wydaje mi się, żeby miała nam przysporzyć jakichś kłopotów.

—Pewnie masz rację — zgodziła się Agnes — jednak mimo to wolałabym mieć ją na oku... A przy okazji, Tristanie, co zrobiłeś z chłopcem? Zahipnotyzowałeś go?

—Nie, był bardzo niepodatny. — Poole wzruszył ramionami. — Bywa tak czasem u dzieci. Ale nie musisz się nim przejmować. Później się nim zajmę. Na razie jest pod kluczem i nic nie może nam zrobić.

—A co będzie, jeśli pani Shaw przeszukuje teraz zachodnie skrzydło? Jeśli go znajdzie, możemy mieć problem. Pozwól mi zostawić kogoś w zachodnim skrzydle, Tristanie, niech uważa na panią Shaw.

—Rób, co uważasz za stosowne — odparł krótko Poole i powrócił do umocowywania za czarnym ołtarzem odwróconego krzyża.

O siódmej wieczorem dwie członkinie towarzystwa zeszły do piwnicy po wino.

Jane obserwowała to ze swej kryjówki za skrzynką w kącie. Szybko zorientowała się, że kobiety pracują w pewnym określonym rytmie: wynosi-

ły po cztery butelki naraz, a po dwóch minutach pojawiały się znowu. Kiedy zniknęły po raz trzeci, pędem rzuciła się w górę po schodach, wybiegła przez otwarte drzwi piwnicy i zaledwie zdążyła ukryć się za drzwiami zmywalni naczyń, obie kobiety wróciły po ostatnią porcję wina.

Gdy już były w piwnicy, Jane wyślizgnęła się na dwór i schroniła w pobliskiej szopie na drewno. Czuła, że lepi się od brudu i zbierało jej się na płacz. Dopiero po dłuższej chwili odzyskała panowanie nad sobą, spojrzała na zegarek i zaczęła myśleć, co powinna teraz robić. Był wieczór. Do zachodu słońca zostało nie więcej niż dwie godziny i Benedykt powinien był do tej pory spotkać się z głównym komendantem i zorganizować obławę policyjną. W pierwszym odruchu Jane chciała pobiec z powrotem do domku, do bliźniaków, które prawdopodobnie były już zaniepokojone jej nieobecnością, ale pomyślała o Nicoli. Przypuśćmy, że jakimś okropnym zbiegiem okoliczności Benedyktowi się nie udało... Evan z pewnością nadal leżał w szpitalu nieprzytomny, więc jeżeli misja Benedykta spaliła na panewce, to oprócz niej nie było już nikogo, kto mógłby pomóc Nicoli.

Jeszcze raz rzuciła okiem na zegarek. Mogła spróbować pobiec do domku zobaczyć się z bliźniakami, ale wiedziała, że musi znaleźć sobie dobrą kryjówkę w ruinach, zanim wszyscy tam przyjdą i ceremonia się rozpocznie. Z niepokojem starała się przekonać samą siebie, że kiedy bliźniaki nie doczekają się ani jej, ani Benedykta, przyjdą do głównego domu i Walter się nimi zajmie.

Wygramoliwszy się z szopy, pobiegła do kaplicy.

Timothy wyglądał przez okno pokoju Poole'a, w którym był zamknięty. Słońce zachodziło, a ludzie zgromadzeni na trawniku trwali w pełnym oczekiwaniu milczeniu, które Timothy'emu trudno było zrozumieć. Przyglądał się czasem przyjęciom wydawanym przez matkę i ojczyma, tam jednak wraz z upływem wieczoru zaproszeni goście stawali się coraz bardziej hałaśliwi, a nie jak tu, coraz cichsi. To przyjęcie było jakieś dziwne, wiedział o tym od razu, kiedy tylko przyjrzał się zebranym przed domem ludziom. Wszyscy byli ubrani na czarno. Młodsze kobiety miały na sobie suknie koktajlowe, starsze ubrane były bardziej tradycyjnie, a mężczyźni byli w czarnych garniturach. Licząc dla zabicia czasu głowy gości Timothy stwierdził, że oprócz członkiń towarzystwa Poole'a obecne były pięćdziesiąt dwie osoby, wśród których większość stanowiły kobiety.

Kiedy tak patrzył, zauważył, że członkinie towarzystwa jedna za drugą wchodzi przez balkonowe okno z powrotem do domu. W tym momencie uświadomił sobie, że nigdzie nie widać Poole'a. Zastanawiał się właśnie, co mogło się stać z jego wrogiem, gdy Agnes znowu pojawiła się na tarasie, przeszła przez trawnik i stanęła przed zgromadzonymi.

W jednej chwili wszystkie rozmowy się urwały.

Goście utworzyli cztery grupy po trzynaście osób i pełnym oczekiwaniem wzrokiem wpatrywali się w wyjście z domu. Timothy wyciągał szyję, żeby zobaczyć, w co się tak wpatrują, nic jednak nie widział. Zastanawiał się, czy nie otworzyć okna i nie wychylić się, żeby lepiej widzieć, lecz właśnie wtedy członkinie towarzystwa zaczęły parami wychodzić z domu i dołączać do swoich oczekujących na trawniku przyjaciół.

Za nimi szedł Poole.

Miał na sobie długą czerwoną szatę, a na głowie spiczastą czerwoną infulę i wyglądał zupełnie nie jak Poole, którego Timothy pamiętał, lecz jak ktoś' z zamierzchłych stuleci, kiedy ludzie żyli w bezustannym strachu przed piekłem, a świat pustoszyły zarazy, głód i wojny. Obok niego szła Nicola w powłóczystej czarnej sukni, promiennie uśmiechnięta. Za Nicolą kroczyła Lucy w szkarłatnych szatach, z jasnymi włosami spływającymi na plecy.

— Lucy! — wrzasnął Timothy, waląc pięściami w ramę okienną. Nikt go jednak nie usłyszał. Podciągnął się na rękach i przechylił przez parapet.

— Lucy! — krzyknął na całe gardło.

Teraz też nikt go nie usłyszał. Krzyczał raz po raz, ale wydawało się, jakby między nim a grupą osób na trawniku znajdował się dźwiękoszczelny ekran, nikt bowiem nawet nie spojrzał w jego kierunku. Kiedy w końcu wszyscy zniknęli w dali za ogrodem różanym, zawiedziony wdrapał się na krzesło stojące przy oknie i zastanawiał się, czy nie wyskoczyć.

Wyrzwał, zabrakło mu jednak odwagi i cofnął się. Było za wysoko. Zauważył, że parapet za oknem jest na tyle szeroki, że można na nim usiąść,

zobaczył też, że okno przylegającej do pokoju garderoby jest odrobinę uchylone.

Może z tamtego pokoju jest wyjście na korytarz, pomyślał.

Po paru sekundach już siedział na zewnętrznym parapecie, na wszelki wypadek starając się nie patrzeć w dół. Z przerażeniem zauważył, że szeroki parapet w pewnym momencie przechodzi w wąską listwę.

Mocno zacisnął oczy i zaczął powoli przesuwając się w stronę okna garderoby. Kiedy tam dotarł cały i zdrowy, stanął przed nim problem, jak podciągnąć się wystarczająco wysoko, aby dostać się do środka, w końcu jednak udało mu się chwycić ramy okiennej. Ale okno było zabezpieczone i nie chciało otworzyć się szerzej. Zaczynała go już ogarniać rozpacz, gdy nagle przytrzymujący okno haczyk odskoczył z trzaskiem. Timothy wgramolił się do garderoby i odetchnął z ulgą, ale zaraz potem odkrył, że z miejsca, w którym się znalazł, nie ma możliwości ucieczki: nie było drzwi na korytarz.

Poczuł łzy pod powiekami i tupnął kilka razy nogą, co było gestem dość dziecinnym. Zaraz jednak wziął się w garść, otarł oczy wierzchem dłoni i zaczął przyglądać się nowemu otoczeniu.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, było tekturowe pudełko stojące na stole w pobliżu drzwi.

W środku była plastelina, którą mógł się bawić godzinami, kiedy był małym dzieckiem. Lepił samochody, a Lucy laleczki. Od czasu do czasu rozdeptywała mu te samochody, a on wtedy mścił się, gniotąc jej lalki.

To dziwne, że pan Poole w tym wieku bawi się jeszcze plasteliną, pomyślał Timothy.

Ponownie zanurzył rękę w pudełku i wyjął mały przedmiot zawinięty w bibułkę. Gdy go rozpakował, okazało się, że trzyma w ręku zrecznie wykonaną laleczkę wielkości około dwudziestu centymetrów, o rudych włosach i w przepasce na biodrach, która mogła być zrobiona ze skrawka męskiej chusteczki do nosa. Laleczka miała wyryte na piersi słowa **EVAN COLWYN** i cienką drewnianą drzazgę pod dziwnym kątem wbitą w głowę.

Timothy wpatrywał się w to szeroko otwartymi oczami. Przypomniały mu się fragmenty opowieści krążącej wśród uczniów i przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Mówiła ona, jak wygrać bójkę ze szkolnym zabi-jaką, choćby nawet był większy i silniejszy. Ze szkolnego schowka trzeba było wykraść świecę, stopić ją, ulepić z niej figurkę wyobrażającą wroga, wbić jej szpilkę w pachwinę, po czym modłać się o zwycięstwo trzykrotnie powiedzieć: „Nienawidzę cię” — a następnie zakopać figurkę w ogrodzie, wieczorem, gdy już pogasną wszystkie światła. Wówczas wróg straci całą swoją siłę i niechybnie przegra walkę. Timothy nigdy sam tego nie próbował, ale każdy w szkole był zdania, że sposób jest skuteczny. Jego najlepszy przyjaciel nie miał na ten temat żadnych wątpliwości.

Timothy spojrzał na rudowłosą laleczkę, którą trzymał w rękach, wyciągnął drzazgę i odłożył ją na stół, a laleczkę starannie z powrotem zapakował w bibułkę.

Jane ukryta w ruinach zamku z rosnącym niepokojem obserwowała grupki osób gromadzących się w kaplicy. Na widok idącej za Nicolą Lucy poczuła, że zaraz zacznie krzyczeć, jednak zdołała się opanować. Dobrze wiedziała, że jeżeli teraz im przeszkodzi, to cały plan Evana będzie na nic i policja nie zdoła schwytać uczestników ceremonii na gorącym uczynku.

Musiała mocno wziąć się w garść, żeby nie poddać się panice; mimowolnie zaczęła się modlić.

Po chwili poczuła się lepiej. Harriet Miller odprowadziła Nicole i Lucy w ruiny, aby czekały tam na właściwy moment, na razie więc obie były bezpieczne. Jane zerknęła przez dziurę w murze i zobaczyła, że Poole podchodzi do ołtarza i gestem nakazuje Agnes, aby podała mu żagiew z paleniska płonącego na środku kaplicy.

Na ołtarzu paliło się sześć czarnych świec; Jane ze swojego miejsca widziała też odwrócony krucyfiks za ołtarzem i rozwieszoną na ścianie za krzyżem czarno-czerwoną tkaninę, przedstawiającą kozła depreczającego krucyfiks. Przed ołtarzem stała czarna kwadratowa skrzynka o wysokości jakichś czterdziestu centymetrów. Poole wystąpił naprzód i zwrócił się w stronę zebranych w kaplicy mężczyzn i kobiet.

Jane usłyszała, jak przemówił do nich swoim niskim, spokojnym głosem:

— Umiłowani bracia i siostry! Zgromadziliście się tu dzisiaj przed Naszym Obliczem, aby uroczyście świętować Lammas i pokłonić się Siłom Ciemności, które istnieją od początku czasu i będą istnieć do jego końca.

Przez łaskę Belzebuba, Astarota, Adrameleka, Baala, Lucyfera, Chamosa, Melchoma, Behemota, Dagona, Asmo-deusza i wszystkich innych Panów Ciemności...

Słońce znikło w ciemnym morzu. Ciemnogrnatowe niebo podświetlone było purpurowym blaskiem zachodu. Wokół panowała niesamowita cisza.

—...i wreszcie — mówił miarowym głosem Poole — przez Moją Łaskę, którą obdarzę swych wybranych w Świecie Wiecznym...

—Bądź pozdrowiony, Szatanie! — odpowiedziały jednocześnie sześćdziesiąt cztery głosy. Twarze zgromadzonych, tak jak ich głosy, wyrażały absolutną jedność. Wszyscy zdawali się w napięciu oczekiwać na jakiś czarodziejski napój, który by zaspokoił ich przemożne pragnienie.

—Przyjaciele! — zawołał Poole. — Przychodzę do was jako Jedyny Bóg, rozdawca wszelkich grzechów i występków, balsam dla pokonanych, skarbnik nienawiści i król wydziedziczonych.

—Bądź pozdrowiony, Szatanie!

— ...i każdemu z was daję teraz szansę okazania mi swej wierności przez uroczysty akt złożenia hołdu... Przyjaciele, rozpocznijmy nasze święte obrzędy, aby uczcić ten wielki dzień.

Zgromadzeni ocknęli się z pełnego zachwycenia bezruchu i zaczęli ściągać z siebie odzież. Poruszali się szybko i cicho; mężczyźni zostawiali garderobę po jednej, kobiety zaś po drugiej stronie kaplicy. Kiedy byli już rozebrani, znów połączyli się w jedną grupę i ustawili na wprost ołtarza.

Jane, choć nie była osobą pruderyjną, uważała, że ludzie na ogół lepiej wyglądają w ubraniu niż bez niego. Poczowała się zażenowana i zafascynowana jednocześnie. Ale zanim zdążyła zadać sobie pytanie, jak ci wszyscy ludzie w średnim wieku, otyli i brzydcy, mogli obnażać się publicznie, jej uwagę przyciągnął Poole. Zdzierał właśnie z siebie swoje czerwone szaty i ciskał je na bok. Zobaczyła, że przepasany jest wąskim paskiem, od którego aż do ziemi zwisa ogon spleciony ze zwierzęcej sierści.

— Niechaj się zaczyna ceremonia hołdu! — wykrzyknął i wskoczył na stojącą przed ołtarzem czarną skrzynkę, po czym odwrócił się do zgromadzonych plecami.

Jane znowu zaczęło się kręcić w głowie. Uświadomiła sobie nagle, że pomimo całej odrazy, jaką czuła do Poole'a, jego silne, muskularne ciało całkiem niezależnie od jej woli wzbudza w niej podniecenie.

Pierwsza miała składać hołd Agnes. Kiedy Jane przypomniała sobie fragmenty z książki o magii opisujące lubieżny pocałunek składany w czasie sabatów, poczuła, że się czerwieni.

— Mistrzu — powiedziała Agnes uroczystym tonem — przyrzekam cię kochać, wielbić, czcić i być ci posłuszną teraz i zawsze.

Po niej jedna za drugą składały hołd członkinie zgromadzenia z Colwyn Court. Potem przyszła kolej na członków czterech pozostałych zgromadzeń.

Kiedy wreszcie dopełniono ostatniego aktu hołdu, Poole znowu odwrócił się twarzą do zebranych i wznosił ręce ku gwiazdom.

— Moje błogosławieństwo niech będzie z wami wszystkimi!

—Bądź pozdrowiony, Szatanie!

—Niechaj wam towarzyszy powodzenie...

—Bądź pozdrowiony, Szatanie!

—...abyście pracowali nieustrudzenie w imię moje.

—Bądź pozdrowiony, Szatanie!

—Niechaj wszelka siła wam sprzyja, teraz i zawsze.

—Bądź pozdrowiony, Szatanie! Poole opuścił ręce.

—Przyjaciele, przygotujmy się do jednego z najbardziej wzniosłych momentów naszej duchowej łączności. Wzywam tu teraz moją główną akolitkę, aby dokonała wprowadzenia do tej uroczystości.

Lekki wiatr powiał od strony morza i przyniósł spoconej Jane nieco ochłody. Ujrzała, jak przed ołtarz wychodzi Agnes Miller.

—Najmilsi bracia — zaczęła drżącym głosem — za chwilę do kaplicy wprowadzona zostanie panna młoda i rozpocznie się ceremonia ślubna, a po niej, zgodnie z tradycją, złożymy naszym Mocom ofiarę, młodzieńką dziewicę, która otrzyma Znamię Mistrza i zostanie przyjęta do naszego Kościoła. Zastanawiacie się pewnie, dlaczego nie może tej roli spełnić panna młoda... Są tego trzy przyczyny: po pierwsze nie jest dziewicą, po drugie jej umysł jest pod względem duchowym zupełnie jałowy, po trzecie zaś nie przedstawia w tym świecie dla Mistrza większej wartości, gdyż czas, jaki jej tu jeszcze pozostał, jest krótki. Wybrana została na pannę młodą ze względu na swój wygląd — myślę, że wszyscy zgodzicie się ze mną co do tego, że jest piękna — jak i ze względu na wysokość swego posagu... Po ślubie i po nadaniu Znamienia nastąpią zabawy. Czy wszyscy jesteście gotowi?

Wśród zgromadzonych w kaplicy dał się słyszeć szmer aprobaty. Ich oczy znów zwróciły się na Poole'a.

—Przyjaciele — oznajmił Poole — przygotujcie się do Czarnej Mszy.

Wszyscy wstrzymali oddech. Na dany przez Poole'a znak dwie członkinie grupy z Colwyn Court zaczęły podsycać ogień pękami ziół. Kiedy już rozbuchał się na dobre i dym wzniosł się wysoko, Poole zawołał:

—Przyprowadźcie pannę młodą!

Woń dymu z paleniska dotarła także do Jane. Zrobiło jej się nagle słabo i nie wiedziała, czy to z powodu dymu, czy dlatego, że się po prostu boi i wie, że w promieniu kilku kilometrów od kaplicy nie ma żadnego policjanta.

Gorączkowo myślała, co robić dalej.

W tym momencie do kaplicy weszła Nicola, prowadzona przez Harriet Miller, i teraz kroczyła powoli w stronę ołtarza. Jane pomyślała z ulgą, że Lucy nadal jest bezpieczna.

— Przyprowadźcie zwierzę przeznaczone na ofiarę — rozkazał Poole.

Jeden z mężczyzn przyciągnął do ołtarza czarnego jak węgiel baranka, a Agnes podała Poole'owi rzeźnicki nóż.

Poole znów zaczął coś mówić. Jane była tak oszołomiona odurzającym dymem i perspektywą krwawej rzezi, że dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że przemawia w jakimś dziwnym, nieznanym języku.

Kiedy skończył, pochylił się, aby złapać baranka za postronek. Nóż błysnął złowieszczo w świetle świec, zwierzę wydało zduszony bek i ciężko opadło na ziemię.

Jane zwymiotowała, a gdy znowu podniosła głowę, zobaczyła, że Poole napełnia kielich krwią baranka. Tymczasem dwie osoby ze zgromadzenia układały na dwóch wielkich półmiskach coś przypominającego ciemny chleb.

Zebrani w kaplicy goście, podnieceni dymem unoszącym się z paleniska, zaczęli kołysać się w hipnotycznym transie, zawodząc monotonnie. Z każdą minutą śpiew ten przybierał na sile i podniecenie rosło.

Jane odwróciła głowę, kiedy zobaczyła, co Poole robi z zawartością kielicha i obu półmisek. Kilka kobiet patrząc na to zajęczało w ekstazie.

Muszę coś zrobić, pomyślała Jane, muszę to przerwać.

Agnes pomagała Nicoli rozebrać się i przyjąć odpowiednią pozycję na ołtarzu. Nicola wyglądała jak pogrążona w półśnie, na jej twarzy malowało się szczęście. Śpiew zebranych stał się jeszcze głośniejszy.

Jane wstała. A raczej zamierzała wstać, bo ku swemu przerażeniu odkryła nagle, że snujące się wokół dymy zaburzyły jej zmysł równowagi i coś złego stało się z jej nogami. Kiedy próbowała przejść parę kroków, upadła na kolana i właśnie wtedy pojęła, że zawiodła. Zawiodł Benedykt. I zawiodł także Evan.

Nikt nie miał przyjść Nicoli z pomocą.

Poole znów coś mówił, stawiając kielich na ciele swojej narzeczonej.

Pomóż nam, Boże, pomyślała Jane, pomóż nam wszystkim. Słowa modlitwy tłukły się jej w głowie, milcząco błagała, aby Bóg zadziałał tam, gdzie ludzie okazali się bezsilni. Boże, proszę, skończ z tym... Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Przy ołtarzu Poole pochylił się nad Nicolą i przeciągnął dłońmi po jej udach.

Wśród publiczności kilka kobiet przejmująco krzyknęło. Czarny dym unoszący się znad paleniska sprawiał, że światło było przyćmione, a płomyki czarnych świec drgały i chwiały się poruszane powiewem.

Święć się Imię Twoje, modliła się Jane, przyjdź Królestwo Twoje...

Poole nagle zastygł w bezruchu.

—Mistrzu...? — zaszeptała nerwowo Agnes, napotkawszy jego wzrok.

—Heretyk jest wśród nas! — rzucił nachylając się ku niej, a potem odwrócił się do zgromadzonych i wyciągnął ramiona w wezwaniu o ci-szę.

—Między nas wkradła się herezja! — zawołał.

Śpiew urwał się natychmiast. Wszystkie twarze wpatrywały się w niego z pełnym zdumienia niedowierzaniem.

Poole znowu odwrócił się do nich tyłem i ruszył do miejsca, gdzie skryła się Jane.

—Jest tam — powiedział.

Zgromadzeni zawyli jak stado głodnych wilków i rzucili się, aby wyciągnąć wroga z kryjówki, ale Poole ich powstrzymał.

— Niech przyjdzie tu do mnie ze swej własnej i nieprzymuszonej woli — oświadczył.

Jane poczuła, że odzyskała władzę w nogach. Podeszła do ołtarza, nie miała bowiem siły, żeby zrobić cokolwiek innego, a gdy tam doszła, upadła przed Poole'em na kolana.

— Agnes, zabierz tę kobietę na drugą stronę zamku — rozkazał Poole.
— Pani Shaw, proszę spojrzeć na mnie.

Jane spojrzała na niego.

— Proszę iść, gdzie Agnes panią zaprowadzi. I proszę tam pozostać, dopóki nie pozwolimy pani odejść.

Jane skinęła głową.

— Zapomni pani o wszystkim, co się tu wydarzyło. Jane znowu kiwnęła głową i wyszła, prowadzona przez Agnes.

Zgromadzeni podjęli śpiew i kołysali się, napięcie wzrastało, a Poole w oczekiwaniu na powrót Agnes stał przy bezwładnym ciele Nicoli. Po chwili jego asystentka wśliznęła się do kaplicy i zajęła swoje miejsce przy ołtarzu.

— Wszystko w porządku, Mistrzu — powiedziała. Poole uśmiechnął się i znów pochylił się nad ciałem Nicoli.

— W imię Szatana i wszystkich Władców Ciemności... — zaczął.

Nagle w wejściu do kaplicy błysnęło światło latarki. Wszyscy stłoczyli się w ciasnym szeregu, aby zagrozić intruzowi drogę, i wtedy dobiegł ich głos Evana:

— W imię Boże... **PRZESTAŃCIE!**

W następnej chwili lodowaty podmuch zgasił wszystkie świece, a wielki grom strzaskał latarkę Evana. W sekundę później wszędzie rozeszła się ostra woń siarki.

ROZDZIAŁ 9

1

Kiedy w jakiś czas później Evan odzyskał przytomność, przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, co się stało i gdzie się znajduje. Ale zaraz potem wszystko mu się przypomniało: jak obudził się i stwierdził, że jest w szpitalu, jak mimo protestów lekarzy wypisał się na własne żądanie, a potem wybiegł i złapał okazję ze Swansea do Colwyn. Gdy wdarł się na klify i wpadł do kaplicy, ujrzał nagie postacie oświetlone płomieniami czarnych świec i Poole'a zbliżającego się do czarnego ołtarza, aby osiąść Nicole...

— W Imię Boże... przestańcie! — wrzasnął, jeszcze raz przeżywając w pamięci tę scenę, i usiadł przebudzony.

Był sam. Dookoła panowały ciemności, w ruinach opuszczonej kaplicy pojękiwał łagodny morski wietrzyk.

Evan chwiejnie uniósł się na nogi i podszedł do ołtarza. Zawadził stopą o jakiś mały grzechoczący przedmiot. Podniósłszy go przekonał się, że

jest to pudełko zapalek. Zapalił jedną z nich i zobaczył, że obrus z ołtarza, zbezczeszczony krucyfiks, czarno-czerwona tkanina — wszystko zniknęło i jedynymi śladami tego, co działo się tu wieczorem był stół służący jako ołtarz i kałuża krwi baranka na posadzce. Nie było jednak zabitego baranka, nie było też bezwładnego ciała Nicoli. Evan zgasił zapalnię, wyszedł z kaplicy i powlókł się w stronę Colwyn Court.

Agnes czekała już tam na niego. Kiedy otworzył tylne drzwi, zobaczył ją siedzącą przy kuchennym stole, z twarzą pozbawioną wyrazu i dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

Była sama.

—Gdzie jest Nicola? — spytał szorstko Evan.

—Śpi w swoim pokoju. Nie musi się pan już o nią martwić. Obudzi się jutro nie pamiętając nic z wydarzeń ostatnich trzydziestu sześciu godzin i z bardzo mglistymi wspomnieniami minionego miesiąca. Myślę, że uzna pan jej stan za zadowalający. — Agnes podniosła się z miejsca. — Doktorze Colwyn, chcę popertraktować z panem na temat tego, co działo się wieczorem w kaplicy, i będę wdzięczna, jeśli poświęci mi pan teraz parę minut.

Evan popatrzył na nią pustym wzrokiem.

—Nie ma tu co pertraktować, panno Miller. Gdzie jest Poole?

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili Agnes odparła bezbarwnym głosem:

—Nie żyje.

Zauważył, że oczy ma czerwone od płaczu.

—Nie wierzę. — mruknął. — Proszę pokazać mi jego ciało.

Agnes wstała bez słowa i zaprowadziła go na górę, do pokoju Poole'a.

—Nie pozna go pan — powiedziała tylko.

—Dlaczego?

—Sam pan zobaczy.

Poole leżał na łóżku, ubrany w piżamę. Evan podszedł i spojrzał na człowieka, którego tak bardzo nienawidził.

Zobaczył łagodną, skłonną do uśmiechu twarz o rysach, które za życia wyrażały pewnie wewnętrzną pogodę. Zamknięte oczy skrywały już na zawsze swą tajemnicę, Evanowi jednak wydawało się, że widzi w nich lekkomyślność, która przed laty zawiodła tego człowieka do gaju pomarańczowego w Kalifornii na obchody Lammas, gdzie ofiarował swoje ciało siłom ciemności.

—Ma pani rację — rzekł do Agnes. — Nie poznaje go-

—On zmartwychwstanie — oświadczyła Agnes i Evan pojał z przerażeniem, że mówi nie o Poole'u, lecz o swym Mistrzu. — Odrodzi się w kimś innym. Historia Tristana Poole'a dobiegła końca, ale historia innego, nie znanego jeszcze człowieka właśnie się zaczyna. — Znowu spojrzała na Evana. — Muszę porozmawiać z panem, doktorze Colwyn.

—Najpierw pójde do Nicoli — odparł Evan i przed wyjściem z pokoju sprawdził jeszcze dla porządku puls Poole'a.

Nicola pogrążona była w głębokim śnie w swoim pokoiku w głównej części domu. Zbadał jej tętno, przyłożył dłoń do czoła i uniół powiekę.

—Jest pod działaniem narkotyków — stwierdził.

—Jutro już będzie czuła się dobrze, doktorze Colwyn — rzekła Agnes. — Jeśli oczywiście nie zacznie pan robić problemów.

Znowu zapadła cisza.

—Dobrze. Porozmawiajmy — zgodził się wreszcie Evan.

Wrócili do kuchni i usiedli po przeciwnych stronach stołu, przyglądając się sobie nawzajem.

—Jakie są pani warunki? — zapytał po chwili Evan.

—Zniszczymy umowę dzierżawną, opuścimy Col-wyn Court i nigdy więcej nie pokażemy się panu na oczy. Nicola będzie całkowicie uleczone na ze swej miłości do Tristana... w chwili śmierci stracił nad nią swoją moc... i pozostanie jej tylko mgliste wspomnienie tej historii. Pański ojciec i siostra również obudzą się jutro z narkotycznego snu... na pewien czas trzeba było usunąć ich z drogi. A pani Shaw nie okaże się świadkiem, na którego relacji można by polegać. Także Lucy nie będzie pamiętać ceremonii, może pan być jednak spokojny, że nic jej się nie stało. Co zaś do Timothy'ego... — Agnes zagryzła usta — miałabym wielką ochotę zabić tego dzieciaka i z łatwością mogłabym to zrobić — powiedziała w końcu — jednak ze względu na tych, którzy są ode mnie zależni, dam mu spokój. Ale i on nie będzie miał dla pana znaczenia jako świadek, bo przez całą ceremonię zamknięty był w Colwyn Court.

—Innymi słowy — podsumował Evan — chce mi pani powiedzieć, że nikomu nic się nie stanie i dacie nam spokój, jeśli my wam damy spokój i nie włączymy w to policji. Jeśli jednak będę na tyle głupi, aby was oskarżyć, okaże się, że nie mam świadków ani dowodów na nic więcej niż tylko wyuzdane, nieprzyzwoite przyjęcie, które samo w sobie nie jest przecież przestępstwem. Prawda?

—Dokładnie tak — potwierdziła Agnes. — Wolałabym jednak, aby nie wnosił pan skargi na policję. Jest pan lekarzem, osobą szanowaną i pańskie słowo też będzie miało pewną wagę. Dlatego, żeby uniknąć kłopotów, zgadzam się na tak duże ustępstwa.

—Kiedy opuścicie Colwyn Court?

—Da nam pan na to czterdzieści osiem godzin? Myślę, że to powinno wystarczyć.

—Wcześniej bym was nawet nie wypuścił. Muszę być zupełnie pewny, że wszyscy są już zdrowi.

—Będą — zapewniła Agnes.

—Dobrze więc — oświadczył po chwili milczenia Evan. — Przyjmuję te warunki. Ja nic nie powiem policji, a pani spełni swoje obietnice.

—Dziękuję, doktorze Colwyn — odparła.

—W porządku. A teraz proszę mi coś powiedzieć... Wie pani oczywiście, że dziś rano straciłem przytomność i musiano zabrać mnie do szpitala. Przypuszczam, że to wasza zasługa.

—Owszem.

—Czy waszą zasługą jest również moje niezwykle uzdrowienie?

—Nie, za to może pan podziękować Timothy'emu. Ten obrzydliwy dzieciak tak nieostrożnie zdjął z pana czar, że przeszedł on na Sandrę, która go rzuciła; w tej właśnie chwili dwie z dziewcząt próbują przywrócić ją do przytomności. Zemdląła w czasie ceremonii składania hołdu.

—Nie bardzo rozumiem. Czy to znaczy...

—Ach, niech pan sobie zajrzy do książki Jane Shaw o magii — syknęła ze złością Agnes. — Dlaczego niby mam to panu tłumaczyć?

—Czy na swoim koncie macie jeszcze dużo tego rodzaju... osiągnięć?
— zapytał Evan po chwili.

Agnes wzruszyła ramionami.

—Oczywiście spowodowaliśmy również śmierć Lizy i Matthew Morri-
sona. Właściwie ukierunkowane moce są w stanie bardzo wiele zdziałać.
A poza tym w obecności Mistrza wszystko jest możliwe.

—Ale nie wtedy, gdy ktoś zawoła: „W Imię Boże, przestańcie!” —
stwierdził sucho Evan.

—Młody człowieku, chyba nie sądzi pan, że właśnie to zabiło Tristana,
prawda? — powiedziała Agnes.

—Co więc go zabiło, u licha?

—No cóż, gwoli ścisłości muszę przyznać, że pańskie wystąpienie
odegrało tu swoją rolę — wyznała Agnes niechętnie. — Zniszczył pan
moce spajające nasze zgromadzenie, działając na nie z ogromną przeciw-
stawną siłą. Wszyscy chyba na ponad minutę straciliśmy przytomność.

—Pamiętam odgłos grzmotu...

—Dziwi to pana? Pański okrzyk miał skutek podobny do tego, jakby
ktoś wystrzelił kulę armatnią prosto w szybę sklepu z porcelaną.

—Ale co zabiło Poole'a?

— Tylko ciało zostało unicestwione — odparła Agnes. — Zniszczono
tylko kruchą, śmiertelną powłokę. Tylko to.

— Ale...

— Doktorze Colwyn, niewątpliwie nie jest pan wyznawcą wiary moje-
go Kościoła ani żadnego innego, chociaż muszę przyznać, że jak na scep-
tyka ma pan niezwykłą zdolność przyjmowania tego, co niepojęte. Ale

proszę nie zadawać zbyt wielu pytań. Dziś wieczorem przeżyłam wielki wstrząs, załamały się wszystkie moje nadzieje na przyszłość, i prawdę mówiąc nie mam ochoty dłużej z panem rozmawiać. Mogę panu tylko powiedzieć, że magię pokonuje się magią, choć często bywa to bardzo niebezpieczne. A teraz, niech pan wybaczy... Czy ktoś dzwoni do drzwi?

— Tak. Kto to może być?

— Ach, to prawdopodobnie profesor Shaw z policją — stwierdziła Agnes ze znużeniem. — Tristan spowodował u profesora Shawa pewne zaburzenia pamięci, ale kiedy umarł, profesor z pewnością otrząsnął się ze swojej częściowej amnezji... Czy mógłby pan już to sam z nimi załatwić? Jestem bardzo zmęczona i nie mam ochoty nikogo już dzisiaj widzieć.

— W porządku, porozmawiam z nimi — obiecał Evan. Agnes wyglądała w tej chwili jak pani domu w średnim wieku, skarżąca się na nadmiar zajęć. Poczuł dla niej nawet współczucie. — Załatwię, co trzeba. Dobranoc, panno Miller.

— Dobranoc, doktorze Colwyn — odparła Agnes, a jego współczucie rozwiało się, gdy dodała jeszcze zimno i z pogardą: — Proszę nie zapomnieć o naszej umowie, dobrze? Bo jeśli nie, wtedy na pewno zabiję pańską siostrę. Potrafię to zrobić nawet bez Tristana.

Dzwonek u drzwi odezwał się znowu, ale Evan stał nieruchomo wpatrując się w Agnes. Jej zielone oczy były równie nieprzeniknione jak oczy kota. Cała jej pulchna postać, zdawałoby się tak sympatyczna, teraz wyrażała groźbę.

— Do widzenia, panno Miller. — Evan odwrócił się gwałtownie i poszedł do holu otworzyć drzwi.

2

—Więc przyjechaliśmy — opowiadał Benedykt Jane następnego ranka. — Nigdy w życiu nie było mi jeszcze tak głupio. Powitał nas Evan, zdrowy jak rydz, opowiadając, że w ruinach zamku odbywało się przyjęcie, ale właśnie się skończyło i wszystko jest w porządku. Policja poniuchała tam trochę i nie znalazła nic prócz dziwnych znaków na ziemi, które mogło zrobić jakieś dziecko. Oczywiście kiedy usłyszeli, że jest to ulubione miejsce zabaw bliźniaków, byli przekonani, że... Kochanie, o co ci chodzi? Nie możesz mieć pretensji, że złoścą mnie te wszystkie przesady i gadania o magii! Wiedziałem od razu, że to fałszywy alarm.

—Ale co działo się z tobą? — zapytała Jane. — Dlaczego tyle czasu zajęło ci sprowadzenie policji? Co się zdarzyło w drodze do Milford Haven?

—No cóż, to było coś zupełnie niezwykłego — odparł Benedykt czyszcząc okulary. — Nagle, gdzieś w szczerym polu, całe kilometry od jakiegokolwiek miejscowości zabrakło mi benzyny...

—Benedykcie, zdjąłeś z szyi mój złoty krzyżyk, prawda?

—...i w tym momencie poczułem się jakoś słabo, więc postanowiłem się zdrzemnąć — ciągnął Benedykt nie odpowiadając. — Później parę godzin trwało, zanim udało mi się złapać okazję do najbliższej stacji ben-

zynowej, a jak już tam dojechałem, to nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie zostawiłem samochód...

—Moje biedactwo — uzalila się nad nim Jane, bo wyglądał na zmieszanego i pełnego skruchy. — No, ale wszystko się szczęśliwie skończyło. Właśnie rozmawiałam z Evanem, który powiedział, że towarzystwo jutro wyprowadza się z Colwyn Court, bo pan Poole zmarł nagle zeszłej nocy, więc...

—Wielki Boże! — wykrzyknął Benedykt. — Taki młody człowiek? A co było przyczyną śmierci?

—Evan wezwał tutejszego lekarza i wspólnie orzekli, że to atak serca.

—O, do diabła — mruknął Benedykt i umilkł. Po chwili zapytał: — A co działo się w kaplicy? I co ty robiłaś, kiedy odbywała się tam ta twoja rzekoma orgia?

—Nie uwierzyłbyś mi, gdybym ci opowiedziała — odparła Jane, po czym dodała z żalem: — A poza tym bardzo mało z tego pamiętam...

—Dlaczego?

—Ach... wygląda na to, że wszyscy wokół nagle zaczęli cierpieć na amnezję. Wszyscy oprócz Timothy'ego i Evana...

Marble śpiący dotąd za kuchennymi drzwiami przebudził się na dźwięk ich głosów i ostrożnie otworzył jedno różowe oko. Kiedy odkrył, że jest sam, otworzył także drugie oko, rozczapierzył pazury i przeciągnął się. Już od dawna nie miał dość energii, żeby się tak właśnie przeciągnąć, bo od dłuższego czasu czuł się przytłoczony ciężarem niemal ponad siły. Teraz to brzemie nagle znikło. Marble, który miał mały mózdzek i krótką pamięć, nie dociekał przyczyn swojej poprzedniej słabości. Usiadł, umył

sobie łapki i pomyślał o swoim żołądku. Poczuł się przeraźliwie głodny. W paru susach wskoczył do kuchni i zaczął ocierać się o nogi Jane, głośno miaucząc i żądając dla siebie jej wyłącznej uwagi.

—Wygląda dziś znacznie lepiej — zauważył Benedykt. — Znowu zachowuje się tak, jak dawniej.

—To dlatego, że Tristan nie żyje.

—Kochanie, co ty jeszcze wymyślisz?

—W porządku, zapomnijmy w takim razie na chwilę o Tristanie Poole'u i o towarzystwie — powiedziała Jane. — Ale jest pewna sprawa, o której chciałabym z tobą porozmawiać... Bardzo mnie to martwi...

—No dobrze — odparł z ulgą Benedykt. — Zapomnijmy o tym wczorajszym pechowym wieczorze wraz z wszelkimi towarzyszącymi mu drobnymi tajemnicami. Co więc cię tak martwi?

—Chodzi o bliźniaki, kochanie. Wiesz, Liza nie zostawiła testamentu, więc dzieci oficjalnie nie mają opiekuna i widzę, że czują się okropnie samotne i zagubione. Tak się martwię o to, co z nimi będzie! Czy myślisz... że może... moglibyśmy...

—Oczywiście. To wspaniały pomysł — odparł Benedykt.

—Wiem, że nasz dom w Cambridge będzie o wiele za mały, ale...

—Ja i tak właściwie zaczynałem już go mieć dość — stwierdził Benedykt.—Byłoby przyjemniej mieć większy dom i wydaje mi się, że moglibyśmy sobie na to pozwolić bez zbyt wielu wyrzeczeń. Powiem ci, co zrobimy... Zaraz po powrocie zaczniesz rozglądać się za nowym domem, a ja porozmawiam z adwokatem i dowiem się, jak załatwić sądowe

przyznanie nam opieki nad dziećmi, oczywiście jeżeli bliźniaki będą tego chciały. Jesteś pewna, że ten pomysł im się spodoba?

—Myślę, że już teraz uważają to za całkiem oczywiste — odparła Jane i uśmiechnęła się do męża przez łzy.

3

— Najdziwniejsze z tego wszystkiego jest to — mówiła Lucy do Timothy'ego, kiedy siedzieli na plaży tego samego ranka i patrzyli na przyływ — że nie pamiętam nawet dokładnie, jak Tristan wyglądał. Wydawało mi się, że wygląda jak tatuś.

—Nie był ani trochę podobny do tatusia!

—Och, Timmy, daj spokój — powiedziała z irytacją Lucy — przecież i tak nie pamiętamy tatusia. Gdyby nie te fotografie, które miała mama, wcale nie wiedzielibyśmy, jak wyglądał. I nigdy już się nie dowiemy, jaki był.

—On może jeszcze wrócić — mruknął Timothy.

—Przecież nie wierzymy w to tak naprawdę — odparła Lucy. — Tylko tak sobie wyobrażaliśmy.

Timothy w milczeniu przełknął ślinę.

—To wszystko jest bardzo smutne, ale mogłoby być gorzej — stwierdziła Lucy. — Wiesz, co nasza kucharka zawsze mówiła w trudnych sytuacjach? „Wszystko ma swoje ciemne i jasne strony, wybierajcie więc zawsze te jasne”.

—Nie rozumiem, jak mogłoby być jeszcze gorzej — oświadczył Timothy z uporem.

—Nie bądź głupi, Timmy. A gdyby tak nie było cioci Jane? — Lucy ziewnęła i palcem od nogi narysowała na piasku pięciokąt. — Wiesz, co to jest? — zapytała wskazując rysunek. — To zły znak. Może być dobry, ale kiedy opiera się na jednym wierzchołku, a dwa wskazują ku górze, wtedy symbolizuje zło. Gwyneth mi to powiedziała. Słyszała o tym od Tristana.

Timothy jednym ruchem pięty zatarł pięciokąt.

—Chcę pogrzebać to zło i zapomnieć o nim. Urządźmy mu pogrzeb i skończmy już z tym.

—W porządku — zgodziła się Lucy. — Przecież właśnie po to przyszliśmy na plażę, prawda?

—Masz tu łopatkę — powiedział Timothy. — Zaczynamy.

Zaczęli kopać w piasku duży prostokątny dołek.

—Uuuh — wysapała Lucy po jakichś dziesięciu minutach. — Już chyba jest dość głęboko?

—Chyba tak. — Timothy otworzył tekturowe pudełko, które przynieśli ze sobą na plażę, i ostrożnie wyjął z niego zrobioną z plasteliny figurkę mężczyzny. Miała ona wyryty w poprzek piersi napis **T. POOLE** i ubrana była w skrawek materiału, który Timothy wyciął z jednego z garnitu-

rów wiszących w szafie garderoby Poole'a. Drzazga, przedtem wkluta w głowę figurki przedstawiającej Evana, przebijała teraz lewą stronę klatki piersiowej plastelinowej figurki w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce.

—Wciąż nie wiem, jak ty to wymyśliłeś — powiedziała Lucy z podziwem. — Skąd wiedziałeś, co trzeba zrobić?

—Czy w tej twojej głupiej żeńskiej szkole niczego cię nie uczą? — zapytał Timothy z politowaniem.

—Ale co dokładnie zrobiłeś? — chciała wiedzieć Lucy.

—Wziąłem tę drzazgę i powiedziałem: „Boże, proszę Cię, spraw, żeby Tristan Poole umarł, bo jest nikczemny i zły, i myślę, że gdybyś go spotkał, na pewno by Ci się nie spodobał” — odparł Timothy. — Później na wszelki wypadek, gdyby jednak Bóg uważał, że pan Poole mimo wszystko nie jest taki najgorszy i nie chciałby go zabić, powiedziałem: „Jeżeli mimo to chcesz go ocalić, to ja się zgadzam, bo wiem, że widocznie masz po temu powód. Dzięki Ci. Amen”. I wtedy przebiłem mu serce drzazgą, a resztę pozostawiłem Bogu. Wydawało mi się, że załatwiłem wszystko tak jak trzeba.

—Ale czy to znaczy, że Bóg zabił Tristana? Myślałam, że Bóg nikogo nie morduje.

—Może Bóg wypożyczył do tego celu jakiegoś złego ducha z piekła — oświadczył Timothy beztrąsko.

—A więc zło zabiło zło. To dobrze — stwierdziła Lucy z zadowoleniem i spojrzała na figurkę wyobrażającą Poole'a. — Zaczynamy?

—Tak — odparł Timothy.

Ułożyli figurkę na dnie dołka w piasku i przyglądali jej się przez chwilę.

—Spoczywaj w pokoju — powiedział w końcu Timothy, nie bardzo wiedząc, co mówi się w czasie pogrzebu.

—Teraz i na zawsze. Amen — dodała Lucy i spojrzała na Timothy'ego.
— Myślisz, że to wystarczy?

—Przypuszczam, że tak.

Zasypali figurkę piaskiem i przydeptali.

—No to już — mruknął Timothy z zadowoleniem.

— Co teraz robimy?

—Wracajmy do domku — zaproponowała Lucy.

— Ciocia Jane miała dzisiaj robić krówki, prawda?

—Ciocia Jane cudownie gotuje!

—Najlepiej na świecie — potwierdziła Lucy. Oboje uśmiechnęli się do siebie z zadowoleniem i powędrowali plażą trzymając się za ręce.

—Jak się czujesz? — Evan siadł na skraju łóżka Nicoli i delikatnie wziął ją za rękę, chcąc zbadać puls.

—Bardzo dziwnie — odparła Nicola. — Zwariowałam czy co?

—Nic podobnego — oświadczył Evan. Puls wydawał się normalny. Podał Nicoli termometr. — Chciałbym wiedzieć, czy masz gorączkę.

— A może przeszłam jakieś załamanie nerwowe? — zapytała z niepokojem Nicola, zanim włożyła sobie termometr do ust.

— Nazwijmy to ucieczką od rzeczywistości na tle nerwowym.

Nicola wyjęła termometr z ust.

—Jaki jest dzisiaj dzień?

—Drugi sierpnia.

—Niemożliwe!

—Nie przejmuj się. Wszystko ci później wyjaśnię.

—Czy byłam w zakładzie dla umysłowo chorych?

— zapytała.

—Nie, byłaś tutaj i zachowywałaś się w sposób odbiegający znacznie od normalności. Ale nie martw się tym, Nicki. To całkiem naturalne w tych okolicznościach.

—Byłam pod wpływem narkotyków? Tamte kolory... sny... złudzenia... czy to były złudzenia?

—Prawdopodobnie przez część czasu byłaś pod wpływem narkotyków.

—A przez resztę czasu?

—Poole cię zahipnotyzował.

—Evan... — Nicola urwała.

—Tak?

—Czy mi się śniło, czy ja naprawdę... — urwała znowu.

—Tak — odparł Evan. — To było naprawdę, ale w pewnym sensie nie było. Nie odpowiadałaś wtedy za to, co robisz.

—Ach, Evanie, jak ja mogłam! — zawołała Nicola i rozszłochała się.

Kiedy zdołał ją w końcu uspokoić, zaczęła mówić roztrzęsiona:

—I co ty teraz o mnie myślisz?! Jak w ogóle możesz jeszcze ze mną rozmawiać po tym, co ci zrobiłam?

—Dostałem nauczkę za to, że cię zwodziłem przez tyle miesięcy — stwierdził Evan. — Nie żałuj mnie zanadto. A ty nie odpowiadałaś za to, co robisz... Nicki, co jest ostatnią rzeczą, którą dokładnie pamiętasz?

—Ty. Kiedy mi się oświadczyłeś. I ja, kiedy zastanawiałam się, dlaczego nie mogę wydusić z siebie słowa „tak”.

—W porządku — mruknął Evan. — Zaczniemy więc tam, gdzieśmy skończyli. Czy wyjdiesz za mnie?

Nicola przełknęła łzy.

—Ewanie, jesteś najwspanialszym mężczyzną na świecie, a ja po prostu nie zasługuję...

—Nie każ mi litować się nad sobą. Kochasz mnie?

—Bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale...

—Więc wyjdiesz za mnie za męża?

—Gdybym mogła, to nawet w tej chwili — odparła Nicola bez wahania i zobaczyła, jak Evan oddycha z ulgą, po czym z radosnym uśmiechem spojrzała mu w oczy.